Kod dostępu do Wyborcza.pl na weekend

WOLNA SOBOTA

• **Grażyna Kulczyk: Dość historii sztuki pisanej przez mężczyzn** • Artur Balazs: Kaczyński może się opamiętać • Czy transkobiety odbiorą medale ciskobietom • Dlaczego Włosi kochają faszystów • Fizycy bronią atomu

WYSOKIE OBCASY

Moda 2023 Plaster na codzienne smutki

Maria Pakulnis Nasi zmarli nie chcą rozpaczy

GAZETA wyborcza
wyborcza.pl
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Franciszek wie, co robi

FOT. LORENZO DI COLA/NURPHOTO VIA GETTY IMAGES

wydaje Agora SA, nr indeksu 348198
ISSN 0860-908X
9 770860 908167 38>

Sarmacja i targowica Rekonstrukcja historyczna PiS

Czesi nie umieją walczyć? Poznajcie Jana Žižkę

Czterech pancernych, pies i jego pani

Ignacy zabił cara Borys bolszewickiego posła

Sobota–niedziela, 24-25 września 2022 | Redaktor prowadzący **Marek Markowski** | Cena gazety **8,99 zł** (w tym 8% VAT) | nr 223.10111, 1 Nakład 119 tys. + 296 tys. prenumerat cyfrowych

eprasa.pl 4fdfb41448

Agnieszka Kublik

TVP Niekultura

Nie, nie wolno się łudzić, że wraz z odwołaniem Jacka Kurskiego TVP stanie się ciut lepsza, mniej siermiężna, mniej kiczowata i mniej tandetna, że znikną szmira i gnioty.

Bo też nowy prezes Mateusz Matyszkowicz nie jest wcale nowy. Jego nazwisko na zawsze pozostanie związane z kurskowszczyną w TVP – wpuszczeniem na główną antenę w prime timie szmiry i taniochy, politycznych nagonek, z jednoczesnym marginalizowaniem kultury wysokiej i lukrowaniem władzy. Wszak Matyszkowicz w TVP jest od początku 2018 r., był szefem TVP Kultura, TVP 1, wicedyrektorem ds. repertuaru Biura Programowego.

Jak Kurski z Matyszkowiczem zdewastowali wysoką kulturę, wypychając ją do niszowych kanałów i zastępując disco polo? Weźmy jeden przykład.

Gdy w grudniu 2019 r. Tokarczuk w Sztokholmie przedstawiała noblowski odczyt „Czuły narrator", ekipa „Wiadomości" nie poleciała do Szwecji, nie było specjalnego wydania (choć jeśli takie wydania mają sens, to raczej wtedy, gdy Polska odbiera Nobla, a nie otwiera przekop Mierzei). Nie było nawet transmisji – Kurski bezczelnie tłumaczył, że telewizja publiczna „nie miała technicznych możliwości". Zapewne z powodu braku „technicznych możliwości" Tokarczuk nie była ani razu gościem „Wiadomości", nie zaproszono jej nawet do niszowej TVP Kultura, ponoć oczka w głowie filozofa Matyszkowicza.

Przywracanie kultury do telewizji publicznej może się okazać trudniejsze niż przywracanie praworządności

Co innego Zenon Martyniuk, który za kurskowszczyzny stał się pierwszym śpiewakiem narodu. Disco polo w TVP rozgościło się niczym muzyka narodowa, stało się codziennością, hałasowało podczas festiwali, sylwestrów.

Jacek Kurski, dumny, że disco polo „takie artystycznie interesujące, na pewnym poziomie artystycznym, jest obecne w telewizji", wyprodukował nawet film o Zenku. I pokazał go na głównej antenie, TVP 1, w najlepszym czasie antenowym. Zenek – do którego Kurski publicznie zwraca się „ekscelencjo" – reklamuje TVP Nauka, pojawia się w głównym wydaniu „Wiadomości", udziela wywiadów stacjom regionalnym, gości w programie „Sprawa dla reportera". Parę dni temu „Wiadomości" o 19.30 doniosły, że „w wielu miejscowościach organizowane są dożynki, m.in. w Solecznikach, gdzie nie zabraknie TVP Wilno i znanych wykonawców z Polski". Czyli kogo? Zenka z zespołem Akcent!

Ale nie zapominajmy o Matyszkowiczu. Ten miłośnik kultury wysokiej, znawca antyku i subtelny filozof po wizycie na Nowogrodzkiej (w jakim trybie szef partii rządzącej wzywa na partyjny dywanik szefa spółki skarbu państwa?) musiał porzucić plany jakichkolwiek zmian.

Wyznacznikiem poziomu kultury artystycznej dalej będzie Zenek, kultury politycznej – nienawiść do Tuska, a kultury obyczaju – nieobecność Tokarczuk.

Przyzwyczailiśmy się, że disco polo wyparło Nobla, Teatr Telewizji i kulturę choćby nieco wyższą z publicznych anten. Przywracanie kultury do telewizji publicznej może się okazać trudniejsze niż przywracanie praworządności. ●

Brazylia
Mój duch opiekuńczy jest w oceanie, a twój?

FOT. BRUNA PRADO/AP

Luiza Kitalaroxy, 37-letnia wyznawczyni candomblé – afrobrazylijskiej religii łączącej elementy animistyczne i chrześcijańskie, przez stulecia zakazanej przez Kościół, która w ostatnich latach stała się w Brazylii główną rywalką katolicyzmu – modli się na plaży Copacabana w Rio de Janeiro przed Marszem Obrony Wolności Religijnej. **Więcej zdjęć i niezwykłych galerii na Wyborcza.pl/zdjecia**

Kod dostępu do Wyborcza.pl

Mahsa Amini zbuntowała Iranki
Bo chusta była nieskromna

Czterdzieści trzy lata temu, podczas wywiadu z Orianą Fallaci, zdenerwowany pytaniami o dyskryminację kobiet ajatollah Chomeini powiedział Włoszce, że nie musi nosić czadoru, gdyż tradycyjny irański strój jest dla porządnych kobiet. Fallaci zdarła z głowy chustę, nazywając ją głupią, średniowieczną szmatą. To samo mówią kobiety, które od kilku dni palą hidżaby na ulicach irańskich miast. Protesty wybuchły 16 września, gdy wypłynęła wiadomość o śmierci Mahsy Amini. 22-latkę zgarnęła z ulicy „policja moralności" za to, że niepoprawnie nosiła czador. W areszcie miała być poddana „edukacji", nie wyszła z niego żywa. Władze mówią, że dostała ataku serca. Rodzina – że nigdy na nic nie chorowała, świadkowie – że była bita w radiowozie.

„Naprawdę chcecie wiedzieć, jak zabito Mahsę Amini?" – pyta na Twitterze dziennikarka i aktywistka Masih Alinejad i publikuje film z incydentami, gdy młode kobiety są szarpane i bite za to, że publicznie ośmieliły się pokazać włosy.

FOT. MICHAEL SOHN/AP

Bunt Iranek wobec chust oraz powszechnej dyskryminacji kobiet narasta od dawna. Alinejad przypomina 13 odważnych, które publicznie atakowały mułłów: „Jeśli czujesz się podniecony widokiem kobiecych włosów, to ty masz problem!" – krzyczały w twarze duchownych.

W internecie Iranki umieszczają filmy bez chust z hasztagiem #No2Hijab, niektóre nawet – przy aplauzie tłumów – obcinają włosy.

Protesty idą jak burza przez kraj, któremu reżim od stłumionej zielonej rewolucji 2009 roku stale dokręcał śrubę. Na placach i ulicach ludzie skandują: „Kobieta, życie, wolność". ● **Natalia Waloch**

Andrzej rysuje

Bez zabezpieczenia

46.

MIEJSCE W EUROPIE **zajmujemy pod względem dostępu do antykoncepcji.** Przed nami są Rosja i Białoruś. **Więcej ▶ Wyborcza.pl/TylkoZdrowie**

W poniedziałek w „Wyborczej"

Duży Format

Głodna Polska

Bieda nie wybiera konkretnych roczników. Nie każdy ubogi to emeryt. Wszyscy jednak nie mają już z czego oszczędzać. Ubodzy często nie mają co jeść. Większość pieniędzy idzie na lekarstwa i rachunki.

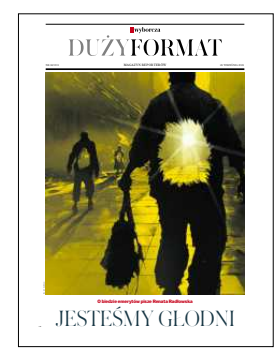

Ekonomia+

Kogo lubią pieniądze?

Prywatni wierzyciele twierdzą, że syndyk prowadzący upadłość SKOK Wołomin działa na ich szkodę. O czyje interesy dba zatem przede wszystkim? To sprawdza Małgorzata Kolińska-Dąbrowska.

1 RP

eprasa.pl 4fdfb41448

Top 2 wybrane z tygodnia
Najważniejsze wydarzenia

Niedziela

Polska potęga żużlowa

1 Jest taka dyscyplina sportu, w której polska liga jest najsilniejsza na świecie. To żużel. W niedzielę poznamy nowego mistrza Polski, wyłoni go drugi mecz finałowy między Motorem Lublin a Stalą Gorzów. Finał ma dodatkowy smaczek – w niedzielę ostatni raz plastron Stali założy trzykrotny mistrz świata Bartosz Zmarzlik. W nowym sezonie 27-letni żużlowiec, najwybitniejszy w dziejach polskiego speedwaya, będzie jeździł w barwach... Motoru.

Środa

Czy przesuną wybory

2 Podczas posiedzenia Sejmu, które rozpocznie się 28 września, posłowie mogą zająć się ustawą przesuwającą wybory samorządowe na kwiecień 2024 r. Bez tego dojdzie do kumulacji wyborów – samorządowych i parlamentarnych – jesienią 2023. „Wyborcy w tak krótkim okresie mogliby być narażeni na chaos informacyjny" – uzasadnia PiS. Zdaniem opozycji łatwiej byłoby skrócić kadencję Sejmu. – PiS odwleka porażkę – komentuje Borys Budka z PO.

FOT. ROMAN BOSIACKI, SŁAWOMIR KAMIŃSKI/ AGENCJA WYBORCZA.PL

Wykres tygodnia
Wyfruwają z gniazda coraz później

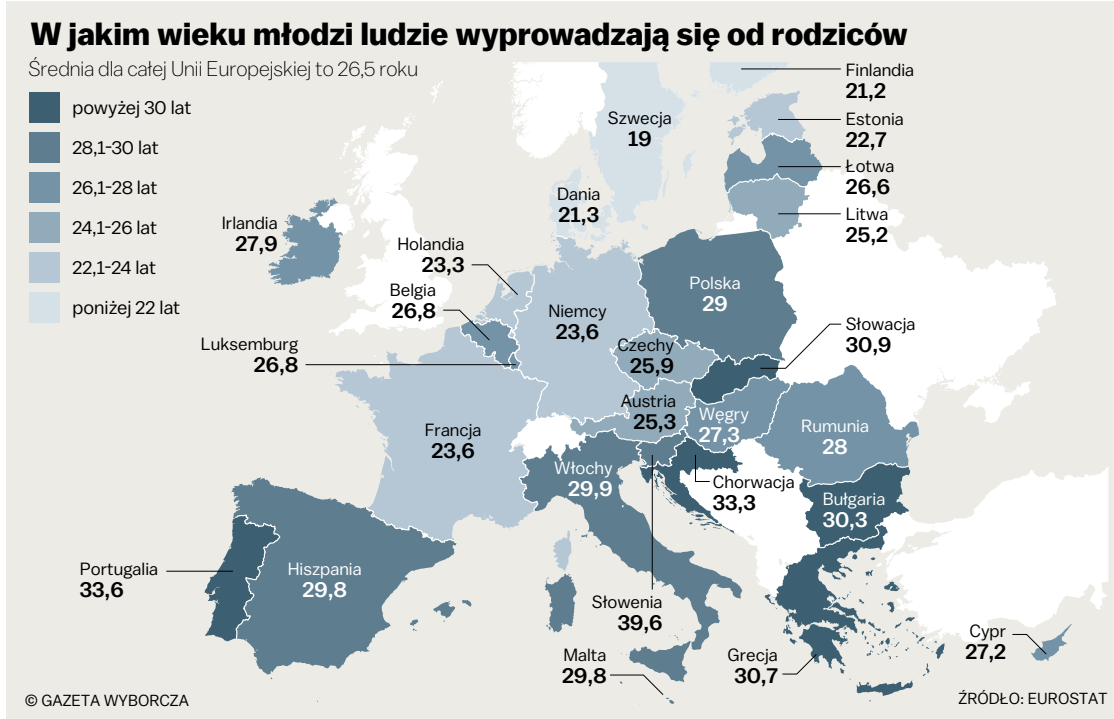

Polacy jeszcze nigdy nie wyprowadzali się z domu w tak późnym wieku. Gonimy Włochów, których przywiązanie do mieszkania z rodzicami obrosło już legendą. Decyzji o opuszczeniu rodzinnego gniazda nie ułatwia sytuacja na rynku najmu – wybór mieszkań jest mniejszy, a ceny rosną. **Więcej na ten temat ▶ BIQdata.pl**

Stać nas, żeby je nakarmić

Ciepły posiłek daje godność

Darmowe obiady w szkole dla każdego? Cała opozycja powinna przyjąć ten postulat

Wielowieyska

Lewica zgłosiła projekt ustawy pod hasłem: „Bezpłatny posiłek w szkole dla każdego dziecka". Agnieszka Dziemianowicz-Bąk stwierdziła, że około 900 tys. dzieci żyje w ubóstwie. Często rozpoczynają lekcje z pustym żołądkiem. „Tak nie da się funkcjonować. Tak nie da się rozwijać" – mówiła.

Koszt projektu jest szacowany na 6 mld zł. – To w skali całej gospodarki niewiele, 0,2 proc. polskiego PKB – przekonuje ekspert Lewicy Dariusz Standerski. Dla porównania, Pałac Saski, który PiS chce odbudować w Warszawie, ma kosztować 3 mld, TVP rocznie dostaje 2 mld, 2 mld wyrzucono na budowę niepotrzebnego bloku w elektrowni w Ostrołęce. PiS stworzył dziesiątki agend rządowych tylko po to, aby działacze dostawali posady za kilkadziesiąt tysięcy. Listę bezsensownych wydatków można mnożyć.

A jak wygląda dożywianie dzieci? Nie jest tak, że państwo zostawia niezamożne rodziny samym sobie. Darmowe obiady przewiduje program „Posiłek w szkole i w domu" zaplanowany na lata 2019-23. Samorządy dostają pieniądze na jego realizację. Korzystają z niego rodziny spełniające kryterium dochodowe – 150 proc. dochodu uprawniającego do świadczeń z pomocy społecznej, czyli 900 zł na członka rodziny.

Teoretycznie, jeśli dziecko nie spełnia kryteriów dochodowych, a jego sytuacja rodzinna jest na tyle trudna, że obiad w szkole to jedyny ciepły posiłek w ciągu dnia, dyrektor szkoły może poinformować o tym ośrodek pomocy społecznej. I nie potrzeba do tego decyzji administracyjnej czy badania sytuacji rodzinnej i finansowej dziecka.

Ponadto od 1 września podstawówki mają ustawowy obowiązek zapewnienia gorącego posiłku. Korzystanie zeń będzie dobrowolne i odpłatne. Wcześniej szkoła mogła zorganizować stołówkę, ale nie miała takiego obowiązku.

Czy wobec tego propozycja Lewicy jest bez sensu? Dlaczego państwo z naszych podatków ma dofinansowywać posiłki dla dzieci z zamożnych rodzin? Może lepiej wydać te pieniądze tylko na niezamożnych?

Oddajmy głos Joannie Tyrowicz, ekonomistce, która decyzją Senatu właśnie znalazła się w Radzie Polityki Pieniężnej, ale wcześniej badała dożywianie dzieci w szkołach. I stała się zwolenniczką rozwiązania „ciepły posiłek za darmo dla każdego dziecka w szkole", z naciskiem na „ciepły".

Czy faktycznie tak wiele dzieci jest głodnych? Nie da się tego oszacować, ale nie o to chodzi. Tyrowicz zwraca uwagę, aby nie mówić o dzieciach głodnych, tylko niedożywionych lub takich, które źle się odżywiają.

„Każdego dnia kilka tysięcy dzieci jest przynajmniej przez pół godziny głodne. Nie mówmy o głodzie, ale o niedożywieniu, definiowanym jako stan chronicznego niedoboru wartości odżywczych potrzebnych do prawidłowego rozwoju" – zauważa ekonomistka i podnosi, że decyzję o dożywianiu często przyznaje się tylko dwa razy w roku, co uniemożliwia pomoc dzieciom, u których problem pojawił się w trakcie semestru. A dyrektor szkoły może nie zauważyć, że ktoś potrzebuje wsparcia.

Nie ma wątpliwości, że dzieci niedożywione lub takie, które się źle odżywiają, np. zamiast pełnego posiłku w środku dnia jedzą tylko bułkę lub słodkiego batona, mają o wiele mniejsze szanse rozwojowe. Chodzi i o rozwój intelektualny, i fizyczny. Dlatego problem rodzin, których system nie wyłapuje, jest poważny.

Zawsze uważałam, że polityka socjalna powinna być inwestycją w kapitał społeczny i edukacyjny. Pieniądze podatników powinny wspierać politykę prorodzinną: darmowe przedszkola, żłobki, świetlice, finansowanie wyjazdów szkolnych czy podręczników, organizację tanich kolonii, by dzieci nie siedziały w wakacje same w domu. Za czasów PO-PSL takich inwestycji było sporo. To dobrze wydane pieniądze.

Do tej kategorii zaliczam ciepły posiłek dla każdego dziecka w szkole podstawowej. Jedyna rozmowa, jaką kiedyś odbyłam z byłą minister pracy Elżbietą Rafalską w rządzie PiS, dotyczyła właśnie tego pomysłu. Wahała się, ale w końcu uznała, że 500+ wystarczy.

Posiłek w szkole dla każdego dziecka ma kosztować 6 mld. Na Pałac Saski PiS chce wydać 3 mld, TVP kosztuje 2 mld, 2 mld poszły na niepotrzebny blok w elektrowni w Ostrołęce

Myliła się. Dożywienie dzieci to inwestycja. Poparłabym projekt Lewicy, bo potrzebujemy systemu, w którym w szkole podstawowej o określonej godzinie wszystkie dzieci po prostu idą na obiad, a prowadzi je nauczyciel. A że skorzystają zamożni? Nie wszyscy. Ci, którzy posyłają dzieci do szkół niepublicznych, nie będą objęci programem.

To ma być punkt harmonogramu, bez roztrząsania, czy jakiś rodzic zapłacił, czy nie, również dlatego, że w przypadku szkolnych obiadów dochodzi problem stygmatyzowania biedniejszych dzieci: dziś trzeba pójść i poprosić o darmowy posiłek, a w środowiskach lokalnych zazwyczaj wiadomo, kto o co wystąpił. Niektóre dzieci mogą spotkać się z przykrymi reakcjami otoczenia. No i co, jeśli rodzice są niezaradni, zapomną o złożeniu wniosku, a dziecko się wstydzi i zrobi wszystko, aby nikt się nie zorientował, jak się rzeczy mają naprawdę.

Jeśli wszystkie dzieci dostają obiad, problem znika. I tu powszechne wsparcie ma o wiele większy sens niż w przypadku 500+. Bo wiadomo, na co wydajemy pieniądze, natomiast transfer gotówki do kieszeni rodziców takiej pewności nie daje – choć zakładamy, że w przygniatającej większości przypadków zostaje wydana na potrzeby dzieci.

Mamy sytuację paradoksalną: tam, gdzie zagrożenie stygmatyzowaniem ubogich dzieci jest większe, trzymamy próg dochodowy, a tam, gdzie to zagrożenie jest zdecydowanie mniejsze, jak przy 500+, progu dochodowego nie ma.

To nie znaczy, że upieram się przy progu dochodowym dla 500+. Koszt organizacji systemu, który wyklucza najbogatszych z tego zasiłku, byłby porównywalny z zyskiem wynikającym z ograniczenia programu. No i skoro państwo podjęło takie zobowiązanie wobec wszystkich obywateli, to następcy rządu PiS powinni je honorować, co zresztą zapowiadają.

Ale gdyby ktoś dał mi wybór: waloryzować 500+, które błyskawicznie traci na wartości, czy też wydać te pieniądze na powszechny system żywienia dzieci w szkole, wybieram żywienie. Cała opozycja powinna przyjąć ten postulat i wprowadzić w życie, gdy wygra wybory.

Grunt przygotowała ta władza: szkoły od tego roku muszą mieć stołówki. Następny etap i wyzwanie to jakość tych posiłków, aby dzieci miały na nie ochotę. ●

Dominika Wielowieyska

eprasa.pl 4fdfb41448

WIELKA JEZUITY

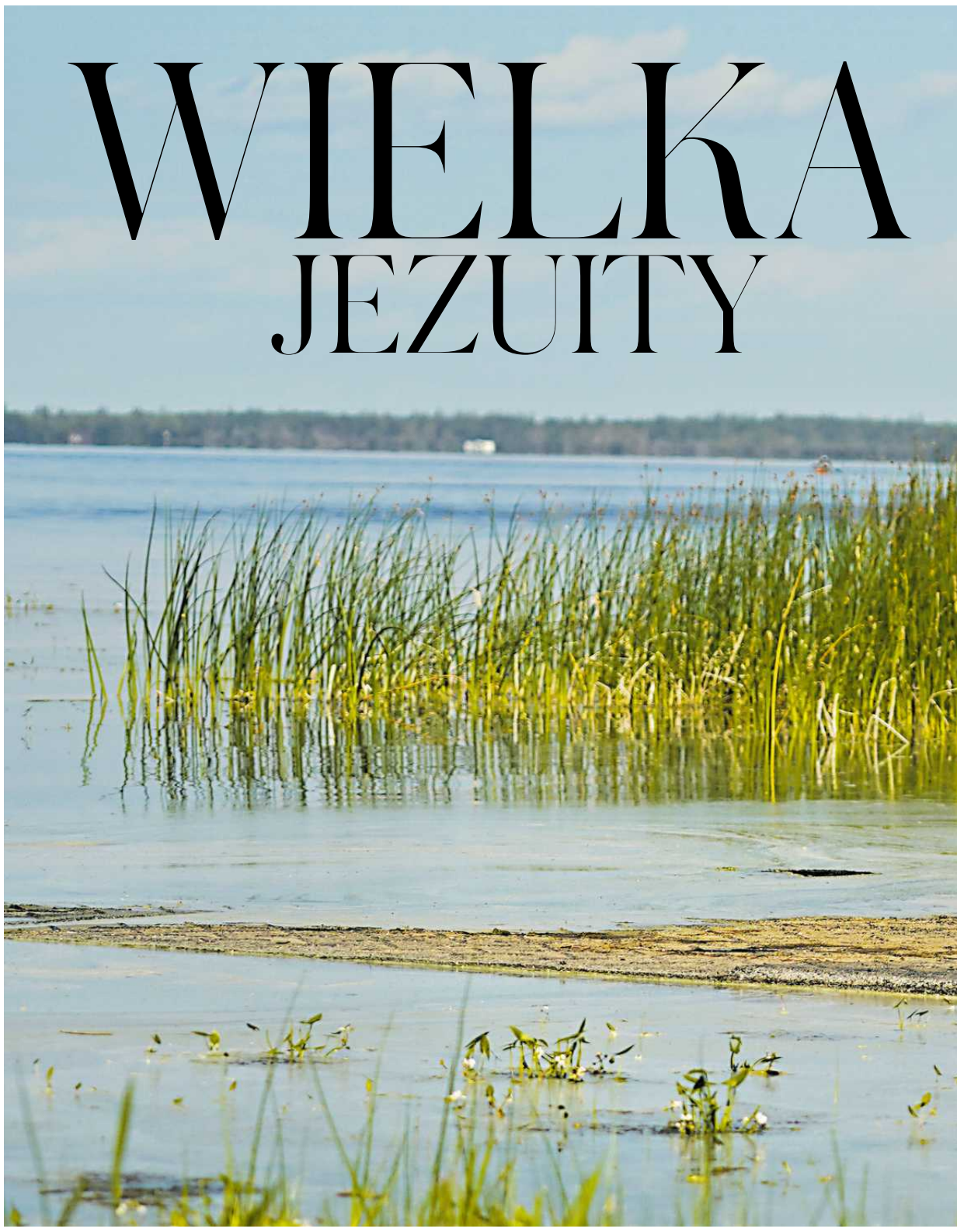

Serial w sprawie podróży Franciszka do Ukrainy dobiegł końca. Nad Dniepr papież nie pojedzie, a kropkę nad „i" postawiła jego wypowiedź z 24 sierpnia o Darii Dugin. Zabitą w niejasnych okolicznościach rosyjską propagandystkę uznał za „niewinną ofiarę wojny". Do ukraińskiego MSZ wezwano nuncjusza w Kijowie, co było krokiem bezprecedensowym i trudnym, bo nuncjusz nie opuścił Kijowa 24 lutego, czym sobie zaskarbił wdzięczność Ukraińców.

Dmytro Kułeba, szef MSZ, stwierdził: „Powiem szczerze, że ukraińskie serce pęka, słysząc słowa papieża. To było niesprawiedliwe".

Ukraińskie media i internet zalała jeszcze potężniejsza fala krytyki Franciszka. Nawet powściągliwy w ocenach prof. Myrosław Marynowycz, prorektor Ukraińskiego Uniwersytetu Katolickiego we Lwowie (w czerwcu spotkał się z Franciszkiem), stwierdził: „Papież nie jest wrogiem Ukrainy, ale po prostu znajduje się »w krzywym zwierciadle medialnym«. Ojciec Święty osobiście i ogólnie Kuria Rzymska winni poważnie zrewidować wszystkie aspekty swego »zapatrzenia się na Moskwę«".

Kuria zareagowała – w codziennym biuletynie prasowym Stolicy Apostolskiej 30 sierpnia ukazał się komunikat z wyjaśnieniem, że wystąpienia Franciszka w sprawie wojny w Ukrainie nie są stanowiskiem politycznym i że to Rosja jest inicjatorem „moralnie niesprawiedliwej, niedopuszczalnej, barbarzyńskiej, bezsensownej, odrażającej i świętokradczej" wojny.

Wiele to nie pomoże, bo krytyka postawy papieża i kurii rzymskiej jest powszechna nie tylko w Ukrainie i Polsce. A fakt, że dotąd nie znalazł sposobności do odwiedzenia kraju, w którym od ponad ośmiu lat trwa wojna, zdumiewa nie tylko katolików.

BĘDĘ CI TOWARZYSZYŁ, A TY WALCZ

W większości analiz i komentarzy postępowania Franciszka przeważa podejście „infantylne". Jorge Bergoglio pochodzi z Ameryki Łacińskiej, więc problemy Europy (a w szczególności jej wschodniej części) są mu obce. Dla niego USA to państwo kolonialne, w sercu ma ciepłe wspomnienie o teologii wyzwolenia, co przekłada się na wyrozumiałość wobec ZSRR i Rosji. Jest z gruntu pacyfistą, więc boleje nad każdą ofiarą wojny. Słowem, opowieści w stylu „paku-kaku", uprawdopodobnione przez wiek i stan zdrowia pontyfika oraz związane z tym ograniczenia.

Były arcybiskup Buenos Aires, jezuita i kardynał, nie zasługuje na takie traktowanie. Jest dobrze wykształcony, zna blisko 10 języków, studiował w Europie, choć źle się w niej czuł i czuje. Pamięcią sięga czasów Soboru Watykańskiego i ogromnych nadziei z nim związanych, w szczególności wśród członków Towarzystwa Jezusowego. Nie należał do admiratorów charyzmatycznego o. Pedro Arrupe, generała zakonu (1965-83), lecz w pełni utożsamił się z jego „opcją na rzecz ubogich" („wiary i sprawiedliwości") w działalności Towarzystwa. To z niej w dużym stopniu wyrosła teologia wyzwolenia.

Bergoglio przeżył liczne zawirowania polityczne w rodzinnym kraju oraz zmiany reżimów w Ameryce Południowej i świecie. W czasach junty wojskowej (1976-83) był prowincjałem jezuitów, pomagał prześladowanym, lecz według krytyków zachował się oportunistycznie, nie osądzając junty wprost. Obserwował zakończenie zimnej wojny i upadek komunizmu w Europie, był już kardynałem, gdy Jan Paweł II sprzeciwiał się inwazji USA i sojuszników na Irak w 2003 r.

Swoistym podsumowaniem jego doświadczeń jest książka – zapis rozmów z rabinem Abrahamem Skórką z Buenos Aires (polskie wydanie: „Kardynał Jorge Bergoglio. Rabin Abraham Skórka. W niebie i na ziemi", 2013). Lektura podstawowa dla zrozumienia ewolucji poglądów Argentyńczyka.

W rozdziale o komunizmie i kapitalizmie Bergoglio stwierdził: „Zabijać w imię Boga to odideologizować doświadczenie religijne. Kiedy tak się dzieje, pojawia się politykierstwo i ubóstwianie władzy w imię Boga. Ludzie, którzy się tego dopuszczali, sami siebie wynosili do godności Boga. W XX wieku wyniszczyli całe narody, ponieważ uważali się za Boga. Turcy postąpili tak wobec Ormian, stalinowscy komuniści wobec Ukraińców, naziści wobec Żydów".

Narody te – wyjaśnił – prześladowane i eksterminowane, „walczyły na ogół o swoje wyzwolenie. Może tylko niektórzy nie czuli dość sił i powierzali się Bogu, nie robiąc tego, co należało. Doktryna katolicka mówi, że sprawy ludzkie mają swoją autonomię, że dał je Bóg, ale człowiek nie może pod pretekstem oczekiwania raju wymawiać się od wysiłku. Musi walczyć o postęp w każdym sensie: moralnym, naukowym, edukacyjnym, zawodowym".

Swoje sądy zilustrował historią biblijną: „Naród żydowski nie oczekiwał biernie wyzwolenia z Egiptu. Pozwolił się prowadzić Panu z mocą, wśród walki. Tylko czasem, w sytuacji kiedy lud powinien był walczyć, Bóg go zwalnia z tego wysiłku, aby okazać swoją wielkość. Zazwyczaj jednak mówi: Będę ci towarzyszył, a ty walcz. Tak zachowywał się Mojżesz, trzymając ręce wzniesione w błaganiu, podczas gdy lud się bił".

Mocne i jednoznaczne, bez śladu „wrodzonego pacyfizmu" papieża.

NALEŻY SIĘ BIĆ O WOLNOŚĆ I NIE CZEKAĆ NA BOGA

Pogląd, że wyniszczanie narodów w XX wieku było efektem wyniesienia się sprawców do godności Boga, został gruntownie przepracowany przez teologów i filozofów. Podobnie jak to, że rzeczywistość ludzka ma swoją autonomię, zaś narody mają prawo i obowiązek walki, gdy chodzi o ich wyzwolenie. Stwierdzenia argentyńskiego kardynała idą dalej niż dopuszczone przez Kościół użycie broni jedynie dla obrony koniecznej (Kodeks kanonów).

Bergoglio przywołuje czasy Mojżesza i Starego Testamentu bez zastrzeżenia, że jego zasady zniosła Dobra Nowina Jezusa z Nazaretu, z jej imperatywem miłości bliźniego, przebaczania i nadstawiania drugiego policzka. Kardynał po prostu stwierdza, że jak trzeba walczyć o wyzwolenie, to należy się bić i nie czekać na interwencję Boga.

Bergoglio zna historię ludobójstw XX wieku, w tym dokonanego na Ukraińcach. I trudno, by nie miał, skoro jako nastolatek służył do mszy o. Stepanowi Czmilowi SDB – ukraińskiemu kapłanowi grekokatolickiemu, dziś kandydatowi na ołtarze. Wie też, że za zbrodnię odpowiada Stalin – czczony w Rosji rządzonej przez Putina i patriarchę Cyryla. Ale śladów tej wiedzy próżno szukać w encyklice „Fratelli tutti" (2020), gdzie w ogóle nie wymieniono zbrodni komunistycznych pośród innych masowych przestępstw minionego stulecia.

Bergoglio miał sprecyzowane poglądy o relacjach religii i polityki oraz takich pojęciach jak kraj, naród i ojczyzna. Według niego wszyscy jesteśmy „zwierzętami politycznymi", a „głoszenie wartości ludzkich, religijnych ma wydźwięk polityczny". To polityka przez duże P, bo od polityki przez małe p są politycy. Ich pierwszym obowiązkiem jest bycie strażnikami „suwerenności narodu, ojczyzny", drugim – prowadzenie dialogu z innymi politykami.

Dla kardynała z Buenos Aires kraj ma „wymiar geograficzny", zaś naród to „normy konstytucyjne czy aspekt prawno-sądowy, umożliwiający funkcjonowanie społeczeństwa". Ojczyzna zaś to „dziedzictwo ojców, wszystko, co otrzymaliśmy od jej założycieli – przekazane nam wartości, których mamy strzec". Politycy są odpowiedzialni za zachowanie ojczyzny,

Bronienie się jest nie tylko zgodne z prawem, ale także jest wyrazem miłości do kraju.
Kto nie broni, ten nie broni czegoś, nie kocha tego, natomiast kto broni, ten kocha

FRANCISZEK
16 września w Kazachstanie

MIROSŁAW CZECH

eprasa.pl 4fdfb41448

FOT. ERIC GAY/AP

GRA

Franciszek nie jest ani głupi, ani naiwny, ani niedoinformowany

bo „teokracje nigdy się nie sprawdziły. Bóg powierza pieczy człowieka rozwój kraju, ojczyzny, narodu. Religia wskazuje ścieżki etyczno-moralne, otwiera drogę do transcendencji".

Powiedziane jasno, że bardziej nie można. Kościół nie jest oderwany od polityki, choć religia nie powinna aspirować do tworzenia teokracji. Naród nie jest budowany na fundamentach etnicznych, zaś ojczyzna to wartości przekazane przez przodków/ojców. I tych mamy strzec, podobnie jak suwerenności narodu i państwa. Religia w tym pomaga.

Franciszek przypomniał sobie o tych argumentach w drodze powrotnej z Kazachstanu (16 września), gdzie uczestniczył z VII Kongresie Przywódców Religii Światowych i Tradycyjnych: „Bronienie się jest nie tylko zgodne z prawem, ale także jest wyrazem miłości do kraju. Kto nie broni, ten nie broni czegoś, nie kocha tego, natomiast kto broni, ten kocha".

Stałoby się najlepiej, gdyby papież Franciszek zaprosił kardynała Bergoglio i z nim porozmawiał. Wówczas być może udałoby się uniknąć manowców, na jakie papieskie nauczanie zawędrowało w sprawach doktrynalnych, duszpasterskich, moralnych i politycznych. Papież nie ma daleko, bo obaj mieszkają w Domu św. Marty w Watykanie, na dodatek w tym samym apartamencie.

JEZUICI STAWIAJĄ NA CHINY

W lipcu 2013 r. Franciszek wyznał: „Czuję się jezuitą i myślę jak jezuita". Podczas każdej podróży zawsze spotyka się z miejscowymi współbraćmi, zaś miesięcznik jezuitów „La Civiltà Cattolica" uznał za „pismo swoiste, jedyne". Powierzył mu zadanie przenoszenia, wyjaśniania i rozpowszechniania swej myśli i chce, żeby „było interpretatorem, we właściwy sposób, geopolityki pontyfikatu".

Tylko że ten interpretator okazuje się gorliwy, posłuszny, bezkrytyczny i stąd mało przydatny. W dodatku jezuici nie przygotowali się do wojny w Ukrainie, a właściwie nawet jej nie zauważyli. Uznali bowiem, że wydarzenia w tym kraju należą do problemów Europy – terenu z przeszłości Kościoła i polityki światowej. I że wydarzenia nad Dnieprem są funkcją relacji Kościoła katolickiego z Cerkwią rosyjską oraz państwem rosyjskim. A w planie globalnym stanowią niewiele znaczący epizod w konfrontacji amerykańsko-chińskiej, w której Kościół powinien odegrać rolę „tego trzeciego".

W ramach przygotowań do Roku Ignacjańskiego (lipiec 2021 – lipiec 2022) ukazało się polskie wydanie książki Giovanniego La Belli „Jezuici od Vaticanum II do papieża Franciszka"). Z włoskiego przełożył ją oraz wstępem i posłowiem opatrzył nieżyjący o. Andrzej Koprowski SJ – w latach 2004-14 dyrektor programowy Radia Watykańskiego.

Przygotowując się do pielgrzymki do Sri Lanki i na Filipiny (styczeń 2015), dziennikarze RW spotkali się z „najlepszym politologiem włoskim". Zauważył on, że „Europa nie liczy się w już w geopolityce. Kryzys demograficzny i kulturowy wyłącza ją »z gry«". Liczy się ostra konkurencja między Stanami Zjednoczonymi (potęga militarna) i Chinami (wzrastająca potęga ekonomiczna). Rywalizacja toczy się o kontrolę mórz i oceanów, a jej polem jest również Azja. „To powoduje, że tam właśnie może wybuchnąć wojna na skalę światową".

Od czasu podróży Franciszka do Korei (sierpień 2014) – argumentował – „politycy i politologowie stawiają sobie pytanie, czy nie nabiera znaczenia trzeci czynnik – chrześcijaństwo jako punkt odniesienia kulturowy całej Azji". I to czas pokaże, jak wielkie skutki miała pierwsza wizyta Franciszka. „Przerwałem mu – relacjonuje o. Koprowski – pytając, czy nie przesadza. Jan Paweł II był w Azji dwadzieścia razy, Franciszek jedzie po raz drugi, a od razu mówi się o »przełomie«".

W odpowiedzi usłyszał, że „podróże Jana Pawła II były bardzo ważne dla poszczególnych krajów, przygotowywały grunt. Ale przez te kilkadziesiąt lat w Azji zaszły ogromne zmiany: rozsypała się, historycznie ważna dla spoistości społeczeństw, rola religii. Nie „chrześcijaństwa", ale tradycyjnych religii azjatyckich. Religia jako punkt odniesienia, jako spoiwo kulturowe dla wspólnoty państw jest niezbędna. Zainteresowanie treściami wizyty sprawia, że stawiamy sobie pytanie, czy chrześcijaństwo nie będzie trzecim, kulturowym punktem odniesienia dla Azji, tak jak Ameryka militarnym, a Chiny – ekonomicznym".

Perspektywa zapierająca dech w piersiach, której Franciszek z pomocą współbraci starają się wyjść naprzeciw. W stylu nieustannego „przełomu", czyli działania szybkiego, by na efekty nie trzeba było czekać przez dziesięciolecia. Bo też czasu nie ma zbyt wiele – Bergoglio został papieżem w wieku 77 lat, Karol Wojtyła – 58. Stąd niecierpliwość Franciszka, jego apodyktyczność i dążenie do osiągania wielkich celów bez oglądania się na rzeczy z pozoru mało istotne.

BERGOGLIO NIE KIERUJE SIĘ RESENTYMENTAMI

W 2018 r. Stolica Apostolska i ChRL zawarły tymczasowe porozumienie o sposobie nominacji biskupów jako wstęp do unormowania sytuacji Kościoła w Chinach, podzielonego na wspólnotę podziemną i podporządkowaną władzom. Do dziś nie ujawniono treści dokumentu, trwają przygotowania do jego przedłużenia o kolejne dwa lata. Termin mija w październiku, dwa tygodnie temu chińskie MSZ oświadczyło, że nie widzi przeszkód.

„Stawiamy sobie pytanie, czy chrześcijaństwo nie będzie trzecim, kulturowym punktem odniesienia dla Azji, tak jak Ameryka militarnym, a Chiny – ekonomicznym". Dlatego Franciszka nie obchodzi Ukraina

Dyplomacja watykańska liczyła na spotkanie papieża z Xi Jinpingiem w Kazachstanie; chiński przywódca gościł tam w tym samym czasie co papież. Nie udało się.

W 2014 r. papież przelatywał nad terytorium ChRL i przekazał zwyczajowe pozdrowienia dla Xi Jinpinga. Dwa lata później, w wywiadzie dla „Asia Times", wspominał: „Przyznaję, że wzruszyłem się wtedy bardzo, a to nie zdarza mi się często. Byłem poruszony lotem nad taką kulturą i taką mądrością". I dodał: „Studiowałem życie Matteo Ricciego [1552-1610, jezuita, misjonarz w Chinach] i zobaczyłem, że ten człowiek czuł to, co czułem ja: podziw. Zrozumiałem, w jaki sposób był w stanie prowadzić dialog z tą wielką kulturą, obdarzoną starożytną mądrością. Był w stanie spotkać ją". Słowa „spotkać ją" podkreślono w tekście.

O. Antonio Spadaro, redaktor naczelny „La Civiltà Cattolica", wyjaśnił w artykule „Porozumienie między Chinami a Stolicą Apostolską", że umowa jest „radykalnie i zasadniczo pastoralna", stanowiąc jednocześnie „przesłanie nadziei w świecie, w którym dominują konflikt i strach". Papież zaproponował „cywilizację spotkania" jako alternatywę dla „barbarzyństwa niezgody", bo „świat zachodni, świat wschodni i Chiny mają zdolność utrzymywania równowagi pokoju i siłę, aby to zrobić". Równowaga nie może być jednak wynikiem kompromisu i dzielenia – jak w modelu jałtańskim.

Porozumienie Pekinu i Watykanu – argumentował o. Spadaro – „krzyżuje się z międzynarodowymi scenariuszami, związanymi ze szczególną rolą przyjętą przez Chiny". Ale postawa Franciszka „może mieć znaczący wpływ na dynamikę geopolityczną, w nadziei, że katastrofalne wizje, których wielokrotnie się lękano, nie urzeczywistnią się". I dodał, że porozumienie zostało podpisane „w nieposłuszeństwie wobec tych, którzy chcieli, by Stolica Apostolska podlegała porządkom mocarstw zachodnich".

eprasa.pl 4fdfb41448

Chiński Kościół – wyjaśniał dalej – „jest powołany do bycia w pełni katolickim i w pełni chińskim w taki sposób, aby inkulturować swoją naukę i wartości Ewangelii. Przyjmowanie cech chińskich oznacza wejście w głąb procesu inkulturacji". Problem zilustrował, odwołując się do czasów Cesarstwa Rzymskiego, gdy chrześcijaństwo przyjęło misję powszechną, opierając ją na kulturze greckiej. Co prawda władze komunistyczne dążą do „sinizacji" religii, lecz – uspokaja jezuita – nie sprecyzowały, o co konkretnie chodzi.

Miotanie się Franciszka pomiędzy Scyllą obowiązku współczucia czy wsparcia dla Ukraińców a Charybdą chęci wykazania, że Kościół nie „podlega" Zachodowi, ma więc źródło w „opcji na Chiny i Azję". Papież antyamerykanizmu nie „wyssał z mlekiem matki", bo Bergoglio nie kieruje się takimi resentymentami. Demonstrowanie dystansu czy niechęci do kolonialnego Zachodu jest dla niego kluczem do „spotkania się" z Chinami i Rosją – wielkimi cywilizacjami i kulturami. Z Chinami bardziej niż Rosją, bo w geopolityce XXI w. to one liczą się naprawdę.

NAJWIĘCEJ JEZUITÓW POCHODZI Z AZJI

Kard. Pietro Parolin, sekretarz stanu Stolicy Apostolskiej i najbliższy współpracownik Franciszka, wyjaśnił („Limes", 15 sierpnia): „Kościół idzie za przykładem swego Pana: wierzy w pokój, działa na rzecz pokoju, walczy o pokój, daje świadectwo pokoju i stara się go budować. W tym sensie jest on pacyfistyczny". Powtórzył, że papież chce pojechać do Kijowa, aby „przynieść pocieszenie i nadzieję ludziom dotkniętym wojną". Rozważa też podróż do Moskwy, „jeśli pojawią się warunki, które naprawdę sprzyjają pokojowi" i będą służyć negocjacjom.

Odmieniając przez przypadki słowo „pokój", Watykan stara się ukryć, że radykalne „spacyfikowanie" Kościoła jest niezbędne dla powodzenia misji „inkulturacji" w Chinach i odegrania roli „tego trzeciego" w całej Azji. Zgodnie ze schematem: neokolonialny Zachód kontra reszta świata, a my pośrodku. Ze złożeniem przyrzeczenia, że raz na zawsze skończyliśmy z własnym kolonializmem i szczerze się „inkulturujemy". A czego dowodem ma być nauczanie Franciszka o powszechnym braterstwie ludzi.

Dla Kościoła Franciszka Europa to przeszłość – na trwałe i bez szansy na odwrócenie tego procesu. Mało w tym emocji, uprzedzeń, dużo pragmatyzmu, bo liczby nie kłamią: w 2014 r. ponad 60 proc. nowicjuszy i scholastyków Towarzystwa Jezusowego pochodziło z Azji i Afryki, zaś prowincja indyjska TJ jest najliczniejsza w świecie (4 tys. członków na ponad 16,5 tys. jezuitów ogółem). Już Jan Paweł II mówił, że przyszłość Kościoła kształtuje się w Azji i Afryce. Jezuita Franciszek wraz ze współbraćmi wyciągnęli z tego ostateczne wnioski.

Ale dla chrześcijan słowo „pokój" nie powinno być kojarzone wyłącznie z negocjacjami. W Kościołach wschodnich podczas każdej liturgii kapłan kilka razy zwraca się do wiernych z wezwaniem „Pokój wszystkim". Wierni odpowiadają: „I duchowi twojemu". To przywołanie słów Jezusa, który po zmartwychwstaniu przybył do apostołów i uczniów zamkniętych w Wieczerniku, pozdrawiając ich słowami „Pokój wam!".

Było w tym pocieszenie zalęknionych, lecz przede wszystkim osobiste świadectwo o Zmartwychwstaniu i Odkupieniu. I choć wiara nie domaga się dowodów, to jednak Chrystus pozwolił, żeby apostoł Tomasz włożył palce do Jego ran. Aby tym mocniej wybrzmiała prawda o wydarzeniach Wielkiego Piątku i Wielkiej Nocy. Bez warunkowania jej negocjacjami z Imperium Rzymskim.

Od ponad ośmiu lat papież Franciszek odmawia ukraińskim katolikom spotkania w ich kraju, by mogli usłyszeć od niego „Pokój wam!". I przeżyć nauczanie Ewangelii w czasach wielkiej próby, jakiej doświadczają. Po Buczy i Mariupolu powinien to być imperatyw do działania nawet w zajętym globalnymi wizjami Watykanie.

Ale Franciszek zdecydował, że droga do Kijowa musi prowadzić przez Moskwę.

NIE CHCĘ BYĆ „KAPELANEM ZACHODU"

Papież planował spotkanie z Cyrylem w Kazachstanie podczas VII Kongresu Przywódców Religii Światowych i Tradycyjnych. Nie wyszło, bo patriarcha z wyjazdu zrezygnował. Powód wyjaśnił metropolita Antoni, szef Wydziału Zewnętrznych Kontaktów Kościelnych Patriarchatu Moskiewskiego. Spotkanie patriarchy i papieża „nie może odbywać się na uboczu" i powinno być „przygotowane z największą starannością, jego program musi być uzgodniony, dokument będący jego wynikiem musi być wcześniej przemyślany". Ujawnił, że po podpisaniu przez Franciszka i Cyryla deklaracji hawańskiej (2016) co roku organizowano wspólne wydarzenia, podczas których „zastanawiano się nad przesłaniami nowego dokumentu".

Watykan i Moskwa przestali wspólnie się zastanawiać, gdy Franciszek odwołał zaplanowane na połowę czerwca spotkanie z patriarchą w Jerozolimie po fali oburzenia jego słowami i gestami w sprawie wojny w Ukrainie. Zgorszenie nie może się skończyć, bo papież i jego współpracownicy za wszelką cenę chcą udowodnić Cyrylowi i Putinowi, że pacta sunt servanda.

W wystąpieniach Franciszka nic nie wymsknęło się przypadkiem: ani „żołnierze rosyjscy – biedacy", ani „wszyscy jesteśmy winni", ani „niewinność" Darii Dugin. To fragmenty zaocznej dyskusji z Cerkwią rosyjską nad przesłaniem kolejnej deklaracji papieża i patriarchy. Ze świadomością, że wszystko, co zrobi i powie – lub czego nie wykona i nie wygłosi – w relacjach z Rosją, jest uważnie obserwowane w Pekinie.

Parolin powtarza za Franciszkiem, że Bergoglio nie chce być uważany za „kapelana Zachodu", bo „częścią DNA Kościoła katolickiego jest powszechność, szczególna uwaga i wrażliwość na potrzeby najbiedniejszych państw, a także mniej eurocentryczny Kościół oraz wielostronne spojrzenie na problemy międzynarodowe".

Na Zachodzie nikt nie przywdziewa papieża w „kapelańskie" szaty. To rosyjskie władze i propaganda oraz służąca im Cerkiew twierdzą, że agresywna wojna, jaką rozpoczęli w 2014 r., ma charakter wojny religijnej. W istocie Ukraińcy bronią swojego kraju, narodu i ojczyzny przed imperializmem i kolonializmem Rosji. Mimo to papież przekonuje Ukraińców, że Kościół nie może towarzyszyć im w walce, bo sprzeniewierzy się katolickiej doktrynie (a właściwie Ewangelii) i swemu globalnemu posłannictwu. Obydwa ukraińskie episkopaty katolickie (grekokatolicki i rzymskokatolicki) twierdzą, że jest inaczej. Podobnie jak episkopat polski, niemiecki, litewski i konferencja episkopatów Europy.

Ale Stolica Apostolska, stawiając na „powszechność" Kościoła, woli tego nie słyszeć.

PAPIEŻ POLITYK PONIÓSŁ PORAŻKĘ

Tylko czy dzięki pożegnaniu się z Europą Kościół stanie się bardziej powszechny? Nie, bo powszechność zakłada obejmowanie troską wszystkich, a więc też narodów europejskich. Parolin mówi o „potrzebach najbiedniejszych państw" – a wedle statystyk Ukraina to najbiedniejsze państwo Europy, zaś wojna powoduje, że bieda dramatycznie się pogłębi. Oligarchiczny model gospodarki i stosunków społecznych zbliża ją do państw Ameryki Południowej. Zamiast refleksji na ten temat z Watykanu słychać napomnienia o wielostronności spraw międzynarodowych.

W rozdziale „O pieniądzach" książki kardynała i rabina Bergoglio stwierdził: „chrześcijaństwo potępia z jednakową mocą zarówno komunizm, jak i dziki kapitalizm. Powinna istnieć własność prywatna, ale obowiązkowo ujęta w sprawiedliwe ramy społeczne". Za przykład podał ucieczkę kapitałów za granicę: „Pieniądze też mają ojczyznę i ten, kto rozwija jakąś produkcję w kraju, a pieniądze wywozi, żeby je trzymać za granicą, grzeszy".

Korupcja i wywóz kapitałów to kardynalne problemy ukraińskiej gospodarki. Ukraińcy walczą z najazdem, lecz w równej mierze przejęci są problemem tego, co po zwycięstwie. Zdecydowana większość wymaga, by było inaczej niż przed wojną. Żeby narodziła się nowa Ukraina wolna od tych patologii. Papież mógłby w tym pomóc, lecz nie dostrzega takiej potrzeby.

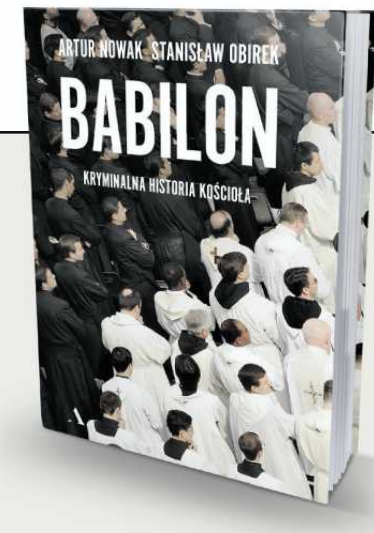

„Babilon. Kryminalna historia Kościoła"
To historia Kościoła katolickiego żywiącego się poczuciem winy wiernych, zalęknionego wizją, w której – na równi z kapłanami – to oni decydowaliby o jego kształcie.

Opierając się na faktach, autorzy pokazują mafijną naturę instytucji, która uparcie chce stać na straży jedynej słusznej recepty na życie.
Wbrew pozorom to nie jest książka antykościelna ani antyreligijna.

„Babilon. Kryminalna historia Kościoła" Stanisława Obirka i Artura Nowaka już w księgarniach, na Kulturalnysklep.pl i w formie ebooka na Publio.pl

„Ubogiego – kardynał przekonywał rabina – degraduje stan, w którym brak jest oleju namaszczającego go godnością: pracy". Zaznaczył, że powinnością osób i grup zaangażowanych w działania polityczne jest zapewnienie „równości szans i praw", walka „o zabezpieczenie socjalne, godne emerytury, urlopy, wypoczynkowe i inne, o swobodę zrzeszania się. Wszystkie te sprawy składają się na sprawiedliwość społeczną".

Ukraińcy walczą, by mieć szansę na realizację również tych celów. Gwarancji upatrują w członkostwie w Unii Europejskiej, ponieważ chcą, „by było tak jak w Polsce i Europie". Franciszek mógłby pomóc i w tym procesie, bo wymienione problemy to kościec nauczania społecznego Kościoła od ponad 100 lat. A ponadto jego wypowiedź byłaby usłyszana nie tylko w Ukrainie, lecz także w Rosji, która jest skrajnym przypadkiem dyktatury i oligarchii opętanej misją odbudowy imperium kolonialnego.

Zamiast nadziei dla Ukraińców, Rosjan i innych narodów (nie wyłączając Chińczyków z ich komunistycznym kapitalizmem) Franciszek wybrał wspólną z Cyrylem troskę o obronę „tradycyjnych wartości" w procesie integracji europejskiej (deklaracja hawańska). Czym się kończy owa troska, zilustrował Orbán, cenny sojusznik Putina, uwagami o „niemieszaniu się ras" w Kotlinie Karpackiej.

„W Ukrainie – powiedział abp Borys Gudziak, metropolita Ukraińskiego Kościoła Greckokatolickiego w USA – ludzie oddają życie, bo wiedzą, że jest coś większego niż samo życie. Czynią to świadomie lub nieświadomie, bez deklaracji. I to zadziwia świat, zmuszając ludzi do przewartościowań. Obecnie rewizji poddawane jest wszystko: światowy system polityczny, polityka bezpieczeństwa, system żywnościowy i energetyczny. Kwestia ukraińska wymusza zmiany globalne przede wszystkim dlatego, że w Ukrainie jest wiara. Ukraińcy wierzą w wartości, których nie można kupić i za jakie ludzie gotowi są oddać życie".

Ta perspektywa wydaje się niedostępna dla Franciszka i jego najbliższych współpracowników. Tym samym papież jako przywódca religijny i polityczny ponosi porażkę, jakiej nie było w najnowszych dziejach Kościoła. Przygotował diagnozę i program działania oparty na nietrafionych prognozach, a gdy bieg wydarzeń to unaocznił, nie potrafi dokonać korekty. I jest zupełnie głuchy na transcendentny wymiar rozgrywającego się dramatu.

ROLA EUROPY SIĘ NIE SKOŃCZYŁA

W historii dzień 4 czerwca 1989 r. zapisał się dwoma wydarzeniami: na wpół wolnymi wyborami w Polsce i brutalnym rozpędzeniem demokratycznych demonstracji studentów na placu Tiananmen w Pekinie. Polskie wybory zapoczątkowały upadek komunizmu w Europie Środkowo-Wschodniej i rozpad ZSRR dwa lata później. W Chinach stłumienie wolnościowego ruchu utrzymało system komunistyczny, choć wymusiło przyspieszenie przejścia gospodarki na kapitalizm i większe otwarcie na świat.

Nie potrzeba wielu dowodów, by stwierdzić, że ukraińskie rewolucje z roku 2004 i lat 2013-14 były kontynuacją wolnościowych procesów z przełomu lat 80. i 90. I że wściekle atakując Ukrainę, Putin pragnie obrócić maszynę czasu w przeciwną stronę.

Encyklikę „Centesimus annus" (1991) Jan Paweł II napisał pod wpływem optymizmu co do perspektyw demokracji i wolności po upadku komunizmu w Europie Środkowej i Wschodniej. Uznał to za element szerszego zjawiska – zniesienia „dyktatorskich rządów ucisku" w niektórych krajach Ameryki Łacińskiej, Afryki i Azji. Ważnym, „a nawet decydującym czynnikiem tego procesu była działalność Kościoła w obronie i dla umocnienia praw człowieka" (te słowa podkreślono w tekście). Również dzięki temu powstały nowe demokracje z kruchymi strukturami politycznymi i społecznymi. Stąd ważne, by „złożone problemy tych narodów można rozwiązać metodą dialogu i solidarności, a nie walką czy wojną zmierzającą do zniszczenia przeciwnika".

Dla autorytarnej Rosji i komunistycznych Chin dialog i solidarność, demokracja i wolność są śmiertelnym zagrożeniem. Przyznały to otwarcie 4 lutego, gdy w Pekinie Xi Jinping i Putin podpisali deklarację o zakończeniu epoki dominacji Zachodu i ustanowieniu nowego porządku światowego. Napadając na Ukrainę niecałe trzy tygodnie później, Rosjanin wykonał pierwszy ruch. Gdyby inwazja się powiodła, wówczas Chińczyk ruszyłby na Tajwan – co ujawnił prezydent Joe Biden.

Ale Zachód się zjednoczył, na powrót stał się silny i pełen wiary w swoje wartości. Podobnie jak azjatyckie demokracje. Ale najwięcej zależy od Europy, której rola w geopolityce nie tylko się nie skończyła, lecz także wzrosła. Bo to wydarzenia na jej peryferiach zmieniają bieg dziejów świata na kilka pokoleń naprzód. Oparte na wartościach, w czym niemała zasługa religii.

I jedynie Franciszek oraz jego współpracownicy wciąż się zastanawiają, jak podtrzymać szansę na bycie „tym trzecim". ●

1 RP

eprasa.pl 4fdfb41448

Bierna większość się wkurzy

Rosjanie są zmęczeni wojną. Spada oglądalność politycznych talk-show, na wizję wracają programy rozrywkowe.

Andriej Piercew, portal Meduza

Udana kontrofensywa Ukraińców wywołała panikę wśród ultrapatriotów. Taka sytuacja oznacza poważną porażkę Kremla nie tylko na froncie militarnym, ale i propagandowym. Czynni zwolennicy wojny czują oburzenie i demoralizację, i odwrotem, krytykują dowództwo oraz żądają od Putina zdecydowanych działań.

Kreml ryzykuje, że zwróci przeciwko sobie najbardziej gorliwych zwolenników, których wcześniej sam zradykalizował za pomocą imperialnych sloganów i działań. Z drugiej strony kierowanie się opinią ultrapatriotów też wiąże się z ryzykiem – oznacza konieczność zignorowania opinii biernej większości społeczeństwa, które może i popiera „operację specjalną", jednak zdecydowanie nie chce w niej uczestniczyć.

Gdy Ukraina w parę dni wyparła wojska rosyjskie z obwodu charkowskiego, ministerstwo obrony ogłosiło, że miało miejsce zwykłe przegrupowanie wojsk. Skala odwrotu nie pozostała jednak niezauważona przez ultrapatriotyczne grupy na Telegramie. W panice i rozpaczy autorzy wiadomości pisali o katastrofie, krytykowali dowództwo, domagali się „prawdy", czystek oraz radykalnych kroków, takich jak powszechna mobilizacja i rozpoczęcie „wojny totalnej".

Wcześniej przez kilka wojennych miesięcy do tych grup masowo dołączali nowi użytkownicy i dziś niektóre liczą nawet milion osób. Wojna sprawiła, że poczuli się związani z władzą i zyskali przekonanie, że mają prawo do przedstawiania Kremlowi swoich żądań. Jeszcze przed rosyjskim odwrotem były proste: powszechna mobilizacja, przestawienie gospodarki na potrzeby wojenne i bombardowanie ukraińskich miast. Ultrapatrioci domagają się, by Putin prowadził prawdziwą wojnę i otwarcie wyrażają frustrację brakiem decyzyjności prezydenta.

Ale gdyby Kreml uległ ultrapatriotom, postąpiłby wbrew większości społeczeństwa, które pozostaje obojętne na wycofanie się z Charkowa, o ile w ogóle zdaje sobie z niego sprawę. Rosjanie nie popierają wojny totalnej, a jedynie „specjalną operację", w takiej formie, jak przedstawia ją propaganda. Odpowiada im, że walki toczą się daleko od nich, a biorą w nich udział jedynie profesjonaliści i ochotnicy z Donbasu. Zdecydowanie nie są gotowi, by osobiście pojechać na front lub wysłać tam swoje dzieci. Sondaże – choć prowadzone w warunkach zaostrzonej, radykalnej cenzury – wskazują, że obywatele poparliby decyzję prezydenta o zawarciu pokoju.

Rosjanie czują zmęczenie wojennymi wiadomościami. Spada oglądalność kanałów telewizyjnych, które emitują głównie polityczne talk-show. Na wizji coraz częściej pojawiają się programy rozrywkowe. Tak naprawdę nie trzeba żadnego wysiłku, aby odwrócić uwagę rosyjskiego społeczeństwa od wydarzeń z Charkowa – ludzie sami nie okazują zainteresowania tematem. Propaganda, która od początku skupiała się na zuchwałej retoryce, a nie na informacji o przebiegu działań, wspiera taką postawę. Dlatego gdy ultrapatrioci wpadają w rozpacz, mieszkańcy Moskwy spokojnie świętują Dzień Miasta.

Do zgrzytu między Kremlem a ultrapatriotami doszło w dużej mierze z powodu nadziei władz na blitzkrieg w momencie rozpoczęcia wojny. Spodziewano się zdobycia Kijowa w parę dni, ucieczki Zełenskiego oraz tego, że problemy ograniczą się do zachodnich sankcji i konieczności utrzymania zdobytych terytoriów. Taki scenariusz zadowoliłby i ultrapatriotów, i milczącą większość. Jedni i drudzy otrzymaliby dowód na imperialną potęgę Rosji oraz jej armii.

Ale front stanął, co rozbiło sojusz ultrapatriotów i zwykłych obywateli. Z-patrioci doskonale wiedzą, czego chcą – prawdziwej wojny i kapitulacji Ukrainy. Są zdeterminowani: jeśli jeszcze nie zaczęliśmy prawdziwej wojny, to powinniśmy zacząć teraz, kiedy doszło do upokarzającego odwrotu. Zwykły obywatel natomiast chce przede wszystkim nie musieć walczyć i żadna ilość imperialnej retoryki nie zmieni jego zdania.

Kłopot Putina i jego podwładnych polega na tym, że nie mogą zareagować na odwrót. Muszą nadal udawać, że wszystko idzie zgodnie z planem, a wojska zostały po prostu przeniesione, by skoncentrować siły na ważniejszym Donbasie. Takie stanowisko zadowoli i uspokoi większość obywateli, którzy mają dosyć wojny i żyją w strachu przed mobilizacją. A to właśnie na tej pasywnej lojalności milczącego społeczeństwa opiera się władza Władimira Putina. Ultrapatrioci stanowią głośną, jednak mniej liczną grupę.

Większość społeczeństwa pozostaje obojętna na wycofanie się z Charkowa, o ile w ogóle zdaje sobie z niego sprawę

Ale Kreml nie może sobie pozwolić na zignorowanie awangardy zwolenników – istnieje możliwość, że zdanie ultrapatriotów zaczną podzielać także mniej radykalni obywatele popierający wojnę, którzy niezbyt trzeźwo oceniają stan armii i uważają, że Rosja nie zaczęła jeszcze prawdziwych walk. W dodatku sam Putin obsesyjnie podchodzi do wojny i zdaje się wierzyć, że jego obsesję podziela większość Rosjan.

Stąd jeszcze bardziej nieludzkie działania wojenne i częściowa mobilizacja. Bombardowanie ukraińskich elektrowni i innej kluczowej infrastruktury można uznać za początek. Nie zabraknie śmiałków, którzy będą obiecywać przywrócenie porządku w bardzo krótkim czasie.

Niemniej jednak Kreml postara się nie doprowadzić do konfliktu z lojalną większością, która w żadnym wypadku nie chce iść na wojnę. Lub przynajmniej będzie odwlekać ten konflikt do czasu, gdy przebieg wojny nie pozostawi innego wyboru.

Przełożyła Aleksandra Zielinko

W Rosji zamknięto wszystkie wolne media. Redakcja Meduzy wyrzucona z Rosji straciła wpływy z subskrypcji, ale pracuje z zagranicy. Dziennikarze i redaktorzy portalu zwracają się z prośbą do polskich czytelników o wsparcie. Więcej na Meduza.io

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Bertolt Brecht*

Trudy rządzenia

1

Ministrowie przy każdej okazji wymawiają narodowi
Jak ciężko jest rządzić. Bez ministrów
Zboże rosłoby do ziemi, zamiast do góry.
Najmniejsza bryłka węgla nie wyszłaby ze sztolni
Gdyby kanclerz nie był tak mądry. Bez ministra propagandy
Żadna kobieta nie mogłaby zajść w ciążę. Bez ministra wojny
Do wojny by nigdy nie doszło. O tak, to wątpliwe
Czy bez zgody führera wzeszłoby słońce – a jeżeli nawet
To czy z właściwej strony.

2

To jest tak samo ciężko, wmawiają nam
Jak kierować fabryką. Bez właściciela
Runęłyby mury, a maszyny, ma się rozumieć, by zardzewiały.
Nawet pług, gdyby już gdzieś został wyprodukowany
To nigdy by nie dotarł na pole, gdyby nie przemyślne słowa
Jakimi przedsiębiorca pisze do chłopów: bo któż inny
By ich zawiadomił, że są pługi? A co
Stałoby się z dworem bez dziedzica? Na pewno
Żyto zasiano by tam, gdzie już posadzono ziemniaki.

3

Gdyby rządzić było lekko
Nie trzeba by było aż tak światłych umysłów, jak nasz führer.
Gdyby robotnik przynajmniej umiał obsługiwać swoją maszynę
A chłop potrafił odróżnić pole od stolnicy
To ani fabrykant, ani właściciel ziemski nie byłby potrzebny.
Tylko dlatego, że wszyscy są tacy głupi
Potrzeba tych kilku, którzy są tacy mądrzy.

4

A może tylko dlatego
Tak trudno jest rządzić
Że trzeba się nauczyć, jak wyzyskiwać i jak oszukiwać?

FOT. BUNDESARCHIV

***Bertolt Brecht** - 1898-1956, niemiecki dramatopisarz, poeta, teoretyk teatru, reżyser. W latach 1924-26 działał w Deutsches Theater w Berlinie, w latach 1933-47 na emigracji (Dania, Szwecja, Finlandia, ZSRR, USA). W 1949 r. założył w NRD, wraz z żoną Heleną Weigel, teatr Berliner Ensemble. Jego sztuki to m.in.: „Opera za trzy grosze", „Życie Galileusza", „Matka Courage i jej dzieci" i „Kariera Artura Ui". Świat widział jako stałą walkę słabych i silnych, „kapitału" i „pracy", co doprowadziło go do marksizmu.

Utwór za: Brecht, **„Elegie bukowskie i inne wiersze"**, wybór i tłumaczenie Ryszard Krynicki, Biblioteka Poetycka Wydawnictwa a5 pod jego redakcją, tom 116, Kraków 2022.

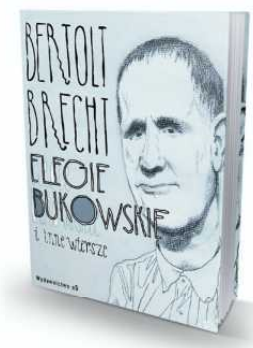

eprasa.pl 4fdfb41448

DAJĘ GŁOS KOBIETOM

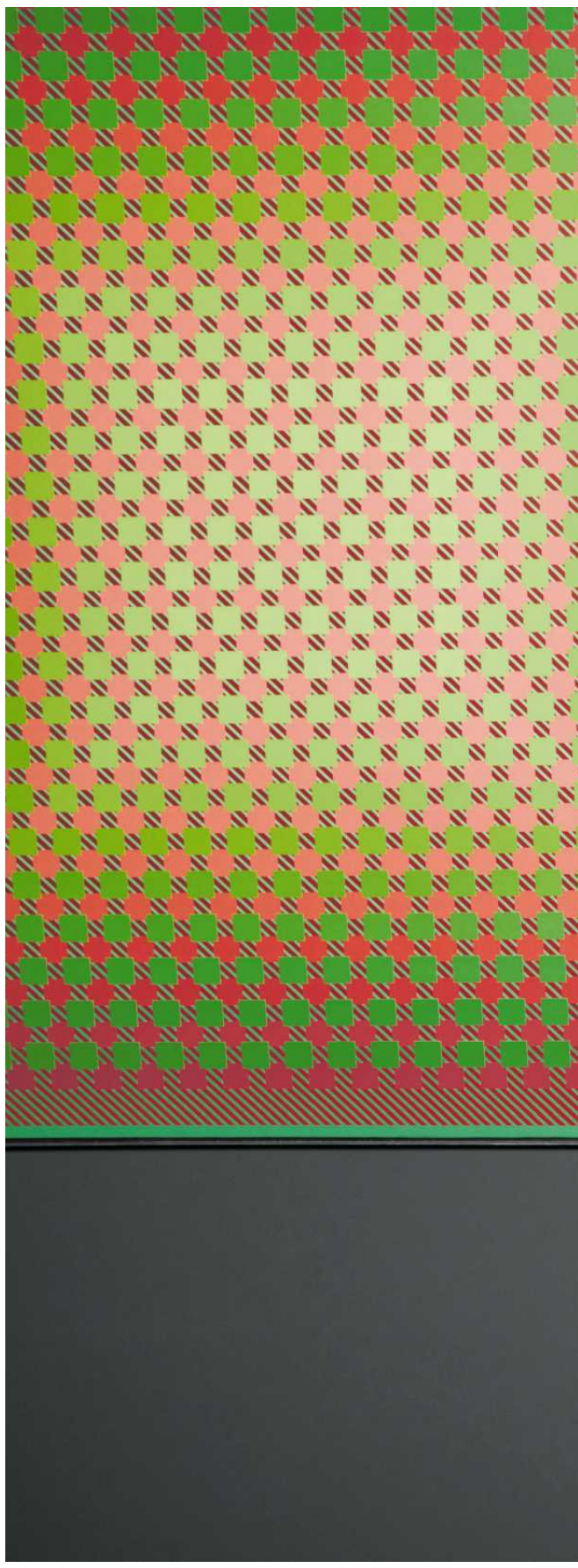

Historię sztuki pisali mężczyźni całkowicie skoncentrowani na sobie

Z **GRAŻYNĄ KULCZYK***
ROZMAWIA **WALDEMAR PAŚ**

Czego nauczyli panią rodzice?
– Mama była lekarką i człowiekiem o ogromnym sercu, wrażliwości, delikatności. Ojciec – lotnik po traumie wojennej, kilka razy ranny. Żelazną dyscyplinę narzuciło mu życie. Oboje nauczyli mnie obowiązkowości. Musiałam być jak mały żołnierz.

Czyli?
– Jeżeli było jakieś zadanie wytyczone na dany dzień, bez względu na to, ile zabierało godzin, trzeba było je wykonać.

Do tego punktualność, schludność, ogólna harmonia – wszyscy członkowie rodziny się temu podporządkowywali. Bardzo przydatna reguła – trzeba ją tylko zapisać w cudzysłowie – że każdemu w rodzinie jest przypisane jakieś zadanie.

Na studiach pani pracowała?
– W studenckiej spółdzielni Akademik myliśmy np. okna. Najlepiej było załapać się na obsługę zagranicznego stoiska podczas Międzynarodowych Targów Poznańskich. Dziesięć dni pracy, a pieniędzy wystarczało na bardzo długo.

Dlaczego poszła pani na prawo?
– Myślę w sposób bardzo ścisły, prawo to wzmocniło. Wiedziałam, że zaprocentuje przez całe życie.

Po studiach pracowałam dwa lata w instytucie prawa cywilnego na uczelni, tworzyłam zręby opracowań orzecznictwa Sądu Najwyższego, nikt wcześniej tego nie robił. A potem urodziły się dzieci. Stałam się bardziej – a właściwie najbardziej – mamą i żoną.

O czym pisała pani pracę magisterską?
– O rozwodach. Pomyślałam: może dobrze wiedzieć.

I przydało się?
– Szewc bez butów chodzi. Często wspominam, że skupiłam się na fragmencie, który się nie przydał.

Ulubiona sentencja z prawa rzymskiego?
– Dura lex, sed lex. Dobrze, aby nasi politycy wzięli to sobie do serca odnośnie do zobowiązań, które podpisali, gdy Polska weszła do Unii.

Czyli może bardziej pacta sunt servanda.
– Też pasuje. Można połączyć obie i zawiesić na ścianach niektórych budynków, aby politycy codziennie to czytali.

Jak dogaduje się pani z młodymi?
– Lubię młodych – od zawsze otaczam się nimi w pracy, inaczej przestałabym się uczyć. Oczywiście jest przepaść w podejściu do wielu spraw, pewnie musi być. My byliśmy jedną z pierwszych rodzin, które po transformacji tak mocno pracowały na sukces. Wiara w lepsze jutro pozwalała nam na dokonywanie rzeczy niemożliwych. Pracowaliśmy dzień i noc, sprawiało nam to ogromną frajdę.

Dziś w oczach przedstawicieli młodego pokolenia nie widzę tego błysku, zapału. Zarówno pokolenie Z, wcześniej X, milenialsi...

Milenialsi i zetki nadają teraz ton debacie, najstarsi dobijają właśnie czterdziestki i jest ich znacznie więcej niż starszych od nich iksów.
– Młodzi zerkają na zegarek, nie chcą pracować dłużej, niż przewiduje ustawa.

Bo, proszę wybaczyć wyrażenie, mówią: precz z kulturą zapierdolu.
– No właśnie. Jesteśmy w trakcie robienia czegoś fantastycznego, a ktoś nagle wychodzi do domu. Nie dlatego, że się źle czuje czy że ma dziecko, tylko po prostu – wyczerpał swój czas pracy. Ja tak nie umiem.

Znajoma milenialka przyznała, że aby coś ważnego dla niej osiągnąć, musiała pracować po szesnaście godzin na dobę...
– Ja pracowałam nawet i dwadzieścia godzin!

...przy czym z pięć razy zastrzegła, że nie oczekuje tego od podwładnych. Może dziś ludzie widzą, że zarobki nie wystarczają na godziwe życie?
– Kiedy pracuje się bez pasji, zerka się na zegarek i narzeka. To pasja powoduje, że się człowiek wkręca. My byliśmy wkręceni, wierzyliśmy w to, co robimy.

Za podobne słowa prof. Marcin Matczak dostał w internecie tęgie lanie od młodego pokolenia.
– Nic się nie dzieje natychmiast. Młodzi chcieliby, żeby efekty były zaraz, głównie finansowe. A to nie przydaje nam tej wartości, o którą tak naprawdę w człowieczeństwie chodzi.

Może jednak chodzi o dobrą płacę za dobrą pracę.
– Wielu pracodawców w Polsce i w Szwajcarii oferuje naprawdę godne pieniądze. My nie mogliśmy nawet marzyć o takich wynagrodzeniach.

> Punktualność, schludność, ogólna harmonia. Musiałam być jak mały żołnierz

To o co chodzi?
– Skrzydła młodym ludziom podcina brak perspektyw. My je mieliśmy. Świat zwariował.

Kościół ekonomii stałego wzrostu pustoszeje.
– Raczej chodzi o postrzeganie świata przez pryzmat ostateczności, dramatu.

Też tak czuję! A pani?
– Również.

Wierzy pani, że praca to najlepszy lek na poczucie beznadziei i zbliżającego się końca?
– Tak. Dzięki temu wstaję rano z łóżka. I dlatego, wydaje mi się, daję z siebie nie sto, tylko sto kilkadziesiąt procent.

A panią – proszę nie odpowiadać, jeśli pani nie chce – nie dopadają stany depresyjne, zwątpienie?
– Nie. Nasze pokolenie było uczone dyscypliny, może to nas uodporniło. Mówiłam to panu. Dziś przynosimy dzieciom i młodzieży wszystko na tacy. To wina rodziców, dziadków – pracowali na dwa, trzy etaty, aby następnemu pokoleniu było lepiej.

Ale patrzę na młodych i nie mam do nich pretensji. Przyszło im żyć w bardzo niepewnych czasach.

Jak przekazuje pani młodym swój entuzjazm?
– Opowiadam, zachęcam, z różnym skutkiem.

Wielu wspierałam na starcie, mówiłam: dam wam tyle, a potem rozwijajcie skrzydła i lećcie sami.

1 RP

eprasa.pl 4fdfb41448

FOT. ADAM PLUCIŃSKI

Teraz wielu z nich odniosło sukces, są dobrze usytuowani. I mogą pomagać wystartować kolejnym.

Stworzyła sobie pani w Susch kawałek raju.
– Każdy, tworząc, wolałby raj niż piekło.

Dlaczego w Szwajcarii?
– Zawsze byłam zapracowana. Aby przedłużyć aktywne życie, musiałam wyjechać daleko od ludzi, w miejsce otoczone przyrodą, spokojem. W małej wiosce, między St. Moritz a Davos, znajomy znalazł staruteńki dom – ruinę wymagającą roku albo dwóch pracy. Wiedział, że lubię remontować, zabezpieczać miejsca historyczne, pieczołowicie dbać o architekturę.

Niektórzy mają swoją Kotlinę Kłodzką czy Mazury, a ja wioskę w Szwajcarii.

Wielu Polaków chciałoby mieć w Szwajcarii miejsce ucieczki przed polskimi i europejskimi wichurami.
– Intuicja zwykle pcha mnie w dobrym kierunku. Tak było w przypadku mojego pierwszego samodzielnego biznesu, a później we wszystkich działaniach związanych z kulturą. W Starym Browarze w Poznaniu połączyłam handel z kulturą, to miejsce miało dać ludziom szansę kontaktu ze światem sztuki.

Ale go pani sprzedała.
– Co nie zmienia faktu, że wciąż nie spotkałam podobnego miejsca. Wszyscy dziwili się, że przeznaczyłam na kulturę tyle przestrzeni, a przecież można by z powodzeniem tam zarabiać.

Dura, lex sed lex.
Dobrze, aby nasi politycy wzięli to sobie do serca odnośnie do zobowiązań,
które podpisali,
gdy Polska weszła do Unii

Zgodnie z pani credo, że połowę zysków pani poświęca na sztukę, a drugą połowę na biznes?
– Hasło 50/50 co dzień mnie dyscyplinuje.

Nowi właściciele Starego Browaru mogli podejmować inne decyzje.
– Ależ oczywiście. Ta filozofia jest przypisana do mnie, a nie do miejsca.

Stworzyła pani miejsce publiczne, rozbudziła oczekiwania i nadzieje. Po czym prysło.
– Decyzje biznesowe podejmujemy w odpowiednim czasie.

Mogła pani sprzedać to miejsce z warunkiem jakiejś służebności wobec sztuki.
– Ale ja w tym czasie miałam już inne projekty, chciałam zbudować muzeum. Musiałam decydować, czy zostaję i robię coś kulawego, czy idę dalej. A co do służebności – nie umiałabym wchodzić w paradę nowym właścicielom. Mają prawo działać po swojemu.

Czy kiedyś sprzeda pani muzeum w Susch?
– Susch zostanie ze mną do końca, nikt go nie kupi, to nie Stary Browar. Żadne muzeum nie jest dochodowe.

Czy odwiedzają panią Polacy?
– I to licznie. Zawsze mówią: „Szkoda, że nie w Polsce". Tak reagują nie tylko zawodowcy, dyrektorzy muzeów czy kuratorzy wystaw.

Gdy budowałam to miejsce, przyświecało mi hasło: pielgrzymujmy do sztuki. Pierwszy zrujnowany budynek, który kupiłam, był kiedyś częścią klasztoru. Odpoczywali w nim pielgrzymi do grobu św. Jakuba w Santiago de Compostela.

Proponuję gościom slow art, czyli powolne zwiedzanie muzeum, możliwość dobrego kontaktu ze sztuką.

Ile czasu się zwiedza pani muzeum, aby zasmakować tego slow?
– Do półtorej godziny. To nie jest tylko sztuka, to również historia.

Daję światu coś, co być może inny inwestor by w sprytny sposób zniszczył, a ja się cieszę z tych starych belek, cegieł, kamieni. Następne pokolenia będą mogły sprawdzić, gdzie w XII wieku mnisi wędzili mięso, gdzie stał piec, na którym gotowali brzeczkę do produkcji piwa.

eprasa.pl 4fdfb41448

Można przyjechać tu na kilka dni, pochodzić po górach.

Jak nazywają panią miejscowi?
– Od święta donna Grażyna, a na co dzień po imieniu. Szwajcarzy mają spłaszczone ego, nie ma znaczenia, kto ile ma pieniędzy, czy jest profesorem, czy rolnikiem. Fajne.

A nie mówią „bezczelna Polka"? Nikt nie złorzeczy, że wywróciła mu pani spokojne życie do góry nogami?
– Myślę, że są dumni. Mówią, że to ich muzeum, co bardzo mi się podoba. A równie dobrze mogli okazać mi, że jestem niechciana, jak to mnie spotkało w Poznaniu, w Warszawie.

W obu miastach rozbiło się to o kwestię utrzymania z publicznych pieniędzy wybudowanego przez panią muzeum.
– Przecież mówimy o dużych, bogatych miastach. Jak można to porównywać do maleńkiej wioski? Przyjechałam do Susch z pełną świadomością, że sama będę musiała utrzymywać to muzeum.

Czuje pani żal?
– Oferowałam Poznaniowi, a później Warszawie prezent w postaci muzeum, z przekazaniem całej mojej kolekcji, łącznie z tą częścią, którą teraz sprzedam przez Desę. Chciałam tylko, żeby płacili za prąd, sprzątanie. A po dwudziestu latach oddałabym w darze. Wszystko. Czuję żal, jako Polka, że wciąż nie mogą powstawać u nas wielkie prywatno-publiczne inwestycje. Filantropię trzeba wspierać, a nie tępić. Mądrze robiona – to przecież służba publiczna za prywatne pieniądze. I szansa na rozwój kapitału społecznego – na całym świecie to właśnie prywatny kapitał napędza sztukę, naukę i edukację, to z niego rodziły się często topowe uczelnie, muzea i szpitale.

Jakie dzieła ozdabiają pani sypialnię?
– Praca Marlene Dumas.

A co z Jadwigą Maziarską, Yayoi Kusamą, Candidą Höfer czy Mary Martin, na które kiedyś pani spoglądała każdego poranka?
– Teraz jest Marlene Dumas. Jak pan zauważył, to też same kobiety.

Skąd zainteresowanie artystkami?
– Pewien znany historyk sztuki, przyglądając się „Ekstazie św. Teresy" Berniniego, nie potrafił odczytać, na czym polega ta ekstaza, co tak naprawdę rzeźbiarz miał na myśli. Z kolei twórca, też mężczyzna, nie umiał oddać emocji, które drzemią w kobietach.

Mężczyźni, którzy zajmują się historią sztuki, nie rozumieją do końca twórczości kobiet.

Naprawdę?
– Nie chcą jej rozumieć.

A co z tymi, którzy mają damską duszę?
– Nie znam takich. W latach 60. historyczka sztuki Linda Nochlin napisała esej „Dlaczego nie było wielkich artystek". Powód: historię sztuki pisali mężczyźni całkowicie skoncentrowani na sobie, nie chcieli zauważać kobiet. A to oni decydowali, kto jest popularny, kto tak naprawdę tworzy historię sztuki.

Weźmy żyjącą na przełomie XVI i XVII wieku Włoszkę Artemisię Gentileschi – ojciec dostrzegł jej talent, gdy była dzieckiem. Ale nie dołączył jej do grona swoich oficjalnych uczniów i sam się podpisywał pod jej pracami.

W Susch zorganizowałam wystawę Szwajcarki Heidi Bucher. Teraz znawcy zachwycają się jej twórczością, ale za jej życia sławny był tylko jej mąż.

Parę instytucji na świecie, również moja, zajmuje się wyszukiwaniem kobiet, które nie zostały należycie potraktowane za życia. Nikt nie wie, ile autorek czeka na odkrycie. To trochę jak archeologia, badamy i nie wiemy do końca, co znajdziemy.

• **Tadeusz Kantor – Pewnego dnia żołdak napoleoński..., 1988** FOT. MATERIAŁY PRASOWE DESA

Sam fakt, że te dzieła sprzedawane są w Desie, a nie w Sotheby's, najlepiej świadczy o tym, że Polska zawsze będzie dla mnie ważna

Czy to dlatego sprzedaje teraz pani na aukcjach w Desie dwieście prac, których autorami są głównie mężczyźni?
– Cenię mężczyzn, z wieloma artystami wiążą mnie piękne relacje. Ale zdecydowałam, że koncentruję się na artystkach. Dotyczy to nie tylko kolekcji, innych działań muzeum w Susch też. Mam poczucie, że w sztuce, jak i w wielu innych obszarach, kobiety miały i mają dużo cięższy start. A ich brak w sztuce wypacza obraz, dyskurs publiczny – jak i w każdej innej dziedzinie: polityce, biznesie, nauce. Uważam, że to trzeba zmieniać. A że sztuka to ten kawałek rzeczywistości, na który mogę mieć wpływ – będę to robić. Chcę oddawać kobietom głos, na jaki zasługują.

Pierwsza wystawa w Susch nazywała się „Kobieta patrząca na mężczyzn patrzących na kobiety".
– Każda następna była poświęcona konkretnej artystce. Ich nazwiska poszłyby w zapomnienie, gdyby nie takie instytucje jak moja.

Dziś również mężczyźni podpisują się pod pracami kobiet?
– Raczej nie, ale zdarzało się to jeszcze w pierwszej połowie XX wieku. Mówi się, że słynna „Fontanna" Marcela Duchampa była inspirowana przez kobietę, baronessę Elsę von Freytag-Loringhoven. Ale to niepotwierdzone.

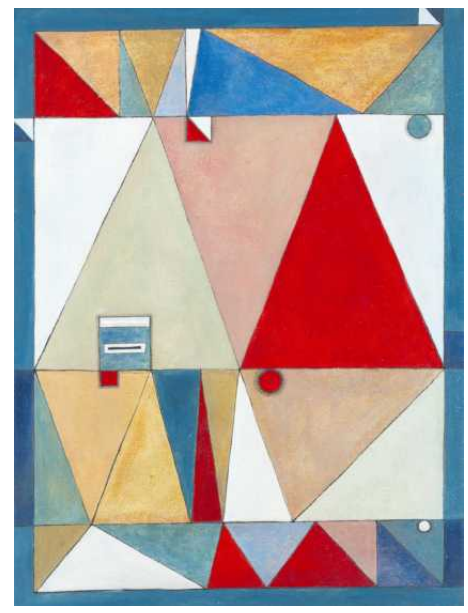

• **Jerzy Nowosielski – Abstrakcja, 1958**
FOT. MATERIAŁY PRASOWE DESA

A gdzie jest granica między inspiracją a współautorstwem?
– Współautorstwo zwykle jest odnotowane. Zapomina się o osobie, która inspiruje.

Co dla kobiet robi pani szwajcarska fundacja?
– To badania historyczne nad twórczością artystek. Ponadto to performance i choreografia – z którymi jestem związana od blisko dwudziestu lat. Są tu też rezydencje, do których zapraszam artystów, przede wszystkim związanych z choreografią, ale przyjeżdżają też historycy sztuki, pisarze. Na kilka dni albo kilka tygodni, żeby odświeżyć umysł, dyskutować, zawierać nowe znajomości. No i działalność wydawnicza – każdej wystawie towarzyszy książka, autorami są najwybitniejsi eseiści i eksperci.

I na to będą przeznaczone pieniądze ze sprzedaży kolekcji?
– Tak. Na zakup prac tworzonych przez kobiety, na badania, kolejne publikacje, stypendia.

Czyli polska sztuka autorstwa mężczyzn będzie marginalizowana w pani kolekcji?
– Te najważniejsze dla mnie prace zostawiam w zbiorze.

Kiedy została pani kolekcjonerką sztuki?
– Na studiach. Kupowałam drobne prace bliskich przyjaciół.

„Myślę, że zaczynałam od Malczewskiego" – tak mówiła pani „Wyborczej" osiem lat temu.
– Oj, to musiał być żart. Z samych początków mam parę plakatów, one były w zasięgu moich ówczesnych możliwości finansowych.

Jakie ma pani przesłanie dla przyszłych kolekcjonerek i kolekcjonerów, których dziś być może martwi perspektywa braku węgla i kartofli tej zimy?
– Są tysiące rzeczy codziennych, o które powinniśmy się martwić, ale czy ludzie powinni przestać czytać, oglądać filmy, słuchać muzyki? Sztuka była z ludźmi tysiące lat – również w tym złym czasie. Nie jestem polskim rządem, a o energię i ceny powinien troszczyć się on. Ja mogę mówić o sztuce w ogóle – o tym, że daje wrażliwość, że gdy inne rzeczy przemijają, zostaje sztuka i architektura.

Ile dzisiaj ma pani eksponatów w kolekcji?
– Bardzo dużo.

Tysiąc, dwa tysiące?
– Stan na dziś może być jutro nieprawdziwy.

Przecież i tak nie mam jak zweryfikować pani słów.
– Tym bardziej nie ma sensu o tym mówić. To jak pytanie o zarobki, nikt nie lubi ich zdradzać.

Za to wszyscy lubią rozmawiać o tym, kto ile zarabia.
– Ale nie ja.

Czyli nie odpowie też pani na pytanie, ile jest warta cała pani kolekcja?
– Nie, bo nie wiem. To też jest bardzo płynne.

Jak dobierała pani prace do sprzedaży?
– Podzieliliśmy je z Desą na pięć katalogów, np. „Pasja", poświęcony Eugeniuszowi Markowskiemu, Andrzejowi Szewczykowi, Markowi Chlandzie. To tacy nieoczywiści artyści, spoza głównego nurtu, dla mnie ważni. Ale nie są jeszcze wypromowani, dlatego ich wydzieliłam. Bo wiele innych nazwisk jest znanych, rozpoznawalnych.

Najpierw pani dzieło podziwia, potem kupuje, a następnie...
– ...a następnie dołączam do kolekcji.

Po czasie okazuje się, że w miejscach udostępnionych publiczności zaczyna brakować przestrzeni, żeby zaprezentować wszystkie prace. Stwierdziłam więc: podzielę się tym zbiorem, niech daje radość ludziom, innym kolekcjonerom i miejscom.

Wierzę, że sprzedaż tych dzieł, którą organizujemy wspólnie z Desą Unicum, będzie siłą napędową dla rynku sztuki w Polsce. Te dzieła mogą znowu żyć. Aukcja zawsze pobudza środowisko, może wzbogacić i rozwinąć wiele innych kolekcji. Witamina dodana do krwiobiegu dobrze robi.

2 RP

eprasa.pl 4fdfb41448

Ale te prace zamienią jedną prywatną ścianę na drugą. Nikt inny ich nie obejrzy.
– Cudów nie ma. Do tego potrzeba muzeów. Ale nie przesadzajmy – te prace będzie można oglądać w październiku w Desie Unicum przy ul. Pięknej w Warszawie. Liczę też, że kolejni kolekcjonerzy będą je prezentować.

Czy ta sprzedaż to kolejny – po przenosinach do Szwajcarii – sygnał z pani strony, forma protestu wobec naszej klasy samorządowo-politycznej, obojętnej wobec pani niegdysiejszej propozycji mecenatu i w ogóle sztuki?
– Nie. Po prostu porządkuję na nowo życie. Nie chcę dziś niczego od polskich władz, nawet jakby mi oferowano budynek wielkości fabryki Lilpopa.

W tym roku minęło pięćdziesiąt lat od momentu, gdy obroniłam egzamin magisterski. Proszę pomyśleć o biologicznej żywotności człowieka. Mam pomysł na co najmniej jeszcze dziesięć lat.

To jakie pani ma plany względem Polski, jeśli chodzi o sztukę i muzea?
– Obawiam się, że nie jestem w stanie niczego więcej zrobić. Jest Susch. Nie jestem Rockefellerem ani Elonem Muskiem. Pomagam, nie przestałam finansować projektów polskich artystów, ale nie jestem w stanie wybudować kolejnej instytucji takiej jak w Susch.

W Starym Browarze w Poznaniu chciałam zmieniać rzeczywistość lat 90., sprawić ludziom odrobinę przyjemności, przy okazji ich ucząc. W okresie dwudziestu lat prowadzenia Starego Browaru zorganizowałam ponad półtora tysiąca różnych wydarzeń i projektów kulturalnych i edukacyjnych.

Z pani tonu wnoszę, że przy okazji sprzedaży tych dwustu dzieł w Desie mówi pani Polsce adieu.
– Częściowo tak. Ale przecież sam fakt, że te dzieła sprzedawane są właśnie w Desie, a nie np. w londyńskim Sotheby's, najlepiej świadczy o tym, że Polska zawsze będzie dla mnie ważna. Zależy mi na polskich artystach, kulturze. To jest największa aukcja w historii nie tylko Polski, ale też regionu. Odbywa się w Warszawie, bo wiem, że to zwróci na nasz rynek i na naszych artystów oczy świata. W świecie sztuki tak realizuje się misję.

Od jak dawna nie mieszka pani w Polsce?
– Od dekady.

Moja perspektywa może być nieprawdziwa. Staram się nie oglądać telewizji, bo się denerwuję. Wiem oczywiście o wielu rzeczach, które się dzieją w kraju, wiem, o co toczy się walka. Jestem społecznicą, może nie taką jak Janina Ochojska, bo robiłam inne rzeczy, ale jednak wszystkie dla ludzi.

Czyli?
– Wszyscy najpierw potrzebujemy jedzenia, ubrania, schronienia. Ale nie można sprowadzać naszej egzystencji tylko do tego. Kultura ukształtowała nas jako ludzi.

Zawsze będę Polskę wspierała, kochała. Tęsknię za Polską bez względu na to, co się w niej dzieje. Ale powinni się znaleźć nowi ludzie, którzy będą robić to, co ja, nawet z tym nowym pokoleniem pozbawionym marzeń takich, jakie my mieliśmy – z nową wrażliwością i nowymi marzeniami. W razie potrzeby służę radą, drzwi otwarte, ku chwale ojczyzny, jak się kiedyś mówiło.

Wiem, nie spełniłam pana oczekiwań, liczył pan, że powiem, ile to jeszcze w Polsce zrobię. Czas na młodszych.

Jaką ma pani wizję spraw publicznych, przyszłości Polski?
– Jedyną drogą dla nas jest obecność w Europie. Wolności niczym nie można zastąpić, bez niej nie smakuje nawet chleb powszedni.

Dla mnie wolność oznacza możliwość pokazywania sztuki, czego w dzisiejszej Polsce bym nie miała. Gdy rozmawialiśmy w Polsce o wybudowaniu muzeum za moje pieniądze, z moimi eksponatami, to usłyszałam, że dyrektorem decydującym o programie musi być ktoś z nadania władz miasta.

A przecież władze, jak to władze, działają w cyklu wyborczym, a nie wieloletnim. Pomyślałam, że nie będę miała swobody w pokazywaniu sztuki trudnej, odważnej. W Susch mam tę wolność. Nikt nie powie, że dzieło jest niemoralne.

Jedyną drogą jest obecność w Europie – ale pani zamieszkała poza Unią.
– Tak. Ale Polska długo nie będzie Szwajcarią, a Unia Europejska dała nam szansę bycia tym, kim się staliśmy przez ostatnich trzydzieści lat. Szwajcaria nigdy z niczego nie potrzebowała się wyzwalać.

Dużo pani dostaje próśb: „pani Grażyno, niech pani pomoże, podzieli się tym, co ma"?
– Nikt nie wie, ile ja mam, są ludzie, którzy mają dużo więcej. A zwykle dostaję prośby od artystek o pokazanie ich prac w muzeum w Susch.

Często?
– Powiedzmy, dziesiątki w skali roku.

Mężczyźni też proszą?
– Nie.

Dlaczego?
– Już wiedzą, że postawiłam na kobiety, więc w sposób naturalny sami się wygumkowali.

Nie lubię mówić o tym, co prywatnie robię dla innych.

Ale czasami się o tym dowiadujemy. Zareagowała pani, gdy pianistka Jewa Gieworgian została, jak ujęła to nasza dziennikarka Anna S. Dębowska, „niezaszczycona przez jurorów jakąkolwiek nagrodą" podczas ostatniego Konkursu Chopinowskiego.
– Świetna dziewczyna. Pomyślałam: znów wyróżniono tylko mężczyzn. A dziewczyna, która pięknie grała i zasługiwała przynajmniej na któreś tam wyróżnienie, została pominięta, więc to był mój gest wsparcia.

Ufundowała pani nagrodę dla niej już po decyzji jury?
– No tak. Źle się poczułam z tym werdyktem.

A co z drugą połową pani aktywności? Gdzie ona się znajduje? W Polsce?
– Inwestuję w firmy, które z czasem uzyskują bardzo dobre wyniki, i nie oczekuję szybkich efektów finansowych. Mogę powiedzieć, że są to projekty międzynarodowe.

Lubię biznesy z kategorii disruptive. Czyli rewolucyjne, wywracające obecny ład

W jakiej branży?
– Cenię projekty medyczne. Wynalazki w dziedzinie medycyny niosą nadzieję.

A dokładniej?
– Nie bardzo mogę mówić.

Dlaczego?
– Kiedy się wchodzi do takiej firmy, podpisuje się zobowiązania co do poufności.

Myślałem, że to pani jako inwestorka decyduje, co inni mają podpisać?
– Ale nie jestem tam jedyną inwestorką. W skrócie: lubię biznesy z tzw. kategorii disruptive. Czyli rewolucyjne, wywracające obecny ład.

Mamy promocję artystek i innowacyjność. A co z planetą?
– Martwię się o nią, pierwszy raz w tym roku lato było tak gorące w górach. Na wysokości 1500 metrów mieliśmy temperatury rzędu trzydziestu stopni przez kilka tygodni. Teraz z kolei nadspodziewanie zimno, mróz.

Palicie już w piecu?
– Nie potrzebujemy ich. Mamy studnie głębinowe, ciepła woda ogrzewa budynki – to ekonomiczne i ekologiczne.

Co zmieniła pani w swoim życiu, aby zmniejszyć swój ślad węglowy?
– A co mogę zmienić?

Staram się żyć blisko natury, nie naruszać jej, czego przykładem jest moje Susch. Budowaliśmy je z architektami, którzy znani są z inwestycji w zgodzie z naturą. Skały, które musiałam skruszyć na muzeum, wykorzystałam do wykonania posadzki. Prąd mamy z elektrowni wodnych.

Pytaliśmy czytelników o ich doświadczenia w byciu eko. Jedni przestali kosić trawniki, inni myją się w misce, a potem tą wodą spłukują toaletę – mieli masę pomysłów.
– Trawę koszę tylko dwa razy w sezonie. Karmi się nią zwierzęta hodowlane, przekazuję rolnikowi nawet trawę z mojego ogródka.

A nie myślała pani o zainwestowaniu w jakiś biznes klimatyczny?
– Jestem ze starej szkoły, że każdy powinien robić to, w czym jest dobry. Ja jestem dobra w kreowaniu biznesów, które pozwalają promować sztukę. I tego się trzymam. ●

*Grażyna Kulczyk

• promotorka sztuki, filantropka, przedsiębiorczyni, jedna z najbogatszych Polek, właścicielka m.in. Muzeum Susch w Szwajcarii, gdzie prezentuje dzieła m.in. Moniki Sosnowskiej, Piotra Uklańskiego, Magdaleny Abakanowicz i Mirosława Bałki. Jedna z 200 największych kolekcjonerek według Artnews.com, jej kolekcja sztuki nowoczesnej jest uznawana za najważniejszą w tej części Europy.

KANTOR, FANGOR, NOWOSIELSKI. NAWET JEŚLI NIE KUPISZ, MOŻESZ OBEJRZEĆ

W przyszłym miesiącu pod młotek pójdzie niemal 200 dzieł z kolekcji Grażyny Kulczyk, m.in. prace Tadeusza Kantora, Wojciecha Fangora, Henryka Stażewskiego, Jerzego Nowosielskiego, Doroty Nieznalskiej, Zbigniewa Libery oraz osobiste odkrycia Grażyny Kulczyk, np. Vanessa Beecroft. Prace zebrano w pięciu tematycznych katalogach: „Awangarda", „Klasyka", „Pasja", „Powiększenie" i „Odkrycia".
Trzydniowy maraton aukcji zacznie się we wtorek, 18 października, o godz. 19 (katalog „Awangarda"). W środę o godz. 19 licytowane będą dzieła z katalogu „Klasyka", o godz. 20 z katalogu „Pasja". W czwartek o godz. 19 odbędą się licytacje prac z katalogu „Powiększenie", o godz. 20 z katalogu „Odkrycia". Dzieła będzie można obejrzeć w Desa Unicum przy ul. Pięknej 1A od 4 października w godz. 11-19 w dni powszednie, w sobotę w godz. 11-16.

Laureatka VII edycji Nagrody Literackiej im. W. Gombrowicza: BARBARA WOŹNIAK „NIEJEDNO"
Rezydencja literacka w Vence: MATEUSZ PAKULA „JAK NIE ZABIŁEM SWOJEGO OJCA I JAK BARDZO TEGO ŻAŁUJĘ"
Nagrodę i Festiwal „Opętani Literaturą" wspierają:
Mecenasi: Krzyżanowski, ZAKŁADY AUTOMATYKI KOMBUD SA
Partner strategiczny: Mazowsze. serce Polski
Partner główny: unidevelopment
Partnerzy: Miejska Biblioteka Publiczna im. Józefa A. i Andrzeja S. Zakrzeków w Radomiu, Muzeum Witolda Gombrowicza, TREND GLASS, Mazowieckie Centrum Sztuki Współczesnej ELEKTROWNIA
Patronat medialny: wyborcza.pl, KSIĄŻKI, BOOKLIPS.PL, NOWY ŚWIAT
Nagroda Literacka im. Witolda Gombrowicza
DZIĘKUJEMY! Prezydent Radomia i Muzeum Witolda Gombrowicza/ oddział Muzeum Literatury im. A. Mickiewicza
1 RP REKLAMA 34200266

eprasa.pl 4fdfb41448

ROLNICY SIĘ ZBUNTUJĄ

PO obsadzała stanowiska swoimi, ale zwykle kompetentnymi.
O PiS nie można tego powiedzieć

Z **ARTUREM BALAZSEM***, BYŁYM MINISTREM ROLNICTWA, ROZMAWIA **KRYSTYNA NASZKOWSKA**

Węgiel miał być tańszy, a jest droższy, produkcję nawozów wstrzymano z dnia na dzień, nie biorąc pod uwagę konsekwencji dla całej gospodarki, Odra zniszczona i nie ma winnych. Leci z nami pilot?
– To są ważne, trudne, ale jednak epizodyczne problemy. My się teraz zderzamy z problemem poważniejszej natury: z określeniem miejsca Polski na mapie Europy i świata. Miejsca, które powinno być polską racją stanu, czyli mocnej pozycji w Unii Europejskiej, miejsca, którego nikt nie podważa. Otóż dziś to miejsce nie jest określone do końca, a rządzący tak je przesunęli, że Polska, zamiast kształtować politykę Unii, znalazła się na jej obrzeżach.

Pan był zwolennikiem PiS i Jarosława Kaczyńskiego. Kiedy zaczął pan mieć wątpliwości?
– Zawsze starałem się w polityce szukać tego, co łączy, a nie tego, co dzieli. Kiedy pojawiała się szansa na PO-PiS, bardzo intensywnie nad tym pracowałem. Chodziłem od jednych do drugich, namawiałem do porozumienia. I przez jakiś czas wydawało mi się, że zgoda jest możliwa. Ale gdy wybory prezydenckie wygrał śp. Lech Kaczyński, Tusk uznał to za swoją osobistą klęskę, a ja zrozumiałem, że nie uda się doprowadzić do porozumienia.

Bo?
– Dostałem wtedy z obozu Platformy informację, że Tusk odrzuca porozumienie z PiS, nic z tego nie będzie.

Czyli wina Tuska?
– Powiem tak: wtedy bardziej skłonny do zawarcia koalicji rządzącej był Kaczyński. Rozmawialiśmy o utworzeniu rządu z premierem Janem Rokitą. Może dla „Wyborczej" to nie jest przyjemna informacja, ale historycy powinni wiedzieć, że wtedy bardziej do kompromisu skłaniał się Kaczyński. I to mnie ulokowało siłą rzeczy bliżej niego. Pomogłem zbudować koalicję z Samoobroną i Ligą Polskich Rodzin, namówiłem do tego Andrzeja Leppera.

Rozwalić tę koalicję dwa lata później też mu pan pomagał?
– Nie, absolutnie! To był pierwszy moment, kiedy między nami pojawiła się zasadnicza różnica zdań. Rozsadzenie tej koalicji zostało świadomie przygotowane, chodziło o pozbycie się Leppera i przejęcie posłów Samoobrony, tak jak ostatnio przejęto Kukiz'15. Tłumaczyłem Jarkowi, że to się nie uda, bo posłowie są przyklejeni do Leppera, oni go nie zostawią i cała awantura skończy się wcześniejszymi wyborami.

Ale go pan nie przekonał.
– Nie tyle on sam, co jego otoczenie już tę grę rozpoczęło i nie zamierzało się zatrzymywać. I faktycznie, skończyło się wyborami przedterminowymi, które PiS przegrało.

To Kaczyński nie panował nad swoim otoczeniem?
– To samo pytanie można zadać sobie i dziś. Czy on panuje nad wszystkim? Mam wątpliwości co do jego wpływu na bieg zdarzeń i na to, co dzieje się w rządzącym układzie.

W każdym razie PiS przegrało i nadeszły rządy Tuska. Po dwóch-trzech latach zacząłem mówić publicznie o totalnym zawłaszczaniu państwa. Platforma obsadzała swoimi, co się dało. Wydawało mi się, że gorzej już być nie może. A PiS miało na sztandarach prawo, sprawiedliwość, walkę z korupcją, skończenie z partyjniactwem. To dawało nadzieję na zmianę na lepsze. Afera z Lepperem dawała mi do myślenia, ale mimo wszystko chciałem wierzyć, że nadejdą lepsze czasy.

Kiedy ta nadzieja umarła?
– Najpierw przy zmianach w Trybunale Konstytucyjnym i sędziach dublerach, a następnie przy tzw. reformie Sądu Najwyższego naruszającej konstytucję, co zapowiadało poważne konflikty z Unią Europejską. Uważałem to za poważny błąd.

Mówił to pan Kaczyńskiemu?
– Oczywiście! Miałem znajomych, a nawet przyjaciół wśród komisarzy i byłych komisarzy unijnych, czterech z nich uczestniczyło w otwarciu Centrum Współpracy Międzynarodowej na wyspie Wolin. Jesienią 2015, po wyborach parlamentarnych, PiS dokonało zmian w ustawie o Trybunale Konstytucyjnym z zamiarem wyboru sędziów dublerów. Komisarze ostrzegali wówczas, zwłaszcza w kontekście zapowiedzi tzw. reformy wymiaru sprawiedliwości, że narasta konflikt polskiego rządu z Komisją Europejską wokół praworządności i że będą problemy, jeśli polski rząd nie zmieni kontrowersyjnych projektów. Przekazałem te informacje Kaczyńskiemu.

I co on na to?
– Wysłuchał. Miałem poczucie, że nie za bardzo się przejmuje, nie wierzy w poważny konflikt.

Był moment, kiedy miał chwilę refleksji – to był początek tzw. reformy Sądu Najwyższego. Mogło wtedy dojść do porozumienia z KE, odbyło się kilka zakulisowych rozmów, do Warszawy przyjechał wysłannik przewodniczącego KE Jeana- Claude'a Junckera, by przygotować spotkanie z Kaczyńskim. Zostały nawet określone czas i miejsce. I wtedy w Sejmie pojawiła się ustawa o SN. Oczywiście w Unii cały czas były różne wątpliwości, zastanawiano się, czy Kaczyński gra czysto.

A pan zapewniał tych swoich znajomych, że gra czysto?
– Ja mówiłem, że dopóki będę miał poczucie, że szukamy porozumienia, to będę w tym procesie uczestniczył. W momencie przyjęcia przez Sejm ustawy o SN Kaczyński powiedział mi, że sprawy zaszły za daleko i do spotkania z Junckerem nie dojdzie. Zrozumiałem po raz kolejny, że przesądziło o tym otoczenie Kaczyńskiego...

Znowu otoczenie! O kim mówimy?
– Między innymi o Zbigniewie Ziobrze i jego grupie. Tak zaproponowali zapisy ustawy, by nie można już było zawrzeć jakiegoś kompromisu.

To dlaczego Kaczyński się temu poddał?
– Nie siedzę w jego głowie. Wiem tylko, że do tego momentu Kaczyński był gotów do kompromisów z Unią, chciał się porozumieć i odstąpić od części tej reformy budzącej największe wątpliwości. Tego dnia ta moja wiara się skończyła.

Przestaliście się kumplować?
– Nigdy nie byliśmy stricte kumplami. Sądziłem, że łączy nas wspólnota interesów

1 RP

eprasa.pl 4fdfb41448

FOT. STEFAN MASZEWSKI/REPORTER

Polski i nigdy nie narazimy kraju na podawanie w wątpliwość naszej obecności w Unii.

Z drugiej strony – zaczęły mnie razić sprawy kadrowe. PiS ma bardzo krótką ławkę – ludzi dobrze wykształconych, sprawnych, kompetentnych, doświadczonych w pełnieniu funkcji administracyjnych ma bardzo mało. I coraz częściej docierały do mnie głosy o zmianach, które nie miały nic wspólnego z kompetencjami, tylko z czystą polityką. Zamiast ludzi merytorycznych wszędzie wchodzili ludzie związani z PiS. Stwierdziłem smutno, że po rządach Platformy może być niekoniecznie lepiej, upartyjnianie państwa wcale się nie skończyło, a nowi ludzie są do tego mniej kompetentni niż poprzednicy. Bo jednak PO dawała ludzi związanych z partią, ale na ogół kompetentnych.

To rozumie pan karierę Obajtka?
– Oczywiście. To czas na takie kariery. Ludzi znikąd zamiast fachowców.

W Kołbaczu jest zakład doświadczalny Instytutu Zootechniki, który specjalizuje się w hodowli krów mlecznych, jeden z najlepszych w kraju i w Europie. I nagle PiS postanawia wymienić prezesa, który ponad 20 lat tym zakładem zarządza i ma doskonałe wyniki, na kobietę, która nigdy hodowlą się nie zajmowała. Konkurs, rozpisany po zakończeniu kadencji, wygrał dotychczas urzędujący prezes, ze względu na informacje publiczne ujawniające kompletny brak kompetencji kandydatki PiS. W trakcie kolejnej kadencji usunięto go i powołano wcześniejszą kandydatkę.

A takich nominacji są nie setki, tylko tysiące. Dziś przyznaję z pokorą, że obawy przed zawłaszczaniem państwa przez Platformę okazały się niewspółmierne do dzisiejszego desantu ludzi niekompetentnych.

Adam Glapiński to dobry prezes NBP? I dlaczego prezes?
– Osobę bardziej niekompetentną i nieodpowiedzialną na tym stanowisku trudno sobie wyobrazić. Wprowadzał obywateli w błąd, mylił się, opowiadał banialuki. Kiedy już chyba wszyscy widzieli, jak nadchodzi olbrzymia inflacja, on tłumaczył, że to wymysły opozycji. Glapiński w NBP jest tak samo potrzebny Kaczyńskiemu jak Julia Przyłębska w Trybunale Konstytucyjnym – w takim miejscu musi być człowiek, który będzie wykonywał polityczne dyspozycje.

To jak funkcjonuje obecna administracja rządowa? Choćby na przykładzie niedawnego zamieszania z nawozami.
– Wewnątrz obozu rządzącego są olbrzymie podziały, co zresztą będzie utrudniało nam wyjście z kryzysu.

Decyzja o zatrzymaniu produkcji nawozów była skrajnie nieodpowiedzialna. Jak to możliwe, że spółki, których właścicielem jest skarb państwa, mogły wpaść na taki pomysł?! Rzecz bez precedensu. A holding spożywczy, który miał być panaceum na wszelkie problemy w rolnictwie, nie zaczął nawet funkcjonować. Mamy w rządzie dwóch wicepremierów – Jacka Sasina, któremu podlegają spółki produkujące nawozy, i Henryka Kowalczyka, który odpowiada za rolnictwo, a więc i za zawirowania na rynku nawozowym. W spółkach rządzą nominaci Sasina i pewnie go uprzedzili o zawieszeniu produkcji. On to puścił mimo uszu, bo na rolnictwie się nie zna, nie miał pojęcia, jakie mogą być konsekwencje tej decyzji. Przypuszczam, że nawet o tym Kowalczykowi nie powiedział.

PiS chce nas wyprowadzić z Unii?
– Na pewno podaje w wątpliwość naszą obecność. Dla mnie Unia była i jest bardziej wspólnotą wartości niż bankomatem. O to walczyliśmy z komunistami jeszcze w latach 80. – o uznanie demokracji za ustrój najlepszy z możliwych. I wchodząc do Unii, uznaliśmy, że ten system wartości nas obowiązuje, będziemy go szanować i respektować.

Byłem wśród tych, którzy przygotowywali nasze stanowisko przed akcesją. Otóż myśmy się wtedy zgodzili, że różnego rodzaju spory będą rozstrzygane przez instytucje unijne, a nie krajowe – bo zawsze są jakieś kwestie sporne. Zaakceptowaliśmy wyższość prawodawstwa unijnego. Poszczególne kraje nie mogą sobie samodzielnie rozstrzygać sporów na swoją korzyść. Tak Unia nie może działać. I dlatego tej obecnej naszej władzy potrzebny był tzw. Trybunał Konstytucyjny Przyłębskiej – by rozstrzygał spory bez odwoływania się do instytucji unijnych.

Może być gorzej, niż jest teraz?
– Może. My nie mamy żadnego przyjaciela w Unii, a w kwestii praworządności podobnie jak Unia oceniają nas też USA. Nawet Orbán już nie jest naszym przyjacielem. Byłem honorowym konsulem Węgier, ale kiedy Orbán faktycznie poparł Putina w sprawie agresji Rosji na Ukrainę – zrezygnowałem. Węgry to moja druga ojczyzna, mój ojciec się tam urodził, dziadek był rotmistrzem węgierskich huzarów, mam ogromny sentyment do tego kraju. Ale po tym, co zrobił Orbán w sprawie wojny w Ukrainie, nie mogłem być dłużej honorowym konsulem.

Wcześniej na Węgrzech Orbán robił różne rzeczy, które niszczyły demokrację, a był wzorem dla Kaczyńskiego. To pan akceptował?
– Nie, ale patrzyłem na niego jako na chwilowego reprezentanta narodu. To do narodu mam sympatię, a nie do Orbána.

Orbán i Kaczyński byli sobie potrzebni, wspierali się w Unii. A swoją drogą – on ma dziś lepsze relacje z Brukselą niż my. On cały czas prowadzi grę z Unią. Sentymenty w obozie władzy do Orbána pozostały, ostatnio premier Morawiecki wspomniał o potrzebie odbudowy dobrych relacji. To zupełnie nierealistyczne, Orbán stał się zakładnikiem Putina, który mu nie pozwoli z tej roli się wyzwolić. Z Putinem Orbán nie ma szans na prowadzenie takiej gry, jaką prowadzi z Brukselą.

Kaczyński też próbuje.
– No właśnie: próbuje. Orbán ograł Kaczyńskiego. Grupa Wyszehradzka przestała funkcjonować, bo nie istnieje już tandem polsko-węgierski. Mieliśmy konflikt z Czechami. Nasze sojusze, które miały być przejawem naszej międzynarodowej aktywności, legły w gruzach. Polska nie zadbała o dobre relacje w ramach Trójkąta Weimarskiego, nie potrafiliśmy się tam odnaleźć, poszliśmy drogą konfliktów z Unią i ważnymi krajami, które tworzą Trójkąt Weimarski.

Czyżby o naszej przyszłości decydował Ziobro? Szef malutkiej partyjki, która nie ma szans na samodzielny start w wyborach?
– To byłaby niezmiernie smutna konstatacja, gdyby okazało się, że to nie Kaczyński ulega Ziobrze, ale że poglądy Kaczyńskiego są bardzo zbliżone do poglądów Ziobry. Nie szukajmy „czarnego luda", raczej przyjmijmy pogląd, że Ziobro realizuje scenariusz akceptowany przez Kaczyńskiego. To jest scenariusz rozpisany na role.

To o co tu chodzi? O paru sędziów?
– No nie. Jesteśmy już po pewnych decyzjach podjętych przez trybunały unijne. A więc pisowska reforma sądownictwa musiałaby być de facto zawrócona – cała, łącznie z Trybunałem Konstytucyjnym, Krajową Radą Sądownictwa itd.

To by było przyznanie, że Polska przez pewien czas zupełnie zeszła ze ścieżki praworządności, a instytucje tu stworzone są wolne i niezależne tylko z nazwy. I wszystko dzieje się z nominacji politycznych. Pole manewru jest praktycznie żadne – trzeba by wszystko zmienić łącznie z przywróceniem do pracy sędziów zwolnionych przez tzw. Izbę Dyscyplinarną. Jeśli więc za całą tzw. reformą sądownictwa stoi faktycznie sam Kaczyński, a nie Ziobro, to nie jestem dobrej myśli.

Nasz rząd próbuje ciągle coś lukrować – i tu mistrzem świata w mistyfikacji okazał się premier Morawiecki. Ale efekty tego kuglowania z Unią są dramatyczne.

Na przykład?
– Choćby słynne „kamienie milowe". Mamy zablokowane olbrzymie środki finansowe, gigantyczną inflację, która najbardziej zagraża najbiedniejszym. I w takiej sytuacji do Polski przylatuje przewodnicząca Ursula von der Leyen. Rozmawia z polskimi władzami, ustalają te „kamienie milowe", Senat, także głosami PiS, zmienia ustawę, która wyszła z Sejmu, na taką, którą po przyjętych poprawkach akceptuje UE, precyzującą „kamienie milowe". Pani von der Leyen wraca do Brukseli, a u nas ustawa wraca do Sejmu i tam poprawki senackie zostają odrzucone. Zadrwiono sobie z przewodniczącej Komisji Europejskiej. Stało się coś niewyobrażalnego w krajach cywilizowanych.

Ona tak to odebrała?
– Musiała. Nawet gdyby nie chciała, to potem w ramach debaty w Parlamencie Europejskim nie zostawiono na niej suchej nitki. Mówiono, że ją okpiono, skompromitowano. Takie rzeczy ustawiają nas na ścieżce całkowitego zmarginalizowania i mogą się skończyć sytuacją, kiedy Polska znajdzie się poza Unią.

Czyli Kaczyński się nie cofnie?
– Znam go długo, od 1989 roku. Myślę, że jest jeszcze szansa, by obudziło się w nim poczucie odpowiedzialności za Polskę. Bo jak nie w Unii, to gdzie?

> Znam Kaczyńskiego długo. Myślę, że jest jeszcze szansa, by obudziło się w nim poczucie odpowiedzialności za Polskę

Czeka nas trudny czas, który już się zaczął – potężny kryzys ekonomiczny, wysoka inflacja, która wbrew prognozom szefa NBP wcale nie topnieje, węgla brakuje, jego cena jest trudna do zaakceptowania i zimą zwłaszcza najbiedniejsi mogą mieć problem z ogrzewaniem, czynsze idą w górę, nawet przy 14. emeryturze ludzie mogą mieć kłopot z przeżyciem do kolejnej wypłaty. Te pieniądze z KPO są wielką szansą, by pomóc gospodarce i ludziom.

Największymi beneficjentami naszego wejścia do Unii są rolnicy. Nie ma grupy, która by bardziej na tym skorzystała. Poparcie dla naszej obecności w Unii wśród rolników jest na poziomie około 90 proc. A to jest od lat elektorat PiS. Jeśli rolnicy się zorientują, że mogą stracić dopłaty, fundusze na inwestycje, to odwrócą się od PiS.

I na tym opieram moją nadzieję: PiS zdaje sobie sprawę, że bez głosów rolników nie wygra – tylko mając ich poparcie, ma szansę na dalsze rządzenie. Nie ma szansy wygrać, jeśli rzuci hasło wyjścia z Unii.

Nie musi tego mówić. Zamiast tego Kaczyński powie, że walczy o wielkie pieniądze od Niemców – po 160 tys. na głowę. Już widać z sondaży, jak to hasło podoba się społeczeństwu.
– Nawet jak nie powie wprost, to decyzja Brukseli o wstrzymaniu środków, a może i pozbawieniu nas głosu, będzie na to jednoznacznie wskazywać. On nie musi tego mówić, ludzie i tak się zorientują, że rządzący chcą nas z Unii wyprowadzić. A to sprawi, że PiS nie będzie rządziło po wyborach. Może być największym ugrupowaniem, ale nie zdoła stworzyć rządu.

Jak daleko może się posunąć Kaczyński, by utrzymać władzę?
– Boję się nawet snuć domysły. Możliwe są różne czarne scenariusze.

A co z roszczeniami za straty z II wojny? Pomogą Kaczyńskiemu?
– Polska nie uzyskała żadnych odszkodowań i była chyba najbardziej poszkodowana ze wszystkich krajów – to fakt, więc możemy mieć poczucie krzywdy i oczekiwać zadośćuczynienia od Niemców. Ale ruszenie tej sprawy w sytuacji, kiedy nie mamy w Unii żadnych przyjaciół, i jeszcze w takim stylu, nie daje nam szans na sukces.

Gdyby rząd naprawdę chciał uzyskać reparacje, toby się inaczej do tego zabrał. Jedyny skutek, jaki PiS osiągnie, to pogorszy jeszcze sytuację Polski w Unii. Skóra mi cierpnie, kiedy pomyślę, że tak nieprofesjonalne uruchomienie sprawy roszczeń wojennych może obudzić upiory ziomkostw.

A dlaczego PiS ciągle ma tak duże poparcie, choć tak źle oceniamy te rządy?

eprasa.pl 4fdfb41448

FOT. CEZARY ASZKIEŁOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Około 30 proc. społeczeństwa tego nie widzi?
– Poprzednie rządy – obciąża to głównie Platformę – niezbyt pochylały się nad losem najsłabszych. A PiS, przynajmniej w pierwszej kadencji, wykonało bardzo istotne gesty, skierowało tam duże transfery socjalne. I to ciągle działa. Ludzie raz uwierzyli, że coś dostaną, i wierzą nadal, bo faktycznie dostali. PiS stało się w ich oczach partią wiarygodną. Platforma mówiła, że pieniędzy na pomoc nie ma w budżecie i nie będzie, nikt ich nie da, a obietnice przedwyborcze PiS są tylko obietnicami bez pokrycia. A PiS jednak dało, pieniądze się znalazły, a państwo nie zbankrutowało. Dopiero ta zima będzie wyzwaniem. Ale trudno wyzbyć się nadziei. Ci, którzy dostali te 13. i 14. emerytury, mają nadzieję, że nadal będą zaopiekowani, PiS ich nie zostawi bez pomocy. Gdyby nie zwarcie z Unią, to PiS mogłoby rządzić jeszcze kilka kadencji.

Opozycja powinna się teraz dogadać, by wygrać wybory? Jedna lista, dwie czy może kilka?
– Kraj jest podzielony na PiS i PO. Nie będzie normalności, jeśli nie pojawi się alternatywa dla tej dwubiegunowości. Platforma wyraźnie już wybrała swoją drogę, ale część opozycji musi się porozumieć tak, by były po tej stronie dwa obozy, dwie listy opozycyjne. Jedna wspólna nie da gwarancji zmiany władzy, bo są zbyt głębokie podziały między ugrupowaniami opozycyjnymi, to będzie zniechęcało część wyborców.

Sondaże wskazują na coś innego – najlepszy wynik opozycja osiągnie, jeśli przedstawi jedną listę.
– Już to przetestowaliśmy w wyborach do europarlamentu. Także na Węgrzech to nie zdało egzaminu, bo tam rządzący świetnie wykorzystali podziały w opozycji, by zniechęcić do głosowania na nią. Nie mam wątpliwości, że to samo stanie się u nas, jeśli będzie jedna lista.

Lubi pan Tuska?
– Znam go dość dobrze, podobnie do Jarka. Do pewnego czasu mieliśmy dużo kontaktów. Nasze drogi się rozeszły w związku z niechęcią Tuska do budowy skrzydła ludowego opartego na Stronnictwie Konserwatywno-Ludowym. On jest trochę do Kaczyńskiego podobny, jeśli chodzi o sposób uprawiania polityki, obaj mają pewną bezwzględność, podporządkowują sobie ludzi i instrumentalnie ich traktują.

Stawiają na miernych, ale wiernych?
– Powiem raczej, że nie lansują ludzi nieprzeciętnych, takich, których potencjał może być większy od ich samych. Tusk uratował Platformę, rzucił jej koło ratunkowe, kiedy tonęła. Gdyby nie wrócił, to PO tylko by topniała, nie miałaby szans na przekroczenie 20 proc. poparcia. To wyrazistość Tuska powoduje, że spora część starego elektoratu Platformy do niej wróciła.

Ale wcale nie cieszy się dużym zaufaniem wyborców.

*Artur Balazs

• ur. w 1952 r., rolnik, polityk, poseł kilku kadencji i senator (1993-97), minister rolnictwa w latach 1999--2001. Kierował rozwiązanym w 2014 r. Stronnictwem Konserwatywno-Ludowym

– Tak samo jak Kaczyński. Niemniej jego powrót zmobilizował elektorat Platformy.

Co daje przesunięcie terminu wyborów samorządowych?
– Najbliższe wybory parlamentarne to najważniejszy egzamin demokracji. Kuglowanie przy terminach konstytucyjnych ordynacji, okręgach wyborczych w przededniu wyborów to zaproszenie do destabilizacji państwa i kryzysu konstytucyjnego. Z kolei przestrzeganie reguł demokratycznego państwa prawa doprowadziłoby przede wszystkim do porozumienia z KE w sprawie praworządności. Konsekwencją byłoby uruchomienie olbrzymich środków z Krajowego Planu Odbudowy. Taka sytuacja otwiera możliwość wsparcia w czasie wyborów również przez elektorat, dla którego członkostwo w Unii jest bezalternatywne. Inny scenariusz to chaos, zawieszenie demokracji i złamanie reguł konstytucyjnych.

Przedłużenie kadencji samorządowej i przeprowadzenie wyborów parlamentarnych w pierwszej kolejności to dla PiS scenariusz najkorzystniejszy. Nabrało to szczególnego znaczenia po pierwszej turze wyborów w Rudzie Śląskiej. PiS w te wybory zaangażowało wszystkie możliwe siły i środki, łącznie z czynną aktywnością prezesa Kaczyńskiego. Wynik to prawdziwa klęska PiS. Brak w drugiej turze ich kandydata i 26 proc. poparcia to znacznie poniżej sondaży publikowanych nawet w najbardziej nieprzychylnych mediach.

Wybory samorządowe bez wątpliwości wygra opozycja, a gdyby były pierwsze, to utrwalą tendencje rozstrzygnięć na jej korzyść. Zmieniając kolejność, PiS próbuje uniknąć niekorzystnego kalendarza politycznego.

Rozmawia pan jeszcze z Kaczyńskim?
– Ja się na niego nie obraziłem, ludzie powinni się wysłuchiwać, szukać tego, co łączy. Ale kiedy uświadomiłem sobie, że został zatwierdzony scenariusz wyjścia Polski z Unii, moja rola się skończyła. Od ponad roku nie próbowałem z nim rozmawiać. Chyba wszystko między nami zostało już powiedziane. Gdyby jednak zdecydował się na odbudowanie dobrych relacji z Unią, niezmiennie może na mnie liczyć. ●

Z TYM WYDANIEM DOSTAJĄ PAŃSTWO DOSTĘP DO:

1. Serwisu Wyborcza.pl na sobotę i niedzielę

2. Fragmentu książki „Johnny. Powieść o księdzu Janie Kaczkowskim” Macieja Kraszewskiego

Ks. Kaczkowski, niezwykły dziwak, traktowany lekceważąco przez ważne eminencje, miał podejście do młodych gniewnych. Angażował chłopaków z zawodówki, na pozór twardych buntowników, do pomocy chorym. Działając często w niekonwencjonalny sposób, jaki nie przystoi księżom, zjednywał serca i zyskiwał popularność. To historia wywrotowej przyjaźni, która nie miała prawa się wydarzyć, a zdarzyła się naprawdę.

Twój wyjątkowy kod dostępu

do fragmentu książki „Johnny. Powieść o księdzu Janie Kaczkowskim” Macieja Kraszewskiego oraz treści Wyborcza.pl na ten weekend:

MKJPJ22

Aby skorzystać z kodu:
① Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
② Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
③ Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
④ Aktywuj dostęp w ten weekend
⑤ Fragment książki czytaj na Wyborcza.pl/czytelnia

Jeśli masz pytania lub kłopot z aktywacją kodu, chętnie pomożemy. Skontaktuj się z infolinią: tel. 22 555 54 55 (sob. 9–17), e-mail: pomoc@wyborcza.pl.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY 34176931 1 RP

eprasa.pl 4fdfb41448

Bóg to nie ogrodowy krasnal

Pomyślcie, co by było, gdyby Doda powiedziała, że niebinarność wymyślił jakiś napruty winem gość?

Marcin Matczak

Nareszcie! Siedem lat nudnego sporu na linii Polska – Europa o to, które sądy mają rację (nasze patriotyczne czy ich wraże, zagraniczne), a tu konflikt, który rozpala nawet czytelników Pudelka: Doda pokonała kołtuńską Polskę w Strasburgu w sprawie o bluźnierstwo! W tle alkohol i narkotyki (czy autorzy Biblii byli „napruci winem i palili zioło”?), wielkie pieniądze (10 tys. euro odszkodowania) i wolność słowa kontra religia.

O sprawie pisano, wybieram więc z niej co bardziej smakowite kąski. Po pierwsze, kazus Dody potwierdza tezę doktora House'a, że wszyscy kłamią, a przynajmniej plączą się w zeznaniach. Zamiast niezłomnie stać na straży wolności słowa, przed sądem tłumaczyła, że „napruty” to „pozytywnie nastawiony”, „wino” było „mszalne”, a „zioło” to roślina lecznicza. Sąd polski nie dał się niestety przekonać wizją pozytywnie nakręconego kapłana, który zza ołtarza, na którym spożywa wino mszalne, leczy ludzi jakimiś oparami, a w przerwach między buchami kreśli na kartce Apokalipsę.

●

Po drugie, w sprawie Dody chodzi o zasady. Prawo to przede wszystkim zero-jedynkowe reguły. Przykład: limit 50 km/godz. w zabudowanym. Albo w nim się mieścisz, albo nie – tertium non datur, jak mawiali napruci winem, nieżyjący już, ale pozytywnie nakręceni ludzie. Zasady nie są zero-jedynkowe, ale podobne do suwaka: może ich być więcej lub mniej. W sprawie Dody starły się dwie – wolność słowa z wolnością wyznania i jej element: ochrona uczuć religijnych. I sąd polski, i strasburski musiały suwak jakoś ustawić: im więcej wolności wypowiedzi, tym mniej ochrony uczuć religijnych, i vice versa, jak mawiali kiedyś ludzie palący sami wiecie co. Sąd polski uznał, że Doda mogła krytykować Biblię, nie obrażając uczuć religijnych, a więc ustawił suwak w połowie skali. Strasburg uznał, że granica wolności wypowiedzi powinna sięgać dalej i kończyć się dopiero tam, gdzie pojawia się wezwanie do przemocy. A tak w przypadku Dody nie było.

●

Ważenie zasad budzi emocje większe niż ważenie bokserów przed walką. Polski, konserwatywny sędzia Trybunału w Strasburgu Krzysztof Wojtyczek pokazał w zdaniu odrębnym, że kiedyś Trybunał odpuścił Turcji, która skazała pisarza za zdanie „Mahomet nie zabronił stosunków seksualnych z martwym człowiekiem lub żywym zwierzęciem”. Nie ukarał Austrii, która skazała kobietę za wypowiedź „Mahomet był pedofilem”. Zasugerował, że Trybunał bardziej chroni islam niż chrześcijaństwo, ale nie ma racji. Jeśli ustawiamy suwak tam, gdzie słowo może prowokować przemoc, pamięć o zamachu na redakcję „Charlie Hebdo” musi odgrywać jakąś rolę.

Z drugiej strony to kryterium krótkowzroczne – im bardziej wojujący są przedstawiciele jakiejś religii (nawet gdy to tylko garstka oszołomów), tym większa ochrona dla uczuć jej wyznawców. A to może, upraszczając, zachęcać do powoływania chrześcijańskich bojówek. Na szczęście taka zachęta nie pojawiła się nawet w opinii przyjaciela sądu, którą złożyło Ordo Iuris.

●

Po trzecie, sprawa Dody nadaje się na studium ogromnej niewrażliwości. Zostawmy dyskusję o przestępstwie bluźnierstwa – w nowoczesnym państwie ludzie powinni chronić swoje uczucia religijne w drodze pozwów cywilnych, nie przez prokuratora. Porozmawiajmy, jak katolik z ateistą, o wzajemnym szacunku dla siebie. To, co uderza w gratulacjach dla Dody, to nie radość, że wolność słowa wygrała, ale przekonanie, że jej słowa były merytorycznie i moralnie słuszne. I tu zaczynam się drapać w głowę.

Polskie Stowarzyszenie Racjonalistów uważa, że uczucia religijne są jak uczucia estetyczne – skoro te pierwsze są chronione, chronić należy także uczucia tych, którzy są zmuszeni patrzeć na krasnale ogrodowe. Jan Hartman, człowiek, któremu wiedza i elokwencja pozwalają w najbardziej wyrafinowany w Polsce sposób wyzywać Telewizję Trwam, pisze, że ochrona uczuć związanych z Biblią („zbiorem rozmaitych legend żydowskich”) ma tyle sensu, co ochrona uczuć związanych z „Iliadą”. „Co, panowie prokuratorzy?” – argumentuje. – „Ja tak mówię, że Homer był nawalony w trzy d... Będę miał sprawę? No właśnie”.

●

Bardzo śmieszne. Ludzie, którzy nie wierzą w nic, bo są naczyniem, na którego dnie pozostał tylko osad rozczarowania, nie wierzą, że religia może być częścią czyjejś tożsamości. Nie dlatego, że ktoś wierzy w bajki, ale dlatego, że religia została im przekazana przez przodków. Gdy ktoś słyszy, że przodkowie przekazywali mu treści stworzone po pijaku przez naćpanych gości, słowa te uderzają nie w Bozię, ale w pamięć o nich, bo wychodzą na zacofanych idiotów. Tymczasem nie każdy wyobraża sobie Boga jak ogrodowego krasnala i nie dla każdego tradycja jest opresją.

Kto uderza w uczucia religijne, w świetle prawa uderza w godność osobistą, a więc poniża. Dlatego Doda nie powinna zostać skazana, ale skrytykowana. Pomyślcie, co by było, gdyby powiedziała, że niebinarność albo niebiologiczną koncepcję płci wymyślił jakiś napruty winem gość? Że ten, kto wpadł na pomysł wprowadzenia neutralnych genderowo zaimków i toalet, był z pewnością naćpany ziołem? Czy wtedy Hartman biłby jej brawo? Byłaby kanselowana, nie hołubiona, bo uderzyłaby w godność osób trans i niebinarnych. Z tą godnością wielu krytyków religii się utożsamia. A z inną nie, więc może w nią nawalać.

Ludzka godność jest jedna i nie ma dwóch grubości skóry – katolika i osoby niebinarnej, zwłaszcza że może to być jedna i ta sama osoba. Wojtyczek pisze, że słowa kpiące z religii „rozwijają uprzedzenia społeczne wobec określonych grup, wpływają na godność, poczucie tożsamości, wartości i pewności siebie ich członków”. Ciekawe, czy rozumie, że ten sam mechanizm działa, gdy ktoś kpi z osób trans. Hartman zgodzi się, że narusza godność osób trans twierdzenie, że są tylko „zdezorientowane” (przykład wypowiedzi naruszającej godność ze strony „Healthline”). Nie rozumie, jak poniżają słowa, że autor Dekalogu był napruty i naćpany.

Gdyby tylko udało się wykształcić Polaka, który byłby takim Wojt-manem albo takim Har-tyczkiem! Ale chyba nie można wziąć sobie tego, co najlepsze, z dwóch, rozdzielonych niewrażliwością światów. ●

Media katolickie zawsze mają pod górkę

Kiedy i czy w ogóle do redakcji tygodnika „Niedziela” dotrze, że padli ofiarą straszliwej i okrutnej manipulacji?

Magdalena Czyż

Media katolickie zawsze mają pod górkę, ich dziennikarze wiedzą bowiem, że nie wolno im wybierać dróg na skróty. W panującym wokół hałasie informacyjnym ktoś musi wskazywać na horyzont i – jakkolwiek poważnie to zabrzmi – na niezmienne wartości zakodowane przez Stwórcę w prawie moralnym. Dlatego my, dziennikarze katoliccy, staramy się pisać o sprawach, które świat pomniejsza, pomija, czasem wyśmiewa – o prawdziwych, w tym duchowych, a nie wykreowanych problemach ludzi. W morzu hejtu, fake newsów pokazujemy pozytywne aspekty życia” – pisze w najświeższym wstępniaku naczelny tygodnika „Niedziela” ks. Jarosław Grabowski.

No wspaniale, myślę, bardzo to zacne. Tylko że po ujawnieniu przez TVN, że Antoni Macierewicz ukrywał niewygodne dowody zbijające tezę o zamachu w Smoleńsku, zaczęłam sprawdzać reakcję tej redakcji katolickiej, bo pamiętałam, że jeszcze 10 kwietnia 2022 r. „Niedziela” zamieściła następujące słowa z homilii abpa Jędraszewskiego: „Odwołując się do wydarzeń sprzed dwunastu lat, arcybiskup zwrócił uwagę na »kłamstwo smoleńskie«, które dzieli i nie pozwala na pojednanie w narodzie. Zaznaczył, że to kłamstwo trwa do dziś i są siły, którym ciągle zależy, żeby »nasze pokolenie« nie dowiedziało się o tym, co się tam wydarzyło”.

Ks. Jarosław Grabowski: „W morzu hejtu, fake newsów pokazujemy pozytywne aspekty życia”. Dlatego „Niedziela” publikowała teksty o zamachu i „kłamstwie smoleńskim”?

Również w „Niedzieli” znalazłam następujące słowa: „Ustalenia tzw. Komisji Millera z 2011 roku opierały się wyłącznie na hipotezach, bo prawie nikt z komisji nie badał miejsca zdarzenia ani wrakowiska. Najbardziej jaskrawym przykładem może być »oficjalna« trajektoria ostatnich sekund lotu, które ustalono na podstawie amatorskich zdjęć znalezionych w internecie” – pisane przez Artura Stelmasiaka w 2016 r.

I to w tygodniku „Niedziela” znalazłam: „Natomiast najnowsze przecieki z laboratorium oraz niezależne ekspertyzy z USA wskazują, że na wraku Tu-154M nie tylko odnaleziono cząstki trotylu, ale przede wszystkim ślady materiałów wybuchowych, które pochodzą z eksplozji. – Gdyby w Smoleńsku doszło do wybuchu, to w kadłubie wyleciałyby wszystkie okna. Natomiast wszyscy widzieliśmy film, na którym szyby wybijają później Rosjanie – tego argumentu na smoleński »niewybuch« używa dr Maciej Lasek, szef Polskiej Komisji Badania Wypadków Lotniczych (PKBWL) i wiceszef tzw. komisji Millera. To on był spiritus movens badania katastrofy rządowego tupolewa, a teraz jest zatwardziałym obrońcą polskiego raportu. Ten pozornie logiczny wniosek świadczy jednak o kompromitacji dr. Macieja Laska. Albo szef PKBWL jest całkowicie ignorantem i nieukiem, albo celowo kłamie i manipuluje opinią publiczną” – tak pisał ten sam Stelmasiak w 2013 r.

No więc mówię „sprawdzam”, szukam w tygodniku „Niedziela” czegoś wokół przedstawionych przez TVN faktów i wypowiedzi pokazujących czarno na białym, że wszyscy ci, którzy wierzyli w zamach, byli przez Macierewicza oszukani i zmanipulowani. I znajduję WIELKIE NIC.

Wstępniaka Grabowskiego nie komentuję, bo w tym kontekście nie potrafię go skomentować. Zastanawiam się jednak, kiedy i czy w ogóle do tej redakcji dotrze, że padli ofiarą straszliwej i okrutnej manipulacji. Mało tego, sami stali się jej częścią.

Wszyscy wiemy, jak to jest, gdy ktoś emocjonalnie bliski okazuje się kłamcą, wiemy, jak to boli. Tylko najszczęśliwsi z nas nie znają tego uczucia. Wiemy, jak to jest, kiedy bardzo chce się usprawiedliwić, wytłumaczyć, zrozumieć. I wiemy też, że z czasem ta wola wytłumaczenia, usprawiedliwienia i zrozumienia kłamcy okłamanemu mija. To jest moment oczyszczenia. I tego życzę redaktorom Grabowskiemu, Stelmasiakowi i całej redakcji „Niedzieli”. ●

wyborcza | magazyn wyborczej WOLNA SOBOTA

REDAKCJA:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00;
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@agora.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Jarosław Kurski;
ZASTĘPCY: Piotr Stasiński, Mikołaj Chrzan, Roman Imielski, Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wieliński
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Marcin Kącki, Jan Cywiński
GRAFICY: Dariusz Filipek, Tomasz Lebioda, Krzysztof Pietrasik
WYDAWCA: Agora SA, ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 526-030-56-44
Biuro reklam i ogłoszeń: reklama@agora.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44
DYREKTOR WYDAWNICZY: Wojciech Bartkowiak
DRUK: Agora SA

Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.

NAKŁAD KONTROLOWANY

eprasa.pl 4fdfb41448

Tariq Panja

The New York Times

Przyszłość futbolu

23-LETNI SKARB NARODOWY

Kylian Mbappé nie przechodzi po prostu przez drzwi. **On wkracza.**

Kylian Mbappé przybywa na nasz wywiad w ogromnym samochodzie z przyciemnionymi szybami, w towarzystwie matki, dwóch PR-owców i dwóch prawników, małej ekipy dokumentalistów, stylisty i przyjaciela, którego rola jest początkowo niejasna. Tak właśnie podróżuje jedna z największych gwiazd sportu na świecie. Kylian Mbappé nie przechodzi po prostu przez drzwi. On wkracza.

Ale jeszcze nie teraz. Najpierw przychodzi duży ochroniarz, który grzecznie prosi – ale ewidentnie bez opcji odmowy – o pozwolenie na przeczesanie przestrzeni, którą zaraz odwiedzi jego klient, na przejście korytarzami, którymi będzie chodził Mbappé, na ustalenie najkrótszych dróg ucieczki, „gdybym musiał wyprowadzić mojego gościa w pośpiechu". Ten ochroniarz zrobił to samo kilka nocy wcześniej, w restauracji na Manhattanie, gdzie Mbappé i jego świta planowali zjedzenie kolacji, i najprawdopodobniej zrobi to samo później podczas eventu firmy Nike na Times Square.

Dopiero gdy ochroniarz jest usatysfakcjonowany, wyjmuje telefon i dzwoni do kierowcy z poleceniem dostarczenia Kyliana Mbappé do redakcji „NYT" na Manhattanie.

To było lato, podczas którego Mbappé, jeden z najbardziej znanych sportowców na świecie, stał się również jednym z najdroższych. To właśnie wtedy zrealizował plan, który został dla niego opracowany, jeszcze zanim ukończył 16 lat. Wyszedł – zwycięsko dla swojego konta – z wojny pomiędzy „nowymi pieniędzmi" w tej dyscyplinie sportu, czyli wspieranym przez Katar PSG, a arystokratą futbolu Realem Madryt. Paryski klub tylko w ciągu najbliższych trzech lat zapłaci mu ponad 250 mln dol.

Umowa dała Mbappé nowy potężny status w klubie, nowe środki na finansowanie jego rosnącego imperium biznesowego i nowe znaczenie na boisku i poza nim. W pewnym momencie walka o jego podpis była tak intensywna, że interweniował nawet prezydent Francji Emmanuel Macron, apelując do patriotyzmu Mbappé.

W ciągu najbliższych kilku miesięcy pozycja Mbappé prawdopodobnie jeszcze bardziej wzrośnie. Jest on centralnym punktem drużyny w Paryżu, w której grają ikony futbolu ostatnich dekad: Brazylijczyk Neymar i argentyński rozgrywający Lionel Messi, i której celem jest wygranie w końcu Ligi Mistrzów. W listopadzie Mbappé pojedzie do Kataru, gdzie reprezentacja Francji spróbuje zostać pierwszą drużyną od czasów Brazylii Pelégo, która obroni mistrzostwo świata.

Imponująca trajektoria kariery, musicie przyznać.

OKŁADKA „TIME'A"

To było jedno z tych rutynowych zadań, którymi nauczyciele zachęcają uczniów, by zastanowili się nad swoją przyszłością. W maju 2014 15-letni Kylian Mbappé i jego koledzy z klasy w akademii francuskiego klubu AS Monaco zostali poproszeni o zaprojektowanie okładki magazynu, na której znalazłby się ich wizerunek.

Mbappé – w przeciwieństwie do swoich kolegów – nie wybrał okładki „Paris Match", „GQ" czy „Vogue'a", ale magazyn opinii „Time". Za wizualny punkt ciężkości okładki obrał swój wizerunek: siedzi z lekko przechyloną głową, opartą na złożonych dłoniach. Nagłówek, białą, pogrubioną czcionką, ogłaszał: „El maestro". Mniejsze precyzowały, że chodzi o najlepszego młodego gracza na świecie, priorytet trenera reprezentacji Francji, przyszłość piłki nożnej.

Mało która dziecięca fantazja okazała się tak prorocza. Zaledwie cztery lata później Mbappé pojawił się na prawdziwej okładce „Time'a". W wieku 18 lat poprowadził Francję do triumfu na mundialu, stając się pierwszym nastolatkiem od czasów Pelégo, który zdobył bramkę w finale.

„Szaleństwo, prawda?", mówi 23-letni dziś Mbappé, kiedy pokazuję mu tę okładkę. Jest to słowo, którego często używa, aby opisać swoje życie. „Bo wiesz, kiedy masz 15 lat, masz ambicje, każdy dzieciak ma. Ale jakie są szanse, że to się spełni po zaledwie kilku latach?".

Dla Mbappé cała świta z jego „latającego cyrku", kontrakty z markami modowymi i wydawcami książek oraz potentatami medialnymi są dziś rutynowymi elementami jego turbodoładowanego życia.

To życie, do którego był przygotowywany od momentu, gdy pokazał pierwsze przebłyski swojego niewiarygodnego talentu w Bondy, na przedmieściach Paryża – miejscu, które może pretendować do miana najbogatszej na świecie kopalni talentów piłkarskich. To dlatego nauczył się mówić wieloma językami jeszcze jako nastolatek, aby być przygotowany na szybkie przenosiny w nowe kultury. To dlatego on i jego rodzina wybrali Monaco, skromny klub z ligi francuskiej, który słynie z pielęgnowania młodych talentów, zamiast jednego z wielu większych, bardziej prestiżowych, które się o niego starały.

Jednak nawet w tym środowisku Mbappé zawsze był nieco inny od rówieśników, jego nauczyciele w akademii piłkarskiej

eprasa.pl 4fdfb41448

NASZA EUROPA

FOT. SIMON HOFMANN\FIFA VIA GETTY IMAGES

odnotowywali, że jest inteligentny i opanowany, posiada pewność siebie i zadziwiającą dojrzałość. „Wydawało nam się", powiedział jeden z nich po obejrzeniu wywiadu 16-letniego Mbappé na wideo, „jakby robił to od 10 lat".

LISTA ŻYCZEŃ 18-LATKA

Kiedy miał 14 lat, został zaproszony przez Real, swój ulubiony klub, na tydzień zgrupowania w Hiszpanii. Nie mogąc podpisać kontraktu z tak młodym zawodnikiem, Real Madryt rozwinął przed nim czerwony dywan, na którym mógł z bliska zobaczyć gwiazdy pierwszej drużyny i pojechać na trening sportowym samochodem prowadzonym przez Zinédine'a Zidane'a.

Pierwsza doniosła decyzja w jego karierze – podpisanie kontraktu z Monaco, drużyną z bogatą historią odkrywania perspektywicznych nastolatków – okazała się strzałem w dziesiątkę. Mbappé zadebiutował w klubie w wieku 16 lat, odegrał wielką rolę w nieprawdopodobnym awansie do półfinału Ligi Mistrzów dwa lata później, a następnie dołączył do PSG – już za drugą najwyższą cenę, jaką kiedykolwiek zapłacono za piłkarza.

Unai Emery, trener, który pracował z nim w PSG, wspomina, że uderzyła go pewność siebie nastolatka. To Emery na prywatnym spotkaniu z Mbappé usłyszał od niego listę jego oczekiwań. Nie dotyczyły one pieniędzy.

Emery usłyszał mianowicie, że musi zapomnieć, że Mbappé ma tylko 18 lat, i traktować go z miejsca jak doświadczonego profesjonalistę. Emery musiał obiecać, że nie wyrzuci Mbappé ze składu, jeśli ten zaliczy parę słabych występów; trzeba mu pozwolić grać, a na ławkę posłać tylko wtedy, gdy nie będzie poprawy. Emery się zgodził, ale nie miało to większego znaczenia: Mbappé prawie nigdy nie zagrał słabego meczu.

Emery w tamtym czasie już wiedział, że wątpliwości, które czasami hamują postępy młodych piłkarzy, nie wydawały się dotyczyć Mbappé w żadnym momencie jego rozwoju. „Miał precyzyjny plan na karierę: pięć lat z workiem goli w PSG, co otworzy morze możliwości, a potem decyzja, co dalej".

„Szczerze mówiąc, odkąd poszedłem do szkoły, nigdy nie stawiałem granic swoim ambicjom" – mówi Mbappé. – „Z takim podejściem ograniczenia nie istnieją".

Ta ambicja, wsparta wiarygodnym kryterium: sukcesem na mundialu, teraz rozciąga się na budowanie projektów biznesowych i filantropijnych.

Mbappé ma już własną fundację, poświęconą m.in. inspirowaniu niezamożnych dzieci z regionu paryskiego, ale wciąż uważnie obserwuje interesy i działania charytatywne innych gwiazd piłki nożnej. W czasie pandemii gratulował napastnikowi Manchesteru United Marcusowi Rashfordowi zorganizowania kampanii, która wywarła presję na rząd brytyjski w sprawie zapewnienia dzieciom darmowych posiłków w szkołach. Ale wzorem (i powiernikiem) jest dla niego gwiazda NBA LeBron James, znany z chętnego angażowania się i zabierania głosu w sprawach publicznych.

Mbappé coraz głośniej mówi o wysiłkach – lub ich braku – na rzecz walki z rasizmem w piłce nożnej, do tego stopnia, że publicznie zganił prezesa francuskiej federacji piłkarskiej za zamiatanie pod dywan tych kwestii (które nawiasem mówiąc, nieraz rozsadzały szatnię reprezentacji), a w naszej rozmowie zlekceważył obawy swoich opiekunów związane z podejmowaniem takich tematów. „Krytyka mojej gry jest w porządku. To, co nadal często jej towarzyszy, nie jest. Trzeba o tym rozmawiać, bo musimy to zakończyć" – mówi o uporczywej niezdolności władz tej dyscypliny do wykorzenienia rasizmu na trybunach. „Ja jestem gotowy, aby pomóc".

Jego bardziej konkretny projekt, firma produkująca filmy o nazwie Zebra Valley, zdradza pewne podobieństwo do SpringHill Company, biznesu rozrywkowego założonego przez LeBrona Jamesa w 2020 r. Zresztą Mbappé uważa Jamesa za inspirację, odkąd spotkali się na imprezie Nike cztery lata temu.

Matka Mbappé, Fayza Lamari – która wraz z ojcem, Wilfriedem, i zespołem prawników zarządza sprawami syna – spędziła w zeszłym roku długie tygodnie w USA z Kacy Grine, paryskim finansistą, który jest partnerem Mbappé w przedsięwzięciu Zebra Valley. Mbappé nie mógł tam z nimi być – grał, zapracowując na miano najlepszego zawodnika ligi francuskiej w trzecim sezonie z rzędu – ale monitorował każdy krok Grine'a i matki.

Kiedyś Mbappé poleciał do Kalifornii na spotkania w siedzibie Electronic Arts, producenta gier wideo, który wybrał napastnika na okładkę tegorocznej, ostatniej edycji popularnej serii FIFA. W spotkaniu brał udział David Jackson, wiceprezes EA Sports. Niewielu sportowców, z którymi się spotyka, przyznał, jest chętnych do uczestniczenia w „sesjach dotyczących strategii", a już nikt nie wskazuje, które elementy i jak należy wyostrzyć i zmienić. „Niewielu jest tak dalekowzrocznych w wyborach, których dokonują, chętnych do rozmowy o ich »globalnym pozycjonowaniu« i »wytrzymałości« ich publicznego wizerunku, dziś, jutro i później".

Jeśli chodzi o jego Zebra Valley, Mbappé zdecydował, że będzie produkować filmy wykraczające poza sport. Jeden z pierwszych projektów koncentruje się na życiu syryjskiego uchodźcy.

Dla Mbappé ta firma jest początkiem próby stworzenia sobie miejsca poza sportem, sposobem na bycie czymś więcej niż „tylko facetem, który strzela gole i kończy karierę, a następnie wypływa swoim jachtem na Karaiby".

„Chcę być czymś więcej" – mówi. „Wiem, że ludzie mogą myśleć: niech po prostu gra w piłkę i nie zawraca nam głowy. Ale ja myślę, że niekoniecznie. Myślę, że świat się zmienił".

MACRON INTERWENIUJE

Cokolwiek robi poza boiskiem, status Mbappé będzie jednak nadal definiowany przez jego piłkarskie wyczyny: jak gra i – co być może równie ważne – gdzie.

Przez wiele miesięcy tego roku wydawało się wszystkim, także Mbappé, że opuści Paryż na rzecz Madrytu. Uprzedził o tym PSG zeszłego lata, kiedy zakończył rozmowy o nowym kontrakcie, a nawet EA Sports zaplanowało jego odejście; przygotowało najnowszą wersję swojej gry wideo FIFA z Mbappé w barwach Realu.

Jednak klub z Paryża, dysponujący sporą częścią budżetu państwa Katar, które de facto jest jego właścicielem, postanowił walczyć. W zeszłym roku odrzucił ofertę Madrytu opiewającą na 200 mln euro, choć wiedział, że tego lata będzie on mógł odejść darmo jako wolny agent.

W czerwcu, gdy wygasał kontrakt Mbappé, Real wrócił, składając największy pakiet kontraktowy w swojej historii. Jednak PSG odpowiedziało po raz ostatni, w kluczowym momencie korzystając z pomocy Macrona. Wizja, którą prezydent przedstawił Mbappé, dotyczyła niesienia sztandaru kraju, przynajmniej przez kilka kolejnych lat – szansy na bycie bohaterem dla Francji i jednocześnie dla klubu z jej stolicy, na chwałę całej francuskiej piłki.

Bezpośrednia interwencja Macrona w karierę piłkarza ma chyba tylko jeden precedens. W 1961 r., kiedy wszystkie największe europejskie drużyny krążyły wokół niego, rząd Brazylii przyjął ustawę uznającą Pelégo za „skarb narodowy", dobro kultury o tak wielkim znaczeniu, że nie można było dopuścić do jego gry na obczyźnie. I chociaż Macron nie poszedł tak daleko w wysiłkach, aby zatrzymać Mbappé we Francji, jego słowa zaważyły na decyzji napastnika o pozostaniu.

„Nawet ja nigdy nie wyobrażałem sobie, że będę rozmawiał z prezydentem o mojej przyszłości, więc to coś naprawdę szalonego..." – mówi. „Powiedział mi: »Chcę, żebyś został. Jesteś zbyt ważny dla kraju. Masz czas, możesz zostać jeszcze trochę«".

Mbappé: „Oczywiście, kiedy prezydent mówi do ciebie takie rzeczy, to się liczy". Ale Macron, tak jak wszyscy inni, musiał poczekać na decyzję.

Ponieważ pracuje bez agenta, Mbappé mówi, że każda ważna – i często drobna – decyzja, którą podejmuje, następuje po długich rozmowach z jedynymi doradcami, których zdanie naprawdę się liczy: rodzicami. Matka, która siedziała w redakcji „NYT" w sąsiednim pokoju, podczas gdy Mbappé udzielał wywiadu w obecności PR-owca i prawnika, była centralną postacią w negocjacjach zarówno z Realem, jak i PSG.

„To wygląda tak, że chodzimy z prawniczką, Delphine Verheyden, wokół stołu i rozmawiamy o wszystkim", wyjaśnił Mbappé. „Jednak ostatecznie to ja podejmuję decyzję".

Nagłówki prasowe po ogłoszeniu, że zostaje w PSG, mówiły, że pieniądze Kataru okazały się zbyt duże, aby się im oprzeć – tylko jego premia za złożenie podpisu, opiewająca na 125 mln dol., była największą pojedynczą wypłatą dla zawodnika bez kontraktu w historii piłki nożnej – ale on sam podkreślał, że ogromne sumy, które były w grze, nie były decydujące. „Przecież wszędzie, gdzie pójdę, będę dostawał dobre pieniądze. Jestem tym typem gracza" – mówi.

Mimo to inwestycja PSG w niego czyni z niego lidera, który przyćmiewa nawet kogoś takiego jak Messi. Już teraz kibice i media zwracają uwagę na każdy przejaw jego ego: frustrację po nieotrzymaniu podania, spór z Neymarem o to, kto będzie wykonywał rzut karny, publiczne oświadczenie trenera, że „w przyszłości" to Mbappé będzie wykonywał rzuty karne.

Mbappé mówi, że to „denerwujące" czytać w mediach, że zażądał uprzedzenia, kto będzie trenerem, a nawet kim będą jego koledzy z drużyny w ramach warunków przedłużenia umowy. „Decydowanie o tych rzeczach to nie jest moja praca", tłumaczy. „I nie chcę tego robić, ponieważ nie jestem w tym dobry. Jestem dobry na boisku".

Pozostanie we Francji przez co najmniej trzy sezony – ma nadzieję zagrać na olimpiadzie, gdy Paryż będzie gospodarzem igrzysk w 2024 r. – ale co potem? Mbappé będzie miał tylko 26 lat, gdy jego kontrakt się kończy i gdy Real znów zadzwoni, może nawet miliardy z Kataru nie pomogą.

Mbappé mówi o Realu: „Nigdy w grze nie miałem na sobie ich białej koszulki, ale wydaje mi się, że to jest mój dom, albo coś w tym stylu".

Na razie skupia się na cementowaniu swojego statusu jako narodowej ikony we Francji. Wymienia cele rzeczowym tonem, przedstawiając je jako logiczne przedłużenie trajektorii swojej kariery. Chce wygrać kolejny Puchar Świata. Chce w końcu dać Puchar Europy PSG. Chce wyprzedzić Messiego i Cristiano Ronaldo w ilości zdobytych Złotych Piłek. Widać, jak wiele znaczą dla niego takie wyróżnienia, nawet jeśli nalega, że to triumfy drużyny są na pierwszym miejscu.

„Czas lśnienia gwiazd w futbolu jest krótki, ich się kończy, mój zaczyna" – mówi o Messim i Ronaldo.

PRZYJACIEL Z GRZEBIENIEM

„Jedyną rzeczą, której trochę żałuję, jest konieczność naprawdę szybkiego dorastania, wchodzenia w wiek męski z całą związaną z tym odpowiedzialnością", mówi Mbappé, gdy prawie tuzin osób czeka, aż wypełni kolejne zobowiązanie. „Ale odczuwam wdzięczność. To życie, które zawsze chciałem mieć" – mówi o podróżującej z nim świcie, zarezerwowanych w całości restauracjach, ochroniarzach u boku.

Nawet zwykły wywiad i sesja zdjęciowa wymagają precyzyjnego planowania w rodzaju tego, które zwykle zarezerwowane jest dla głów państw lub tuzów Hollywoodu. Przyznaje, że od czasu do czasu z tęsknotą obserwuje, jak inni robią proste rzeczy, w rodzaju spaceru ulicą z kupionymi na rogu lodami. „Ja dziś nie mam co liczyć na spacer na Times Square, a to ledwie dwie przecznice stąd" – mówi, patrząc przez oszklone drzwi prowadzące na ulicę, a w tym czasie jego przyjaciel poprawia grzebieniem jego włosy.

Chwilę później dzwoni kolejny telefon i przy chodniku zatrzymuje się kolejny ogromny czarny SUV, który ma zabrać Mbappé na kolejne spotkanie. Jego przyjaciel z grzebieniem wskakuje obok na tylne siedzenie. Reszta świty wyrusza pieszo. ●

Tytuł i śródtytuły od redakcji. Artykuł ukazał się pierwotnie w „The New York Times".
© 2022 The New York Times Company

eprasa.pl 4fdfb41448

BORN IN THE USA

Wielki biznes nabrał ogłady

W czasach Rockefellera do strajkujących związkowców strzelano, w czasach Starbucksa jedynie wywala się ich na zbity pysk.

Maciej Jarkowiec

Jeden z ponad 33 tys. lokali największej na planecie sieci kawiarni Starbucks mieścił się do niedawna na rogu Hollywood Boulevard i Vine Street, w sercu Hollywood, gdzie w chodniki wmurowane są gwiazdy z nazwiskami gwiazd. Gdy przechodziłem tamtędy kilka miesięcy temu, naprzeciwko Starbucksa spał facet z głową na torbie foliowej i biodrami w kałuży ekskrementów. W Hollywood, jak w całym Los Angeles, jak w większości amerykańskich metropolii, z każdym rokiem przybywa bezdomnych.

Starbucksa w rzeczonym miejscu już nie ma. Uzależnieni używali kawiarnianej toalety jako meliny. Zdarzało się, że klient wchodził w samych majtkach, brzydko pachniał i nic nie zamawiał. Inny oblał pracownika mrożoną kawą. Jeszcze inny, cały w łachmanach, z włosami do pasa sklejonymi w strąki, wrzeszczał coś o Chrystusie i kapitalizmie. Starbucksa zamknięto więc razem z 16 innymi w kilku dużych miastach USA. Szef firmy Howard Schultz powiedział, że Starbucks jest „oknem Ameryki". Jego kawiarnie są wszędzie, w najbogatszych i najbiedniejszych dzielnicach, więc dobrze widać w nich kondycję społeczeństwa. Pracownicy niektórych lokali – stwierdził Schultz – padają ofiarami rosnącej przemocy.

Prawicowa prasa, która w USA tak jak w Polsce zawsze wie, kto jest wszystkiemu winien, zauważyła, że miastami, w których zamknięto Starbucksy, rządzą Demokraci.

Ale sami bariści mają nieco odmienne spojrzenie: twierdzą, że Schultz kłamie. Chce ukryć prawdziwe powody.

•

Starbucks wyrósł na potęgę, kreując drugą falę kawomanii. Gdy w 1971 r. trzech przyjaciół otwierało pierwszy sklep w Seattle, do jakości kawy w Stanach nie przywiązywano wagi. Pito jej dużo, rozpuszczalnej albo przelewowej, z cukrem albo bez, białą albo czarną. Na tym kończyły się opcje pierwszej fali. Twórcy Starbucksa (nazwę wzięli z „Moby Dicka", nie ma nic wspólnego z kawą) w czasie studiów w Kalifornii podpatrzyli, że kawę można sprzedawać „na bogato": oferować przeróżne gatunki, metody parzenia, stopnie palenia, wymyślać nowe kawowe napoje. W następnych dekadach Starbucks rozpowszechnił ten model na cały świat, stając się hegemonem.

Ojcem sukcesu był Howard Schultz, brooklińczyk z niezamożnej rodziny. Zaczynał jako sprzedawca w różnych branżach, szybko przeskakiwał na wyższe stanowiska. W wieku 29 lat dostał posadę dyrektora sprzedaży i marketingu w Starbucksie, firmie, która prowadziła wtedy kilka kawiarni w Seattle. Wkrótce, w 1986 r., został jej prezesem i był na tym stanowisku do roku 2000. To on rozbudował biznes do globalnych rozmiarów, wymyślając rewolucyjne strategie marketingowe, przejmując najważniejszych konkurentów i prowadząc wojny kawowe z tymi, których się nie dało przejąć (kawa z McDonalda to „gorąca, brązowa breja przebrana za kawę"). Gdy w 2008 r., w czasie globalnego kryzysu, sprzedaż zaczęła dramatycznie spadać, wezwano Schultza na ratunek. Zamknął setki lokali, zwolnił tysiące ludzi i wyprowadził firmę na prostą.

Gdy w ostatnich miesiącach akcje firmy staniały, klienci nie wrócili po pandemii, konkurenci zyskali przewagę w wojnie kawowej (z pączkarni w kawiarnię przebraził się prowadzący prawie 13 tys. lokali Dunkin Donuts) i nadciągnęła trzecia fala kawomanii (lokalne kawiarnie z organiczną kawą od małych dostawców dbających o środowisko i prawa człowieka), Schultz znów wrócił z emerytury.

Tym razem częścią jego misji jest pozbycie się nowego wroga, który zagnieździł się wewnątrz firmy.

•

W ostatnim roku w ponad 200 lokalach kawowego potentata pracownicy stworzyli związki zawodowe. Powstała krajowa centrala – Starbucks United Workers – która chce walczyć o podwyżki, osłonę socjalną, urlopy. Nowy-stary prezes ma nie dopuścić do tego, żeby trend zakładania związków rozlał się na następne kawiarnie. Jednym z jego pierwszych posunięć było podpisanie kontraktu z Littler Mendelson, korporacją prawną specjalizującą się w dławieniu ruchów związkowych. Z jej usług korzystał już m.in. Amazon.

Za poradą Littlera prezes przystąpił do działania. Zwolnił co najmniej 83 osoby organizujące związki. Dał podwyżki, ale tylko w lokalach, w których nie ma związków. Niektóre niesforne kawiarnie zostały czasowo zamknięte – nagle ogłoszono potrzebę generalnego remontu. Pracownicy twierdzą też, że Schultz użył incydentów z udziałem bezdomnych jako alibi, aby zlikwidować 16 lokali, m.in. ten w Hollywood. W wielu działał związek, w innych zaczynał się organizować.

•

Schultz otwarcie mówi, że związki są złe dla firmy i będzie z nimi walczył. Twierdzi, że związkowcy reprezentują zewnętrzny interes. Trzecia siła utrudnia relację pracowników z pracodawcą – powtarza antyzwiązkową mantrę.

Związek zawodowy nie jest jednak trzecią, lecz drugą siłą w firmie. Gdy go nie ma, siła jest tylko jedna – szefostwo, które może swobodnie narzucać warunki pracownikom. Związek sprawia, że zarządzanie staje się trudniejsze, bo trzeba się z nim dogadać.

Kiedyś USA były krajem przemysłowym, w fabrykach działały związki. Często skorumpowane, ale zasadniczo spełniały swoją funkcję – podnosiły jakość życia pracowników. Zarobki klasy średniej rosły, ekonomiczna mobilność społeczeństwa była duża. W nowej usługowej gospodarce związków nie ma. Próby ich tworzenia niszczone są przez firmy takie jak Littler Mendelson.

Starbucksa w Hollywood już nie ma. Bo uzależnieni używali kawiarnianej toalety jako meliny. Klient wchodził w samych majtkach, brzydko pachniał i nic nie zamawiał

Klasa prekariuszy żyjąca od pierwszego do pierwszego bez widoków na awans społeczny liczy dziś w Ameryce 73 mln ludzi. A Schultz mówi to samo, co sto lat temu mówili Rockefellerowie i inni najwięksi przemysłowcy, gdy w ich firmach formowały się pracownicze organizacje: związki szkodzą interesom, są antyamerykańskie. Jest jednak różnica: wtedy do strajkujących związkowców strzelano, dziś jedynie wywala się ich na zbity pysk. Wielki biznes nabrał nieco ogłady. Oczywiście nie z własnej woli. Przymusiły go do tego te przeklęte związki. ●

REKLAMA 34194876 1 RP

eprasa.pl 4fdfb41448

EDUKACJA I MANIPULACJA

Pranie mózgu podręcznikiem?

To możliwe, ale...

Czy pozytywna wzmianka w podręczniku o Robin Hoodzie tworzy komunistę, a o Romanie Dmowskim – nacjonalistę?

Robert Stefanicki

The New York Times" porównał najpopularniejsze podręczniki do historii USA używane w dwóch największych stanach, Kalifornii i Teksasie. Książki miały tego samego wydawcę, tych samych autorów i poruszały te same zagadnienia. Ale nie były takie same. Zawierały subtelne różnice w treści, odzwierciedlające aktualne podziały polityczne: liberalna Kalifornia w większości głosuje na Demokratów, konserwatywny Teksas na Republikanów.

W USA edukacja jest zdecentralizowana. Różnice wynikały przede wszystkim z zaleceń stanowych komisji edukacyjnych.

W Kalifornii poproszono wydawcę o unikanie słowa „masakra" przy opisywaniu ataków rdzennych Amerykanów na białych osadników w XIX wieku. Panel teksaski wymógł podkreślenie liczby duchownych, którzy podpisali Deklarację Niepodległości, oraz dodanie stwierdzenia, że ojcowie narodu inspirowali się protestanckim Wielkim Przebudzeniem (reformami w Kościele w USA). Tylko podręcznik kalifornijski wyjaśnia, że orzeczenia sądów odnośnie do drugiej poprawki do konstytucji, o prawie do broni, pozwalają na ograniczenie tego prawa. Obie wersje informują o przebudzeniu artystycznym w Harlemie w latach 20. i 30. XX wieku, ale w Teksasie uczniowie dowiedzą się, że niektórzy krytycy uznają powstałą wówczas literaturę za słabą.

Te książki są na pierwszy rzut oka bliźniacze, tylko tu i tam niewygodne zdania wygumkowano i zostawiono puste miejsce.

Można to uznać za kompromisowe rozwiązanie w kraju, w którym bitwa o podręczniki toczy się od dziesięcioleci. To konserwatyści są zazwyczaj stroną, która podnosi larum z powodu ich zdaniem szkodliwych postępowych treści wprowadzanych do szkół.

Dzisiaj chodzi głównie o tożsamość płciową, a np. w latach 50. krytykowano „etatystyczną propagandę" Nowego Ładu Franklina D. Roosevelta i sugestie, że możliwe są związki międzyrasowe.

Członek komisji podręcznikowej w Indianie zażądał usunięcia odniesień do książki „Robin Hood", której bohater „podążał za linią komunistyczną", rabując bogatych i dając biednym.

Na Południu oburzenie wzbudziła bajka, która opisywała zaślubiny czarnego i białego królika, a także nowa edycja „Trzech małych świnek", która przedstawiała czarną świnię jako mądrzejszą od białej.

Dzisiaj to śmieszy? Tylko że w istocie przez 70 lat niewiele się zmieniło. Donald Trump w duchu senatora McCarthy'ego ostrzegał przed „radykalną lewicą", która chce „wymazać amerykańską historię, zmiażdżyć wolność religijną, indoktrynować naszych studentów ideologią". Według danych amerykańskiego PEN Clubu od lipca 2021 do kwietnia 2022 ze szkolnych bibliotek wycofano prawie 1,6 tys. tytułów, głównie tych odnoszących się do kwestii rasowych, edukacji seksualnej i LGBT.

Polityka kształtuje szkołę, ale czy szkoła kształtuje politykę? Czy Amerykanie wychowani na konserwatywnych podręcznikach wybrali Reagana, Busha, Trumpa? I czy zrobili to dlatego, że na lekcjach ich mózgi zostały subtelnie wyprane?

Niestety, nie wiemy, w jakim stopniu różnice w podręcznikach wpływają na światopogląd i późniejsze decyzje przy urnie wyborczej. Takie badania są trudne z kilku powodów: po pierwsze, musiałyby być prowadzone na przestrzeni wielu lat, po drugie, światopogląd kształtuje się pod wpływem rozmaitych zmiennych, zwykle ważniejszych niż treść szkolnych książek. Trzecim problemem jest sama definicja treści ideologicznych: dla jednych będą to myśli Karola Wojtyły, dla innych – wykład o prawach mniejszości albo o zaletach demokracji.

Co nie znaczy, że takich badań nie prowadzono.

Na Tajwanie przez prawie cztery dekady panował autorytarny reżim Kuomintangu, aż pod koniec lat 80. XX w. rozpoczęła się demokratyzacja. Wówczas ministerstwo oświaty usunęło ideologię z podręczników. W artykule zamieszczonym na łamach „Economics of Education Review" dwójka badaczy opisała, jak podzieliła byłych uczniów pod względem długości ekspozycji na autorytarny system edukacji, i stwierdziła, że ci o rok dłużej narażeni na szkolną propagandę w późniejszym życiu rzadziej chodzili na wybory, częściej głosowali na Kuomintang (obecnie w opozycji), a także, zgodnie z polityką tej partii, rzadziej deklarowali tożsamość tajwańską, a nie chińską.

Z kolei autorzy pracy „Program nauczania i ideologia" opublikowanej na łamach „Journal of Political Economy" przyjrzeli się wpływowi reformy podręczników w Chinach Ludowych w latach 2004-10, która wprowadziła treści zgodne z aktualną polityką partii. Efekty były wyraźne: szkolne książki kształtowały poglądy bardziej niż inne źródła informacji, takie jak telewizja. Wzrosło poparcie absolwentów dla instytucji państwowych, zwiększył się ich sceptycyzm wobec wolnego rynku i własności prywatnej, utrwalono też przekonanie, że w Chinach panuje system demokratyczny. To tłumaczy wyniki tegorocznego sondażu, w którym 83 proc. Chińczyków jest przekonanych, że żyją w demokracji.

„Państwo autorytarne potrafi skutecznie indoktrynować uczniów", konkludują autorzy. W Chinach władza kontroluje wszystkie źródła informacji z wyjątkiem tych szeptanych do ucha.

Historię też pisze partia. W zeszłym roku cenzor internetu ogłosił, że usunął 2 miliony postów zawierających „szkodliwe" dyskusje na temat historii na portalach społecznościowych. Dlatego modelowanie człowieka przez partię może się tam powieść. Wzorem jest Korea Północna, choć nawet tam ogłupienie społeczeństwa nie jest totalne, skoro Koreańczycy próbują uciekać z kraju, narażając się na długoletnie więzienie, a nawet śmierć.

Pytanie o skuteczność indoktrynacji w demokracjach pozostaje otwarte. Podkreślmy, że nie chodzi o różnice kulturowe, lecz ustrojowe. Kto w 1951 roku zwracał się do nauczycieli z wezwaniem: „Bądźcie motorem tej wspaniałej i wielkiej rewolucji kulturalnej, która kształtuje dziś życie narodu, pomnażajcie jej twórcze wyniki". Nie Mao Zedong, lecz Bolesław Bierut.

W Polsce, gdzie – już i wciąż – mamy pluralizm mediów i wolność internetu, indoktrynacja będzie znacznie mniej skuteczna, a niektórzy nawet mają nadzieję, że przeciwskuteczna.

Nie należy jednak zakładać, że ideologiczne treści w podręcznikach są bez znaczenia. W spolaryzowanych społeczeństwach nawet ułamek procentu głosów w wyborach może zadziałać jak ziarnko piasku, które przechyli szalę poparcia na stronę indoktrynatorów.

W USA zbadano, że wzrost o 10 proc. udziału kolorowych uczniów w szkole białego ucznia zmniejszał prawdopodobieństwo zarejestrowania się przez niego jako republikanina o blisko 2 pkt proc. Te 2 proc. w niektórych wyborach w niektórych stanach wystarczy, by odwrócić wynik – i losy świata, bo mowa o Ameryce

W USA zbadano, że wzrost o 10 proc. udziału kolorowych uczniów w szkole białego ucznia zmniejszał prawdopodobieństwo zarejestrowania się przez niego jako republikanina o blisko 2 pkt proc. Te 2 proc. w niektórych wyborach w niektórych stanach wystarczy, by odwrócić wynik – i losy świata, bo mowa o Ameryce.

Można te badania ekstrapolować do naszej rzeczywistości: zetknięcie w szkole z otwartym, inkluzywnym mówieniem o mniejszościach zmniejsza prawdopodobieństwo poparcia prawicy. Ta zasada działa też w drugą stronę: jeśli w użyciu będzie podręcznik siejący nietolerancję, u niektórych uczniów może wykiełkować poparcie dla jego patronów – na tej samej zasadzie, co oglądanie TVP utrwala ślepą wiarę w PiS. A zmiana kanału jest nieporównanie łatwiejsza niż zmiana podręcznika. ●

SODOMA I GOMORA TO MIASTA ZEPSUCIA I MORALNEJ DEGRENGOLADY
BABILON TO SYMBOL ZNIEWOLENIA

„Babilon" opisuje kościół, który łupił i mordował ofiary kolonialnej opresji w Kanadzie, przyuczał kobiety w Irlandii do kultury gwałtu, cynicznie wmawiał ustami „świętej" Matki Teresy, że cierpienie uświęca, więc nie należy go uśmierzać, prześladuje gejów i nienawidzi kobiet.
Pokazuje też kościół skorumpowany przez ludzi władzy, uwikłany w wojny polityczne, zalękniony wizją synodu, w którym wierni, na równi z kapłanami decydują o jego kształcie.

TO NIE JEST KSIĄŻKA ANTYKOŚCIELNA
PREMIERA 28.09

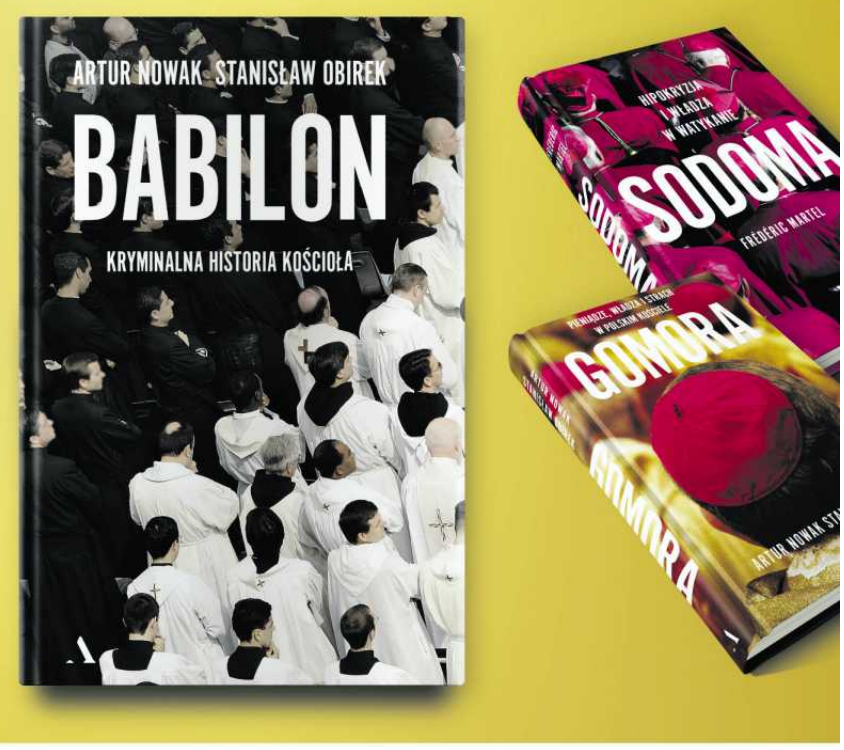

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA KULTURALNY SKLEP.PL WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA publio.pl
Wydawnictwo Agora

1 RP OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY 34198375

eprasa.pl 4fdfb41448

Czy Włosi będą blokować Morze Śródziemne i patrolować okrętami marynarki wojennej?

NACJONALIZM NA ZŁOŚĆ OJCU

Najpierw wielka susza, teraz powodzie. Włochom pozostały modlitwy i skrajna prawica

Mateusz Mazzini

Wrzesień we Włoszech zapowiadano jako ciężką przeprawę, pełną wydarzeń skrajnych, destabilizujących życie codzienne, a wydawało się, że gorzej być nie mogło. Wbrew pozorom nie chodzi o kończącą się właśnie kampanię wyborczą czy ogólną kondycję włoskiej polityki, ale o pogodę.

Między czerwcem a sierpniem przez Włochy przetoczyły się trzy ogromne fale gorąca, dewastując nie tylko naturę, ale też społeczeństwo i gospodarkę. 28 czerwca termometry w Rzymie wskazały rekordowe 40,8 stopnia, niewiele lepiej było w innych częściach kraju.

Pad, najdłuższa rzeka Włoch zasilająca rolnictwo na północy kraju, nikła w oczach i prawie wyschła. W niektórych rejonach, wzdłuż jej biegu, deszcz nie padał przez 200 dni, a ostatnie opady sięgały listopada ubiegłego roku. Ocieplenie klimatu przynosiło niespodziewane konsekwencje, jak odsłonięcie zatopionych w ostatnich dniach wojny nazistowskich czołgów, ale prowokowało też kuriozalne działania, jak modlitwa o deszcz wygłoszona przez arcybiskupa Mediolanu.

Gorąco było nie tylko na lądzie – 13 lipca na wysokości Portofino Morze Liguryjskie osiągnęło w ciągu dnia temperaturę 29 stopni. Dziesięć dni wcześniej, w czasie tragedii na dolomickiej Marmoladzie, gdzie ogromna bryła oderwała się od głównej ściany lodowca, zginęło 11 wspinaczy, kolejnych ośmioro zostało rannych. Z powodu upałów liczba zgonów w lipcu zwiększyła się w całym kraju aż o 29 proc. w porównaniu z analogicznym okresem rok wcześniej. Po takim lecie naprawdę ciężko było sobie wyobrazić pogorszenie sytuacji.

DOMY NA PÓŁ PODZIELONE

Tymczasem wrzesień przyniósł kolejną tragedię. Najpierw przez środek kraju przetoczyły się intensywne deszcze, gwałtownie podnosząc poziom wody w rzekach. W położony w środkowej części kraju region Marche opady uderzyły jak bomba – prawie pół metra w sześć godzin. Efekt to jedna z najtragiczniejszych powodzi w najnowszej historii kraju. Co najmniej dziesięć ofiar śmiertelnych, wciąż rosnąca lista osób zaginionych, setki bez dachu nad głową. Obrazy z Marche przypominały fotografie z amerykańskich miast, przez które przetoczyły się huragany: przepołowione przez wodę domy, samochody wywrócone do góry nogami, meble wyrzucone na główne ulice miast.

Ale tej katastrofie można było zapobiec. W 2016 r. władze regionu stworzyły plan inwestycji infrastrukturalnych mających powstrzymać ewentualne powodzie lub przynajmniej osłabić impet wielkiej wody. Część z nich zaczęto realizować, ale szybko zabrakło pieniędzy, a rząd w Rzymie nie chciał się dokładać. Poza tym plan rozpisany był na wiele lat do przodu, więc jego implementacja wychodziła poza kadencję ówczesnego samorządu. Cztery lata później doszło zresztą do jego wymiany w wyborach, a nowa regionalna administracja prace nad infrastrukturą ekologiczną zarzuciła w całości. Tamte wybory wygrali Bracia Włoscy.

SKLEJONA PRAWICA

W niedzielę, 25 września ta skrajnie prawicowa, często nazywana postfaszystowską, partia zajmie najpewniej pierwsze miejsce w głosowaniu do parlamentu, windując swoją liderkę Giorgię Meloni do roli pierwszej w historii włoskiej republiki szefowej rządu. Dotychczas Włochy miały na tym stanowisku tylko mężczyzn, we wszystkich 69 gabinetach powstałych po wojnie. Średnio jeden z nich utrzymywał się u władzy przez rok i sześć tygodni, a były kanclerz Niemiec Helmut Kohl miał podobno w zwyczaju pytać każdego włoskiego premiera, z którym się spotykał, czy za pół roku będzie już rozmawiał z jego następcą.

Z praktycznego punktu widzenia swoje premierostwo Meloni zawdzięczać będzie – a jakże – Silvio Berlusconiemu, który najpierw skleił wokół siebie wielką prawicową koalicję z Forza Italia, Braćmi i Ligą Matteo Salviniego, a potem sam namaścił ją na szefową rządu. Nie znaczy to jednak, że swojej pozycji nie wywalczyła w brutalnej politycznej grze. Bo Giorgia Meloni to polityczka konserwatywna, wyrazista, czasem agresywna – ale przede wszystkim skuteczna.

W tym roku skończyła 45 lat, co jak na włoską politykę jest wciąż wiekiem juniorskim. Karty rozdaje w niej przecież 86-letni Berlusconi, który w wakacje obalił poprzedniego premiera, 75-letniego Maria Draghiego. Nad wszystkim czuwa 81-letni prezydent Sergio Mattarella, który przyjął rolę moralnego arbitra i rozjemcy politycznych sporów. Na tym tle nawet 55-letni Enrico Letta, szef centrolewicowej Partii Demokratycznej i główny oponent Meloni, wychodzi na nieopierzonego młodziana.

„Młoda" w jej przypadku nie znaczy jednak „niedoświadczona". Swoje w polityce przeszła, bo działa w niej od 15. roku życia. Wtedy dołączyła do organizacji Fronte della Gioventù, Frontu Młodzieży, jednego z pogrobowców faszystowskich związków młodzieżowych z czasów reżimu Mussoliniego. Miejska legenda głosi, że z prawicą związała się w ramach kontry do poglądów ojca, podobno lewicowca, który zostawił ją i jej matkę trzy lata wcześniej, przenosząc się do kochanki na Wyspy Kanaryjskie. Od tego momentu Giorgia pnie się w strukturach radykalnej prawicy, wchodząc do kolejnych ugrupowań postfaszystowskich: Movimento Sociale Italiano i Alleanza Nazionale. Tam jednak jest zbyt daleko do mainstreamu, by realizować swoje polityczne ambicje. Znajduje więc dla siebie miejsce w Forza Italia, u Berlusconiego, zostając tam najmłodszą członkinią rządu w historii

eprasa.pl 4fdfb41448

• **Giorgia Meloni, liderka włoskiej skrajnie prawicowej partii Bracia Włoscy, robi selfie ze zwolennikami podczas kampanii wyborczej**

FOT. NICOLÒ CAMPO/LIGHTROCKET VIA GETTY IMAGES

Włoch – przejmuje tekę ministra ds. młodzieży. W 2012 r. drogi Meloni i chadeckiej prawicy się rozchodzą, wraz z Ignazio La Russą i Guido Crosetto zakłada Braci Włoskich. Dwa lata później zostanie przewodniczącą partii, władzy nie odda do dziś.

RODZINA BEZ KLIMATU

Co to ma wspólnego z powodzią w Marche? Odpowiedzi – a raczej jej braku – szukać należy w programie wyborczym Braci Włoskich. Temat walki z katastrofą klimatyczną odgrywa tam rolę marginalną, jest dopiero 16. z 25 rozdziałów. I brak konkretów, poza frazesami w stylu „wsparcia elektromobilności" czy „inwestycji w odnawialne źródła energii". Uwagę przykuwa zwłaszcza zdanie o dbaniu o środowisko naturalne przy jednoczesnej „ochronie przemysłu i gospodarki, osłabionych latami kryzysu". Innymi słowy – nie podporządkujemy polityki ekonomicznej klimatowi, nie zreformujemy sposobu zarządzania zasobami wodnymi.

W kraju, w którym dziennie na głowę zużywa się 245 litrów wody, o 100 więcej, niż wynosi europejska średnia, i który rocznie marnuje jej 4 mln metrów sześciennych przez nieefektywne rolnictwo, dodatkowo spuszczając do rzek 9 mln metrów sześciennych wody zanieczyszczonej, brak zapowiedzi poważnych zmian w hydrogospodarce można bez cienia przesady nazwać działaniem na szkodę państwa i obywateli. Meloni się jednak klimatem nie przejmuje, z dwóch powodów. Po pierwsze, to nigdy nie był i nie jest jej priorytet. Po drugie, doskonale wie, że we Włoszech takimi postulatami nie wygra się teraz wyborów. Zamiast tego uderza w tony, w których czuje się najpewniej, czyli te związane z polityką tożsamościową i gospodarką. Jednym z jej głównych haseł wyborczych jest „przywrócenie centralnej roli rodziny we włoskim społeczeństwie". Dlatego w programie Braci Włoskich dużo jest mowy o bezpośrednich transferach pieniężnych dla rodzin wielodzietnych, wsparciu budowy mieszkań komunalnych i uruchomieniu przedszkoli na modłę niemiecką, gdzie jedna matka opiekuje się gromadą dzieci, własnych i cudzych. Jednocześnie zarówno Meloni, jak i jej koalicjanci, Matteo Salvini i Silvio Berlusconi, lansują w kampanii model tradycyjnej rodziny jako jedyny akceptowalny, zgodny z włoską (dla Meloni tożsamej z chrześcijańską) kulturą. Ona sama, w swoim biurze trzymając fotografie Jana Pawła II, Matki Teresy i swojej córki, przedstawia się zresztą w czterech słowach: suwerenistka, konserwatystka, chrześcijanka, matka. Nie przeszkadza jej, że sama żyje w związku pozamałżeńskim ze swoim partnerem, dziennikarzem Andreą Giambruno. Matteo Salvini przez ostatnie dwie dekady zdążył się ożenić, rozwieść, dwa razy zaręczyć i związać z czwartą kobietą, z pierwszą żoną mając też córkę, a o rodzinno-intymnym życiu Silvia Berlusconiego nie ma co nawet wspominać. Żadne z liderów prawicy nie świeci zatem przykładem, jeśli chodzi o praktykowanie wartości, które narzucać chcą innym.

PRZECIWKO MIGRACJI

Polityka rodzinna pokazuje zresztą, jak bardzo program prawicy rozjeżdża się z rzeczywistością. Jak podaje „La Repubblica", tylko 33 proc. wszystkich włoskich rodzin to tradycyjne rodziny. 33,2 proc. obywateli żyje samotnie lub nie deklaruje żadnego związku, 32,5 proc. to samotni rodzice z co najmniej jednym dzieckiem. Zaledwie co trzeci Włoch i Włoszka spełniają więc kryteria, które Meloni i Salvini uważają za nienegocjowalne. Nie mówią o klimacie, choć 56 proc. obywateli uważa, że walka z jego ociepleniem powinna stanowić najważniejszy priorytet w polityce krajowej i międzynarodowej. Niewiele miejsca poświęcają też miejscu kobiet na rynku pracy, choć, jak podaje Eurostat, co trzecia bezrobotna dorosła kobieta w Unii Europejskiej to Włoszka. Skąd więc tak wysokie poparcie?

Nadchodzące zwycięstwo prawicowej koalicji i mianowanie postfaszystki szefową rządu nie oznacza, że nagle we Włoszech odrodziło się poparcie dla faszyzmu jako takiego. To w ogóle źle postawiona diagnoza, nie mówiąc o tym, że włoską politykę ciężko analizować w sposób linearny. W końcu w chwili dymisji Maria Draghiego w roli premiera popierało go blisko 60 proc. respondentów, a dzisiaj na Partię Demokratyczną, która przywróciłaby go na to stanowisko w przypadku wygranej w wyborach, głosować chce tylko 22 proc. Bracia Włoscy zresztą sami nie mają jakiegoś rekordowego poparcia, według ostatnich sondaży to tylko 25 proc. Ale Meloni nie idzie po władzę sama, tylko w koalicji. Dlatego zapytać się należy nie o to, czemu postfaszystka się podoba swoim wyborcom, ale czemu nie przeszkadza pozostałym.

Przede wszystkim dlatego, że zmusiła wszystkich innych polityków do gry we własną grę. W czasie wielkiego kryzysu gospodarczego, niestabilności wywołanej wojną i nadchodzącymi problemami z energią narzuciła własny ton debaty. Zwłaszcza mówiąc o migracji. Tu akurat dobrze wsłuchała się w głos społeczeństwa, według badania YouGov z grudnia 2021 r. aż 77 proc. wszystkich Włochów i 91 proc. głosujących na szeroko pojętą prawicę uważa, że migrację trzeba ograniczyć. Meloni przywraca więc dyskusję o zasadach nadawania obywatelstwa, a od Unii Europejskiej żąda utworzenia „hot-spotów" w krajach Afryki Północnej, w których uchodźcy polityczni oddzielani byliby od migrantów ekonomicznych i handlarzy ludźmi.

Politykę migracyjną opierać chce na morskiej blokadzie Morza Śródziemnego, które patrolować miałyby okręty marynarki wojennej. Do poprzednich rządów ma z kolei pretensje, że „postawili znak równości pomiędzy słowami »migrant« i »uchodźca«". W niedawnej debacie z szefem PD Enrico Lettą mówiła nawet, że we Włoszech nie ma już miejsca dla legalnych migrantów z Europy, bo wszystkie miejsca zajęli ci nielegalni, z Afryki. Tę sytuację podsumowała zresztą stwierdzeniem, że „żadne poważne państwo tak nie robi", ona więc planuje to zmienić.

WŁOSKI BREXIT?

Meloni jest też silna słabością swoich rywali. Lewica i centrum zajęte są personalnymi sporami i ogólną histerią z powodu kroczącego faszyzmu. Dotyczy to zresztą nie tylko polityków, ale i dziennikarzy, którzy nawzajem prześcigają się w coraz to bardziej kasandrycznych metaforach. Kiedy w sierpniu powrót do polityki ogłosił Berlusconi, media nazwały go „praojcem europejskiego populizmu". Za chwilę upublicznił swój pomysł bezpośrednich wyborów prezydenta – został określony włoskim Orbánem. Z kolei tydzień temu Enrico Letta zdefiniował niedzielne wybory jako „moment włoskiego brexitu". W tej kakofonii potrzebnych, ale przytłaczających porównań ginie program lewicy. A szkoda, bo jest ciekawy, być może dawałby szansę na wygraną. Dwa najważniejsze obszary: klimat i edukacja. Inwestycje w transport publiczny, propozycja niewliczania wydatków na klimat w deficyt budżetowy, stworzenie specjalnego funduszu klimatycznego z udziałem sektora prywatnego, zunifikowany bilet kolejowy na wszystkie połączenia, osiągnięcie mocy instalacji OZE na poziomie 85 gigawatów do 2030 r. Do tego podniesienie pensji nauczycieli, specjalne programy zachęcające do pracy w oświacie, modernizacja infrastruktury edukacyjnej.

Z tym przekazem Letta się jednak nie przebija. W debatach przegrywa z retorycznie sprawniejszą Meloni, która oferuje proste recepty i lepiej definiuje, do kogo i dlaczego trafią państwowe pieniądze. W rozmowach z zagraniczną prasą wychodzi na bezradnego histeryka, któremu zostaje bicie na alarm i wzywanie na pomoc Brukseli i Waszyngtonu. Daje się wciągnąć w przepychanki, których nie ma szans wygrać. A Meloni idzie po władzę jak po swoje. Jak sama mówi, ma już dość polityków, którzy Włochami rządzą z góry. Chce oddać kontrolę w ręce ludu, czyli w swoje własne. ●

Nike
Gazeta Wyborcza & Fundacja Agory
Nagroda Literacka

PLEBISCYT NIKE CZYTELNIKÓW

Zagłosuj na książkę → Wyborcza.pl/nike

Na Wasze głosy i recenzje czekamy **do jutra**

Do zdobycia voucher na wycieczkę o wartości 5 tys. zł

1 RP OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY 34202677

eprasa.pl 4fdfb41448

Modlitwa o prawdę

Za każdym kłamstwem kryją się podstęp i przemoc.
Każde to atak na bezpieczeństwo świata

>Capek*

Panie, który stworzyłeś narody i obdarzyłeś je wszystkie pragnieniem życia w godności, proszę, wyzwól współczesny świat od najgorszego zła: od kłamstwa! Od kłamstwa, które rodzi i wspiera przemoc, a ludzi uczy wzajemnej nienawiści. Które zatruwa całe narody i wykopuje między nimi przepaść, jakiej przez dziesiątki lat nie da się zasypać.

Boże, jak będzie wyglądała i rozwijała się Europa zatruta jadem nienawistnych kłamstw?! Jak będą mogły współżyć narody, tonące w morzu pogardy, oszczerstw i zniewag?! Czy ktoś wyobraża sobie, że ten stan ducha może trwać bez końca? Czy sąsiad musi nieustannie lżyć sąsiada i czekać tylko na okazję do zadania mu podstępnego ciosu?

Przecież nawet po wojnie narody potrafiły się jednać: podawać sobie ręce, w rycerski sposób się szanować i stopniowo odbudowywać wzajemne zaufanie. Lecz na placu boju, na którym panuje kłamstwo, przez wieki brak będzie godności i zaufania: choć kłamstwo sczeźnie, zostanie po nim jad nienawiści i pogardy, a ciało zagoi się szybciej niż dusza!

Panie, jakże straszne rany cierpi ten naród! Jak trudno będzie je uleczyć i zabliźnić! Czy nikogo nie przeraża, jak potwornie agresywny, wrogi i na wieki zły świat w ten sposób budujemy? Czy w śmiertelnych spazmach nienawiści nie trzeba chwili pokoju lub choćby oddechu?

Boże, przywróć prawdę światu! Będzie znaczyła więcej niż układ pokojowy, bo jest cenniejsza od każdego sojuszu. Nigdy żaden naród i żaden kraj nie może być niczego pewny, kiedy międzyludzkie stosunki skorumpowane są przez instrumenty kłamstwa. Nie będzie żadnych gwarancji ni umów, niczego pewnego ni bezpiecznego, gdy świadomość jakiegoś narodu wykrzywi rozmyślne kłamstwo. Za każdym kłamstwem kryją się podstęp i przemoc, każde to atak na bezpieczeństwo świata. Nikt nie będzie bezpieczny nawet za najgrubszą ścianą z betonu i stali, bo potęga kłamstwa skruszy mury każdej twierdzy.

Czy nikogo nie przeraża, jak potwornie agresywny, wrogi i na wieki zły świat w ten sposób budujemy?

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Unicestwienie kłamstwa to więcej niż światowe rozbrojenie. Jak profetyczne było, gdy Tomáš Garrigue Masaryk wpisał w nasze godło państwowe słowa: „Prawda zwycięży". Jakby przewidywał, że kiedyś kłamstwo podejmie frontalny atak na nasz kraj, dlatego z góry stworzył hasło na taką walkę. Możemy z nim iść w bój. Dzięki zwycięstwu prawdy cały świat mógłby osiągnąć pokój.

Bo tylko bez kłamstwa ludzie i narody są w stanie się porozumieć, choćby mówili różnymi językami. Panie, błagam Cię, przywróć światu prawdę!

przeł. Andrzej S. Jagodziński

*Karel Čapek

• 1890-1938, jeden z najważniejszych czeskich pisarzy XX wieku i pionierów fantastyki naukowej. Napisał m.in. utopijny dramat „R.U.R." oraz powieści „Fabryka Absolutu" i „Krakatit". W innej, „Inwazji jaszczurów" (1936), wskazywał na niebezpieczeństwo faszyzmu.

• Tekst „Modlitwa o prawdę" opublikował w dzienniku „Lidové noviny" 25 września 1938 r., trzy miesiące przed śmiercią i na kilka dni przed konferencją w Monachium.

Klub „Wyborczej"

Czy Ukraina wygra wojnę?

Rozmawiają
Julia Mendel - b. sekretarz W. Zełenskiego
Wacław Radziwinowicz - dziennikarz i ekspert „Wyborczej"

Obejrzyj na: wyborcza.pl
wtorek, 27.09, godz. 20

Dołącz do Klubu „Wyborczej" na
Wyborcza.pl/prenumerata

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY 34205192 1 RP

eprasa.pl 4fdfb41448

CZUŁE SŁÓWKA

Prometeusz

Porównywane Kaczyńskiego do mitologicznych postaci jest ryzykowne, ale Ministerstwo Kultury mogło o tym nie wiedzieć.

Michał Rusinek*

Zdaję sobie sprawę, że pisanie o filmie, którego się nie widziało, jest zadaniem ryzykownym, a pisanie o filmie, który jeszcze nie powstał — przekracza granice brawury. W tym przypadku trudno się jednak powstrzymać: Polska Agencja Prasowa poinformowała niedawno, że Ministerstwo Kultury dofinansowało film zatytułowany „Prometeusz polski. Lech Kaczyński i Gruzja". Jaki to będzie film — zobaczymy. Już jednak sam jego tytuł oraz jego eksplikacja dokonana przez twórców nasuwa nam pewne tropy interpretacyjne oraz uświadamia ryzyko, z jakim taki tytuł się wiąże. Uświadommy je twórcom filmu, zanim będzie za późno.

We wspomnianej eksplikacji czytamy: „W mitologii greckiej Prometeusz był tytanem, a jego imię oznacza »myślący w przód«. Dziś, po agresji Rosji na Ukrainę, przypomina się historyczne przemówienie prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego, który 14 lat temu mimo wybuchu wojny gruzińsko-rosyjskiej, po kolejnym bombardowaniu przez Rosjan miasta Gori przybył do Tbilisi — nie tylko sprzeciwił się rosyjskiej agresji, jego słowa okazały się prorocze dla późniejszych losów wschodniej Europy". Prorocze słowa prezydenta brzmiały: „Dziś Gruzja, jutro Ukraina, pojutrze państwa bałtyckie, a później może i czas na mój kraj, na Polskę".

Reżyser filmu Jerzy Lubach, prawicowy publicysta, który kilka miesięcy temu apelował do rządu o wprowadzenie stanu wojennego i osadzenie przedstawicieli opozycji w więzieniach, posłużył się zatem w tytule figurą porównania prezydenta Kaczyńskiego do mitycznego tytana. Ale także — świadomie bądź nieświadomie — tytuł planowanego filmu nawiązuje do obrazu Horace'a Verneta z 1831 roku, zatytułowanego tak samo, tzn. „Le Prométhée polonais" — więc jest to nasze pierwsze skojarzenie. Obraz ten, namalowany po klęsce powstania listopadowego, przedstawia martwego polskiego żołnierza ze złamaną szablą w dłoni, na którego piersi siedzi czarny orzeł, symbolizujący Rosję. Podtytuł obrazu brzmi „Allégorie de la Pologne vaincue", czyli alegoria Polski pokonanej. Nie jest to zapewne skojarzenie pożądane, a w każdym razie nie wyobrażam sobie, żeby Ministerstwo Kultury dofinansowało jakikolwiek film o polskiej klęsce. Uczulałbym jednak reżysera, że widzowie zaznajomieni choćby pobieżnie z historią sztuki takie skojarzenia mogą mieć.

Na szczęście twórcy filmu wyjaśnili znaczenie tytułu. Twierdzą oni, że chodzi o profetyczne zdolności Lecha Kaczyńskiego oraz i takie same zdolności sugerowane przez imię mitycznego tytana. Jednak tylko imię, bo już życiorys Prometeusza nie zawiera wątków proroczych. Owszem, był on tytanem — i tak zapewne twórca przyszłego filmu myśli także o prezydencie. I owszem, z perspektywy ludzkości był postacią pozytywną: ulepił człowieka z gliny i łez oraz nauczył go posługiwać się ogniem — wbrew woli Zeusa. Spotkała go za to dobrze znana kara: został przykuty do skał Kaukazu, a codziennie o świcie przylatywał orzeł (lub sęp) i wydziobywał mu wątrobę, która przez noc odrastała. Z mąk tych wywabił go Herakles, zabijając ptaka strzałą z łuku. Ale mniejsza o to.

Porównanie życiorysów tytana i prezydenta wykazuje stosunkowo niewiele podobieństw, przez co już wydaje się dość ryzykowne. Poświęcenie dla ludzkości (tej części świata), a ściślej heroiczny czyn (wizyta w ogarniętej wojną Gruzji), wspomniana tytaniczność i rzekome zdolności profetyczne — i na tym koniec. Wygląda na to, że twórcy filmu nie znaleźli w mitologii greckiej takiej postaci, która lepiej nadawałaby się do porównania z Lechem Kaczyńskim. Tytuł „Pytia polska" brzmiałby nieźle, ale z pewnością nastręczałby problemów natury genderowej, ze wszech miar niepożądanych: zarówno Pytia, jak i Kasandra miały wprawdzie dar przewidywania przyszłości, ale były kobietami. Lepszy byłby pod tym względem Helenos (syn Priama i Hekabe) lub Kalchas (potomek Apollona), ale są o wiele mniej znani, więc z pewnością nie nadają się na umieszczenie w tytule filmu — z powodów marketingowych. Nieco szerzej znany jest Tejrezjasz, ale, po pierwsze, został oślepiony przez Atenę, bo podglądał ją w kąpieli, a po drugie, jego płeć nie jest oczywista, bo według jednego z mitów został on zamieniony w kobietę. A więc porównywać do niego naszego prezydenta po prostu nie przystoi.

Dobrze. Zgoda. Prometeusz — najlepszy. Przeciwstawienie się Kaczyńskiego Putinowi będzie więc zapewne w filmie Lubacha przedstawione jako tytanomachia (lub przeciwstawienie się tytana Zeusowi), z pewnością zaś jako walka dobra ze złem — a wszystko to dla dobra zwykłego człowieka. Ciekawe, czy fabuła filmu obejmie także wojnę w Ukrainie i czy twórcy zdecydują się na kontynuowanie figury porównania obu życiorysów. Z mitu dowiadujemy się bowiem, że po bohaterskim czynie Prometeusza sytuacja na świecie na jakiś czas się uspokoiła, ale wściekły bóg zaplanował straszną zemstę, by unieszczęśliwić ludzkość i by znów nastał mrok. Do realizacji tego planu potrzebny był brat Prometeusza — Epimeteusz, będący jego przeciwieństwem. Nie tylko ze względu na imię, które oznacza „myślący wstecz", ale i charakter oraz umysłowość. O ile Prometeusz nazywany był przez autorów starożytnych „przemyślnym", bo udało mu się przechytrzyć boga, Epimeteusza uważa się za „niezbyt rozumnego" i „ulegającego pokusom". Zeus stworzył bowiem piękną kobietę o imieniu Pandora, wręczył jej puszkę zawierającą smutki, troski, cierpienia i choroby — i wysłał na ziemię, by rozkochała w sobie Epimeteusza. Mimo ostrzeżeń Prometeusza jego brat dał się uwieść. A jak się to skończyło — wiedzą nawet licealiści. Zakładam zatem, że wie to także Jerzy Lubach oraz że zdaje sobie sprawę z politycznych konsekwencji porównania Epimeteusza z Jarosławem Kaczyńskim. W razie problemów przypominam, że Prometeusz miał też innego brata, o imieniu Atlas, tytana o znacznie szlachetniejszym życiorysie, przedstawianego w ikonografii jako potężnego starca dźwigającego sklepienie niebieskie. Czyli — od biedy — jako emerytowanego zbawcę ludzkości.

Czy Lech Kaczyński miał profetyczne zdolności? Tak sugerują twórcy filmu „Prometeusz polski"

***Michał Rusinek** – wykłada (literaturoznawstwo na UJ), przekłada (książki), układa (wierszyki, piosenki, felietony). Był sekretarzem Wisławy Szymborskiej, dziś prowadzi fundację jej imienia. Feminista

W PONIEDZIAŁEK
W „WYBORCZEJ"

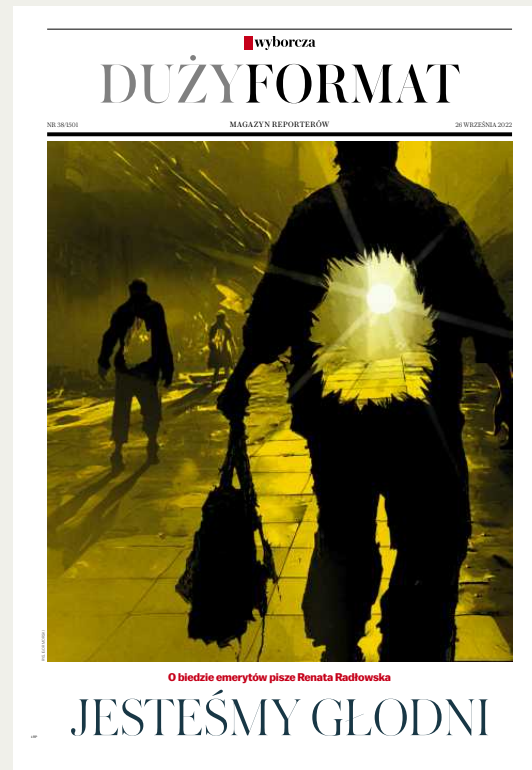

1 DROGI RZĄDZIE, JESTEM GŁODNY. Rozmowy o życiu emeryta

2 TRZECH MĘŻCZYZN I DOM. Jak się żyje w trójkącie?

3 HISTORIA PRZYPADKU POLSKIEGO FRITZLA. Fragment książki Katarzyny Włodkowskiej

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY 34176926

eprasa.pl 4fdfb41448

PARTNER STRATEGICZNY:
POWERED BY
SEBASTIAN KULCZYK
JUTRONAUCI
SIĘGAJ ZA HORYZONT

• Rok 1981, Renee Richards (z lewej), pierwsza kobieta trans w zawodowym tenisie (z lewej) i Martina Navratilova - która jako jedna z pierwszych sportsmenek dokonała coming outu jako biseksualistka, a później jako lesbijka – po meczu na turnieju w Filderstadt
FOT. RZEPKA/ULLSTEIN BILD VIA GETTY IMAGES

CZY CIS KOBIETY ODDADZĄ MEDALE

Redukcja testosteronu u transzawodniczek nie niweluje innych przewag z zakresu biologii – jak wzrost, budowa mięśni, kości

Maciej Jarkowiec

We wrześniu 1977 roku, w pierwszej rundzie singla kobiet turnieju US Open, Brytyjka Virginia Wade, która dwa miesiące wcześniej triumfowała w Wimbledonie, stanęła naprzeciw nietuzinkowej rywalki. Choć turniej dopiero się zaczynał, a przeciwniczka Wade nie była rozstawiona, mecz wzbudził wielkie zainteresowanie. Według wielu komentatorów w ogóle nie powinien zostać rozegrany.

Renée Richards miała 43 lata, co w zawodowym tenisie było wiekiem późnoemerytalnym. Mierzyła 185 cm wzrostu i odznaczała się silną budową ciała. Zanim została dopuszczona do turnieju, przeszła długą batalię sądową.

Richards urodziła się jako mężczyzna. Została uznanym okulistą. Odnosiła sukcesy w amatorskim tenisie, ale nigdy nie zakwalifikowała się do turnieju dla zawodowców. Już na studiach ubierała się w kobiece stroje i nakładała makijaż, co wówczas – w latach 50. – uznawane było za ciężkie zboczenie i wymagało heroicznej odwagi. W wieku 41 lat Richards przeszła operację korekty płci. Wygrane w amatorskich turniejach dla kobiet skłoniły ją do ponownej próby rozpoczęcia zawodowej kariery – jako kobieta. Władze amerykańskiego tenisa nie chciały dopuścić jej do gry, uznając, że jako „były mężczyzna" nieuczciwie zyskuje przewagę.

Walka prawników trwała kilkanaście miesięcy. W końcu sąd najwyższy stanu Nowy Jork orzekł, że Richards ma rację. „Ta osoba jest kobietą" – powiedział sędzia. Zakaz gry uznał za dyskryminację. Niewiele później Richards dostała dziką kartę od organizatorów US Open. Przed meczem z Wade pisano, że kobiecy tenis jest na progu katastrofy – mężczyźni masowo będą zmieniać płeć, aby odbierać trofea kobietom.

Jednak Wade wygrała i burza ucichła.

W kilku następnych latach już bez większego rozgłosu Richards grała z powodzeniem i doszła do 19. miejsca na liście najlepszych tenisistek świata. W jej wieku osiągnięcie niebywałe. Karierę zakończyła jako 47-latka.

Richards jest pionierką walki transkobiet o prawa do rywalizowania w zawodach sportowych przeciw kobietom biologicznym. 45 lat po jej starcie w US Open kwestia nadal rozbudza emocje i nie jest uregulowana. Miarą kontrowersji niech będzie fakt, że nawet użyty przeze mnie termin „kobiety biologiczne" nie jest precyzyjny. Środowiska osób transpłciowych i niebinarnych preferują określenie cis kobiety, gdzie cis oznacza zgodność między płcią przypisaną przy urodzeniu a tożsamością płciową.

To właśnie na polu rywalizacji sportowej najdobitniej manifestuje się dziś problem granic inkluzywności i ograniczeń liberalnej kultury.

W ostatnich miesiącach głośna była historia Lii Thomas, która zdominowała niektóre z zawodów pływackich w lidze uniwersyteckiej w USA.

Przy urodzeniu Lii przypisano płeć męską. Wychowała się jako chłopiec, przeszła dojrzewanie. Swoją tożsamość zaczęła kwestionować pod koniec liceum. Czytała historie transkobiet. Na studiach skorzystała z pomocy psychologa. Wyznała rodzinie, że jest kobietą. Zaczęła używać nowego imienia. Rozpoczęła przyjmowanie żeńskich hormonów. W późniejszych wywiadach opowiadała, że dopiero wtedy pierwszy raz w życiu była szczęśliwa, pierwszy raz poczuła się sobą.

Lia uprawiała pływanie od piątego roku życiu. Przez lata wyróżniała się, co motywowało ją do treningów. Jednak w lidze uniwersyteckiej mężczyzn nie była czołową postacią. Teraz zapragnęła startować pośród kobiet – „zgodnie z moją prawdziwą płcią", jak tłumaczyła. Przepisy federacji sportów akademickich (NCAA) dopuszczały do startu transkobiety, które przez co najmniej 12 miesięcy przechodziły terapię blokowania testosteronu. Gdy Thomas spełniła ten warunek, stanęła na słupku.

W rankingu mężczyzn na 1650 jardów Thomas zajmowała 32. miejsce. Jako kobieta wygrała jeden z biegów z przewagą 38 sekund, w zestawieniu znalazła się na 8. miejscu. W marcowych mistrzostwach NCAA w wyścigu na 200 jardów kobiet zajęła 5. miejsce, choć wcześniej pośród mężczyzn plasowała się w szóstej setce rankingu. W zestawieniu wyścigów na 500 jardów jako mężczyzna zajmowała 65. miejsce, jako kobieta zdobyła tytuł mistrzowski.

Zapowiedziała, że będzie rywalizować o kwalifikację olimpijską. Pośród przeciwników i przeciwniczek jej startów znaleźć można osobowości z najbardziej wrogich sobie światów – radykalnej prawicy oraz radykalnego feminizmu.

W marcu 2019 roku brytyjski raper i kulturysta amator o pseudonimie Zuby stanął przed sztangą o wadze 238 kg i bez większego wysiłku podniósł ją na wysokość ud. Do sieci wrzucił klip z komentarzem: „Podobno biologiczni mężczyźni nie mają przewagi fizycznej nad kobietami. No to patrzcie, jak NISZCZĘ rekord Wielkiej Brytanii w martwym ciągu kobiet. Oczywiście na czas bicia rekordu określam moją tożsamość jako kobiecą". Nagranie stało się wiralem, a średnio znany dotąd Zuby został gwiazdą – głównie w prawicowych mediach. „Cóż za szczęście oglądać niezależną, silną, czarną kobietę bijącą rekordy" – drwiono.

Żart miał być krytyką sytuacji, w której mężczyźni identyfikujący się jako kobiety startują w zawodach kobiet. Krytyka byłaby trafna, gdyby rzeczywiście o dopuszczeniu do zawodów decydowało jedynie oświadczenie uczestniczki, że jest kobietą.

Co prawda można pośród tysięcy federacji sportowych na całym świecie znaleźć takie, które wymagają jedynie oświadczenia, ale zdecydowana większość rywalizacji sportowej kobiet odbywa się na innych zasadach. Do 2004 roku przepisy MKOl wymagały od transkobiet chirurgicznej i prawnej korekty płci. Wykluczało to transkobiety, które nie dokonały operacji genitaliów, oraz te, których kraje nie dopuszczają do legalnej zmiany oznaczenia płci w dokumen-

eprasa.pl 4fdfb41448

tach. W 2015 roku przepisy złagodzono, pozostawiając wymóg terapii blokowania testosteronu i utrzymania jego zawartości we krwi na poziomie poniżej 10 nanomoli na litr (niższy od większości mężczyzn, ale wyższy od większości kobiet) przez co najmniej 12 miesięcy. Takie warunki spełniła Lia Thomas, a także Laurel Hubbard, sztangistka z Nowej Zelandii, która w Tokio w 2021 roku wystąpiła jako pierwsza kobieta trans w historii igrzysk (nie zaliczyła żadnej próby w rwaniu i odpadła).

W zeszłym roku MKOl opublikował nowe wytyczne, które w praktyce pozostawiły decyzje federacjom sportowym. Jak na razie spowodowało to nie złagodzenie, a zaostrzenie kryteriów. Dla przykładu: kilka tygodni temu światowa federacja pływacka ogłosiła, że dopuszczone zostaną jedynie transkobiety, które rozpoczęły tranzycję przed 12. rokiem życia. Marzenie Lii Thomas o udziale w igrzyskach się nie spełni.

Pięćdziesiąt lat temu jedna na 27 amerykańskich dziewczynek uprawiała sport. Dziś robi to 40 proc. Na olimpiadzie w Monachium w 1972 r. w reprezentacji USA było 90 kobiet pośród 339 mężczyzn. Rok temu w Tokio: 329 kobiet i 284 mężczyzn.

Przez ostatnie dziesięciolecia sport pomagał w emancypacji kobiet. Walczyły o prawo uprawiania kolejnych dyscyplin i udziału w igrzyskach, zdobywały coraz większą publiczność. W wymiarze społecznym i indywidualnym przez sport udowadniały siłę i niezależność, realizowały aspiracje, unieważniając ograniczenia wielowiekowej kultury patriarchatu.

Paradoks polega na tym, że było to możliwe tylko i wyłącznie dzięki segregacji – tej samej, którą na większości innych pól życia społecznego feminizm zwalczał. Gdyby kobiety startowały w zawodach razem z mężczyznami, nie miałyby szans na medale. Dobrze było to widać na mistrzostwach świata w lekkiej atletyce w Dausze w 2019 roku. Polska sztafeta mieszana w biegu 4x400 metrów była jedyną, która zdecydowała się ustawić kobietę na ostatniej zmianie. Oglądaliśmy, jak kolejni mężczyźni z dziecięcą łatwością wyprzedzają naszą mistrzynię Justynę Święty-Ersetic, choć ruszyła z ogromną przewagą (uzyskaną przez naszych mężczyzn nad kobietami z innych drużyn).

Rekordy świata mężczyzn w pływaniu czy bieganiu są o 10-15 proc. wyższe niż rekordy kobiet. W podnoszeniu ciężarów różnica wynosi nieraz ponad 30 proc. Biegaczka Allyson Felix zdobywała złota olimpijskie od Londynu (2012) po Tokio (2020). Ale w tym samym czasie każdego roku mężczyźni przebiegali ponad 15 tysięcy razy szybciej od jej rekordu życiowego na 400 metrów, w tym kilkaset razy w zawodach dla licealistów.

Powodem jest biologia. Rozdzielenie zawodów mężczyzn i kobiet spełnia funkcję ochronną: kobiety są chronione przed przewagą, jaką mężczyźni zyskują dzięki budowie biologicznej. Analogicznie w licznych dyscyplinach – choćby boksie, judo, podnoszeniu ciężarów – zawodników i zawodniczki lżejsze chroni się przed konkurencją ze strony cięższych. W sporcie osób z niepełnosprawnościami – tych z większą niepełnosprawnością chroni się od tych z mniejszą.

Wejście transkobiet do sportu redefiniuje powyższe granice – dlatego budzi tyle emocji. Kryterium poziomu testosteronu jest wątpliwe, bo jego redukcja nie niweluje innych przewag z zakresu biologii – jak wzrost, budowa mięśni, kości czy niektórych organów. Inkluzywność – otwarcie sportu dla osób trans – może więc jednocześnie okazać się wykluczająca – pozbawi cis kobiety szans na wygraną.

Do licznych przeciwniczek dopuszczenia trans kobiet do rywalizacji z cis kobietami należy Renée Richards, pierwsza transkobieta w zawodowym tenisie, która po latach zrewidowała swoje stanowisko. Amerykański pływak Michael Phelps, najbardziej utytułowany olimpijczyk w dziejach, pytany o sprawę Lii Thomas porównał jej udział w zawodach do używania dopingu. „Rywalizacja musi się odbywać na równym polu".

MKOl, odchodząc od wyznaczenia sztywnego standardu poziomu testosteronu we krwi i zrzucając decyzje na federacje, poniekąd przyznał, że jest bezradny wobec dylematu. Teoretycznie pozostawił otwartą furtkę dla sytuacji, z jakiej kpił Zuby – związek sportowy może postanowić, że samo oświadczenie o poczuciu tożsamości wystarczy. Z drugiej strony – federacje mogą zupełnie wykluczyć transkobiety. Zrobił to już światowy związek rugby.

Gdy władze pływackie ogłosiły, że transkobiety, które rozpoczęły tranzycję po okresie dojrzewania, nie będą mogły startować, rzecznik federacji wyjaśniał: „Mając do wyboru inkluzywność i fair play, wybieramy fair play".

Ale czy to jest fair w stosunku do osób trans?

Spór można by sprowadzić do jednego pytania: kto ma prawo nazywać siebie kobietą? Według niektórych feministek ten przywilej jest zarezerwowany dla tych, którym przypisano płeć żeńską w momencie urodzenia. Kobiety łączy wspólnota doświadczeń: biologicznych (choćby związanych z menstruacją), ale też społecznych, politycznych i klasowych. Wychowanie się jako dziewczynka w patriarchalnym społeczeństwie z całą gamą związanych z tym ograniczeń i zagrożeń jest czymś, czego transkobieta nigdy nie przeżyła i czego nie jest w stanie zrozumieć. To wyklucza ją ze wspólnoty. Tego typu argumentacja pobrzmiewała m.in. w wypowiedziach i tekstach autorki „Harry'ego Pottera" J.K. Rowling. „Pogląd mówiący, że kobiecość nie jest umiejscowiona w ciele, a wspólne doświadczenia biologicznych kobiet są wymysłem, uważam ze ogromnie mizoginistyczny i wsteczny" – pisała. „Kwestionowanie istnienia płci [...] prowadzi m.in. do unieważnienia konkretnej rzeczywistości, jaka czyni z kobiet klasę polityczną".

Rowling została najsłynniejszą TERF-ką, czyli feministką o transfobicznych poglądach (*trans-exclusionary radical feminist*). Część środowisk trans skierowała w jej stronę najcięższe działa, Rowling padła ofiarą hejtu, grożono jej śmiercią. Jej wypowiedzi i reakcje na nie uruchomiły globalną debatę o cancel culture – kulturze unieważnienia. Terminem tym skrótowo zaczęto określać ścianę, do której doszła jakoby liberalna demokracja i uświęcona przez nią poprawność polityczna. Ktokolwiek wypowie się w poprzek dominującym w debacie trendom (w tym przypadku: podważy prawo transkobiet do nazywania się kobietami), zostaje społecznie i intelektualnie unieważniony, anulowany. Nie przypadkiem na sprawę Rowling powołał się w jednym z wojennych przemówień Putin. Anulowanie autorki „Harry'ego Pottera" ma być dowodem na zgniliznę Zachodu, która zagraża Rosji.

A tak na Rowling był obrzydliwy i nie ma dla niego usprawiedliwienia. Jednocześnie warto zauważyć, że pisarka mówiła z pozycji siły – multimilionerki i najbardziej poczytnej autorki współczesności – do osób niewspółmiernie słabszych. Statystyki dowodzą, że w wielu społeczeństwach osoby trans częściej od innych grup padają ofiarą przemocy, dyskryminacji, wykluczenia społecznego i ekonomicznego. W sporze feminizmu z ruchem trans siły też są nierówne. Kobiety to połowa globalnej populacji, a ich emancypacja postępuje od 150 lat. Osoby trans to niewielka mniejszość, która dopiero zaczyna wychylać się spod buta dominującej kultury.

J.K. Rowling popełniła też grzech manipulacji. W swoim eseju powoływała się na skompromitowane badania. Upierała się m.in., że w 60-90 proc. przypadków transnastolatki po jakimś czasie wyrastają z poczucia, że ich tożsamość płciowa jest inna niż w dokumentach. Teza pochodzi z prac doktor Lisy Littman z nowojorskiej szkoły medycznej Mount Sinai i została wielokrotnie zdyskredytowana przez środowisko naukowe. Badania Littman inicjowali rodzice z grup zwalczających ruch trans i prowadzono je na małych, niereprezentatywnych grupach. W globalnej debacie po publikacjach Rowling najgłośniej wybrzmiewał hejt osób trans na portalach internetowych. Ale w tym samym czasie autorkę rzeczowo punktowali lekarze i naukowcy.

Prawica i skrajny feminizm argumenty, które mają jakoby zamykać dyskusję o tym, kto jest, a kto nie jest kobietą, najłatwiej znajdują w biologii. Istotnie: płeć wyróżniają nie tylko inne narządy rozrodcze, ale też inna budowa organów, w tym mózgu, inna gospodarka hormonalna, a nawet – czego dowodzi coraz więcej badań – odmienne procesy na poziomie samych komórek.

Takie rozumowanie wydaje się oczywiste, ale stanowi pewną pułapkę. Ta sama biologia podsuwa bowiem piętrzące się wątpliwości. Miliony ludzi na świecie rodzą się z niejednoznacznie określonymi cechami płci biologicznej. Noworodek może mieć jednocześnie męskie chromosomy i żeńskie cechy fizyczne. Może mieć interpłciowe genitalia – nie wskazujące jednoznacznie, jakiej jest płci. Może mieć macicę i jądra. Badanie pod kątem hormonów często jeszcze bardziej utrudnia odpowiedź na pytanie, czy to chłopiec, czy dziewczynka. Warto też pamiętać, że mózg – niezaprzeczalnie wytwór biologii – jest najmniej rozpoznanym przez naukę organem i nadal mamy mgliste pojęcie o tym, jakie procesy neurologiczne mogą zdecydować, że dana osoba czuje się kobietą, mężczyzną lub żadnym z nich.

W awanturze wokół pływaczki Lii Thomas przeciwnicy jej startów pośród kobiet wskazywali, że choć przeszła terapię blokowania testosteronu, jest wyższa od przeciwniczek, ma dłuższe ramiona i szersze barki.

Thomas ma 185 cm wzrostu. Otylia Jędrzejrzak – 187 cm. Najlepsza polska pływaczka w historii, gdy wygrywała wyścigi olimpijskie, była wyższa, miała dłuższe ramiona i szersze barki nie tylko od większości przeciwniczek z basenu, ale też od setek milionów mężczyzn. Nie trzeba być naukowcem, żeby stwierdzić, że ludzie rodzą się bardzo różni. Równe pole rywalizacji, o którym wspominał Michael Phelps, nie istnieje.

Poza harówą na treningach o sukcesie decydują warunki niezależne od sportowca. To, gdzie się urodził (Malijczyk z Sahary nie zostanie mistrzem w narciarstwie), pozycja majątkowa rodziny (dzieci z biednych domów nie stać na karierę w zawodowym tenisie) i przede wszystkim – cechy biologiczne. Małgorzata Dydek, najbardziej utytułowana polska koszykarka, mierzyła 218 cm. Czy należało ją zdyskwalifikować z powodu dominacji fizycznej nad rywalkami? Czy Kenijczycy i Etiopczycy, którzy m.in. z powodu przewagi genetycznej rządzą w biegach średnio i długodystansowych, powinni zostać wykluczeni?

Jedną z cech demokracji jest to, że niweluje znaczenie siły. Słabsze grupy – w znaczeniu fizycznym lub kulturowym – dostają opiekę, dzięki której mogą w pełni uczestniczyć w życiu społecznym. W ostatnim stuleciu demokracje dojrzewały do coraz większej inkluzywności względem kobiet, mniejszości etnicznych, religijnych, seksualnych, osób z niepełnosprawnościami i innych grup. Dziś kultura coraz bardziej otwiera się na osoby trans. Tak jak dla wyżej wymienionych, również dla tej mniejszości sport oferuje doskonałą przestrzeń do emancypacji. Być może wkrótce pojawią się transkobiety, które zostaną gwiazdami w swoich dyscyplinach i staną się źródłem inspiracji. Czy to źle? Do władz światowego sportu należy zadanie wypracowania jak najuczciwszych i najbardziej przejrzystych zasad ich uczestnictwa. Na razie nikt nie wymyślił nic mądrzejszego niż kryterium poziomu testosteronu.

Lia Thomas rozpętała burzę tylko z jednego powodu: zaczęła wygrywać. Osoby trans nieodnoszące sukcesów nie przykuwają uwagi. Podobnie 45 lat temu Renée Richards przestała budzić emocje od razu po porażce z Virginią Wade. Czy na pewno należy się obawiać, że ludzie z maleńkiej mniejszości, nadal dyskryminowanej w większości krajów świata, unieważnią sport kobiet? A może nasze przyzwyczajenie kulturowe jest tak silne, że dopuszczenie osób trans do wszystkich dziedzin życia społecznego nie mieści nam się w głowach?

Kobiety uprawiające boks, geje biorący śluby i Ziemia krążąca wokół Słońca też były kiedyś nie do pomyślenia. ●

Jedną z cech demokracji jest to, że niweluje znaczenie siły.
Słabsze grupy - w znaczeniu fizycznym lub kulturowym - dostają opiekę, dzięki której mogą w pełni uczestniczyć w życiu społecznym

„Rewolwer obok Biblii. W co wierzy Ameryka",
Maciej Jarkowiec, Agora, 2021

Jutronauci 2022

• Pandemia koronawirusa i wojna w Ukrainie poważnie zmieniły naszą rzeczywistość i wywołują wiele obaw o przyszłość. W tej, szóstej już, edycji programu Jutronauci, którego partnerem jest Sebastian Kulczyk, duży nacisk położymy na przyszłość edukacji. Jak musi zmienić się szkoła, żeby przygotować dzieci na wyzwania przyszłości? Gdzie młodzi mają się uczyć wartości, skoro w posadach trzęsą się ich dotychczasowe gwaranty: Kościół i rodzina? Zastanowimy się też, jak pod wpływem migracji zmieni się nasze społeczeństwo.

• W tym roku ponownie spojrzymy poza horyzont aktualności i spróbujemy zrozumieć, jak może wyglądać nasza przyszłość w najrozmaitszych dziedzinach. Na Wyborcza.pl/jutronauci oraz na łamach „Wyborczej" czekają na Państwa eseje, analizy oraz podcasty. Zaprosimy Państwa też do oglądania debat z udziałem jutronautów oraz ekspertów.

PARTNER WSPIERAJĄCY:
FANUC

eprasa.pl 4fdfb41448

CO SIĘ STANIE, GDY ZJESZ 1 mCi PLUTONU

Podajemy efektowne hasło dla ekologów: pod samą Warszawą mamy 5,4 miliona ton uranu!

Jan Jakub Tatarkiewicz*, Łukasz A. Turski**

Chyba najpowszechniejszym tematem we wszystkich środkach masowego przekazu na całym świecie jest ochrona naturalnego środowiska człowieka. Prasa, radio i telewizja pełne są wystąpień ludzi, którzy z zaangażowaniem występują w obronie czystej wody, świeżego powietrza i zdrowej żywności. Sprawy są naprawdę poważne. Zagrożenie przyrody jest tuż za miedzą.

Nieprzypadkowo użyliśmy słowa „przyroda", a nie tak modnego określenia „naturalne środowisko człowieka". Pojęcie „naturalne" nie zostało bowiem zdefiniowane i dlatego jest puste. Od momentu, gdy nasz protoplasta stwierdził, że kamieniem świetnie można nie tylko rozbić orzech kokosowy, ale i głowę pobratymca, że ogień może służyć nie tylko do upieczenia mięsa, lecz także do spalenia siedziby wrogiego szczepu – odtąd życie przestało być naturalne. Człowiek ciągle zmieniał otaczające go środowisko. Wszyscy żyjemy od dawna w środowisku będącym dziełem rąk ludzkich.

Nie jest prawdą, że dzieło to jest całkowicie złe. Naturalne środowisko Paryża nie wydaje się najzdrowsze, ale jest o niebo lepsze niż podobne środowisko w połowie XVII wieku. Trzeba bowiem zdawać sobie sprawę ze szkodliwości naturalnej emisji amoniaku z odchodów końskich, by zrozumieć, że zanieczyszczenie powietrza w miastach przez środki lokomocji nie jest li tylko produktem dekadenckiej cywilizacji technologicznej końca naszej ery. O ile więc można dość precyzyjnie określić, o co nam chodzi, gdy mówimy o ochronie przyrody, to nie jest zupełnie jasne, co się rozumie pod pojęciem ochrony naturalnego środowiska.

Społeczeństwo – nie tylko nasze, co wynika z ogólnoświatowego uwiądu oświaty – jest autentycznie przerażone rozwojem nauki i technologii, których nie zna i nie rozumie. Próbuje więc stworzyć sobie jej arystotelesowski obraz: „Nic nie zmieniać, wszystko już, co nowe i do życia potrzebne, zostało odkryte".

Dziś, gdy poziom życia wszystkich praktycznie ludzi na świecie, włączając w to nędzarzy w Indiach i Afryce, jest wyższy niż kiedykolwiek, gdy świat doznaje jakościowej rewolucji technologicznej o niespotykanych w przeszłości rozmiarach, obserwujemy jednocześnie niesamowity rozwój pseudonauki i szalbierstwa naukowego. Tak wiec mamy „lekarstwo" z torfu, będące panaceum na nowotwory, pigułki dolomitowe, które poprawiają ogólny stan zdrowia społeczeństwa, kocioł parowy, który odwraca wzrost entropii, oraz genialne turbinki zwiększające sprawność archaicznych silników samochodowych. Złowróżbną rolę odgrywają środki masowego przekazu. Wyzbyte elementarnej uczciwości intelektualnej, gotowe są propagować i reklamować każdy bezsens i każdą brednię w imię złotego cielca.

Uważamy za obowiązek ludzi nauki publiczne zabieranie głosu w dyskusjach, jak ta o „kryzysie cywilizacyjnym". Społeczeństwu należy się bowiem od nas prawda, którą potem wykorzysta ono, jak zechce. Chcielibyśmy, by nasz głos wywołał poważną, nie

1 RP

eprasa.pl 4fdfb41448

FOT. BLOOMBERG VIA GETTY IMAGES

zaś histeryczną, dyskusję nad problemami energetyki i kierunku jej rozwoju w Polsce.

Być może w wyniku takiej dyskusji dojdziemy do wniosku, że należy wrócić do spania w kożuchu na piecu. Być może jednak konkluzja będzie inna: można i trzeba dokonać daleko idących zmian naszego życia gospodarczego, technicznego i społecznego, by zimą zaś móc nie tylko spać pod jedną kołdrą, ale (o horrendum!) popływać w basenie z ciepłą wodą.

Zagrożenie otaczającej nas przyrody jest rzeczywistością. Nie jest ono jednak wynikiem niewłaściwego rozwoju technologii czy też nauki. Jest skutkiem od lat niewłaściwie prowadzonej polityki ekonomicznej w wielu państwach świata. Jest także rezultatem zbyt powolnego przekształcania ekonomii światowej z typowo XIX-wiecznej, opartej na przemyśle dziś zwanym ciężkim na tę nowoczesną, wykorzystującą ostatnie osiągnięcia nauki.

Chyba największe emocje i najwięcej cięgów zbiera od ekologów tradycyjny „chłopiec do bicia" – przemysł energetyczny, przede wszystkim ten wykorzystujący energię jądrową. Jest zupełnie przerażające, jak wiele bezsensu i często mówionej nieprawdy znaleźć można w wypowiedziach na temat energetyki jądrowej. Jakimi zaś nonsensami podszyte są zachwyty nad energetyką zastępczą, tą opartą na wykorzystaniu odnawialnych źródeł energii!

Dyskusja o energii oraz jej dostępności jest dyskusją o dalszych losach naszego gatunku i naszej cywilizacji. Oczywiście istnieją inne pojęcia i definicje cywilizacji niż ta, którą mamy na myśli. Nie interesujemy się tu cywilizacją pitekantropów ani też cywilizacją człowieka z Cro-Magnon, lecz cywilizacją końca XX wieku. Moglibyśmy ją scharakteryzować, wymieniając pewne przedmioty. Są to: lodówka, pralka, telefon, książka, radio, telewizor, magnetofon, komputer i samochód. Kolejność nie jest przypadkowa. Lodówka jest kluczem do higienicznego żywienia, pralka do utrzymania czystości osobistej, książka, telefon, radio, telewizor, magnetofon i komputer to przedmioty niezbędne do rozwoju intelektualnego i do komunikacji międzyludzkiej. Samochód wymieniamy na ostatnim miejscu, choć nie uważamy go za „zło". Po prostu elektroniczne środki łączności bardzo szybko ograniczą rozwój krótkodystansowej komunikacji samochodowej związanej z wykonywaniem zawodu.

Wszystkie te urządzenia wymagają znacznie więcej energii niż 2000 kcal na dzień, tj. tyle, ile zawiera pożywienie potrzebne normalnemu człowiekowi. Niestety, produkcja energii każdą ze znanych dziś metod przemysłowych prowadzi do powiększenia ryzyka śmierci lub chorób wszystkich ludzi. Dlatego też nasze rozważania zaczniemy od przedstawienia rachunku ryzyka, czyli od szacowania prawdopodobieństwa śmierci lub choroby na skutek różnych wydarzeń.

W ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy, pominąwszy wydarzenia i kryzysy natury politycznej, przeżyliśmy szereg katastrof: lawinę błotną (w Ameryce Południowej), największą w historii katastrofę elektrowni jądrowej (w Europie), gigantyczne zatrucie rzeki (również w Europie), naturalną erupcję gazów trujących (w Afryce), zatonięcie promu oraz rozbicie się samolotu pasażerskiego (Europa). Były to zarówno katastrofy naturalne, jak i będące dziełem człowieka. Każda z naturalnych pociągnęła o wiele więcej ofiar niż spowodowane przez człowieka, niemniej jednak środki przekazu i tzw. opinia publiczna zostały bardziej zbulwersowane Czarnobylem, niedawnym zatruciem Renu, wywróceniem się promu na kanale La Manche i spaleniem się samolotu PLL LOT niż tragediami w Kamerunie i Ekwadorze. W **tabeli 1.** podajemy wybrane przypadki największych katastrof naturalnych i będących skutkiem działalności człowieka. Aby nie epatować ostatnimi wydarzeniami, ograniczamy się do wypadków sprzed 1980 r.

Lord Kelvin powiedział, że tylko wtedy można coś zrozumieć, gdy się to potrafi zmierzyć. Wydaje się więc celowe próbować przeprowadzić analizę ilościową takich zjawisk jak ryzyko działalności ludzkiej i korzyści z tej działalności płynące.

Wszelkie zagrożenia, jakie występują w naszym życiu, możemy podzielić na dwie klasy: te, nad którymi mamy pełną kontrolę, tj. godzimy się na nie dobrowolnie i z całą świadomością, oraz te, nad którymi kontroli nie mamy. Do tych ostatnich zaliczamy wszystkie w zasadzie zjawiska naturalne, jak huragany, wyładowania atmosferyczne itp. Trzeba jednak pamiętać, że linia oddziału nie jest ostra. Mieszkając w domu z porządnie wykonanym piorunochronem, zabezpieczamy się w dużej mierze przed piorunami. Typowym zjawiskiem ryzyka „dobrowolnego" jest tak powszechne w naszym kraju opilstwo wódczane. Zagrożeniem niedobrowolnym są zaś pijani motocykliści grasujący po polskich drogach w sobotnie popołudnie.

Aby przybliżyć pojęcie ryzyka i jego analizę ilościową, sięgnijmy do rocznika statystycznego z 1981 r. Wydarzyło się wtedy w kraju 27 015 wypadków śmiertelnych, przy liczbie ludności 35 578 000. Stąd prawdopodobieństwo poniesienia śmierci przez statystycznego Polaka w wyniku wypadków wynosiło 27 015 / 35 578 000 = 0,00076. Obliczoną wielkość nazwiemy ryzykiem indywidualnym. Tak więc z samego faktu mieszkania w Polsce mamy 8 szans [*dokładniej 7,5 – 2022*] na 10 tysięcy, że życie nasze zakończy się w ciągu roku wypadkiem.

Oczywiście możemy obliczyć też ryzyko indywidualne nie na rok, ale powiedzmy na godzinę. W roku jest 8760 godzin, stąd ryzyko indywidualne śmierci dla każdego Polaka w ciągu najbliższej godziny wynosi 0,00076 / 8760 = 0,000000087. Mamy więc jedną szansę na około 11 milionów [*dokładniej 1 na 11,5 miliona – 2022*], że stracimy życie w wypadku w ciągu najbliższej godziny.

NAJWIĘKSZE KATASTROFY W HISTORII LUDZKOŚCI WEDŁUG KSIĘGI REKORDÓW GUINESSA (1981)

Wypadek	Miejsce	Data	Liczba ofiar
„Czarna śmierć"	cały świat	1347-1351	75 mln
Epidemia grypy	cały świat	1918	21,5 mln
Głód	Chiny	1877-1878	9,5 mln
Powódź	Chiny (Hwang-Ho)	08.1931	3,7 mln
Trzęsienie ziemi	Chiny (okręg Shensi)	24.01.1556	830 tys.
Bomba atomowa	Hiroszima	6.08.1945	141 tys.
Bombardowanie konwencjonalne	Drezno	13-15.02.1945	25 tys.
Zatonięcie statku	Bałtyk	30.01.1945	7700
Pęknięcie zapory	USA (Johnstown)	31.05.1889	2209
Eksplozja amunicji	Kanada (Halifax)	6.12.1917	1863
Pożar w teatrze	Chiny (Kanton)	05.1845	1670
Katastrofa kopalni	Chiny (Honkeiko)	26.04.1942	1572
Katastrofa lotnicza	Wyspy Kanaryjskie	27.03.1977	582
Pożar w klubie nocnym	USA (Boston)	21.11.1942	492
Wyciąg narciarski	Włochy (Cava lese)	9.03.1976	42

Jest to ryzyko niewoluntaryjne – wynika z samego faktu, że żyjemy, i niewiele możemy zrobić, aby je zmienić. Można przenieść się na Mazury i mieszkać tam spokojnie. Zmaleje wtedy istotnie nasze ryzyko indywidualne katastrofy komunikacyjnej, za to zwiększy się ryzyko indywidualne, związane z tym, że możemy sobie uciąć nogę, rąbiąc drzewo, zaś pomoc lekarska nadejdzie z opóźnieniem. Musimy sobie zdawać sprawę, że każda sekunda naszego życia upływa przy zagrożeniu wynikającym z samego faktu życia! Prawdopodobieństwo śmierci każdego człowieka jest równe jeden.

Bardzo ważnym pojęciem jest tzw. ryzyko czasu życia. Otóż przyjmijmy, że żyjemy ok. 70 lat. Jeśli założyć (co jest oczywiście szalonym uproszczeniem), że prawdopodobieństwo wypadku jest takie samo w każdym roku naszego życia, to ryzyko, że zginiemy kiedyś w czasie całego naszego życia, wynosi 70 lat × (ryzyko indywidualne) = 0,053. Mamy więc jedną szansę na 20 [*dokładniej 1 na 19 – 2022*], że życie nasze zakończy się w wyniku wypadku. Pozostałe 19/20 to szanse śmierci z innych powodów.

Bardziej przemawiające do wyobraźni niż ryzyko czasu życia jest tzw. ryzyko względne, czyli średnia utrata czasu życia pomnożona przez ryzyko czasu życia. Otóż jeśli nadal przyjąć założenie, że w każdym roku życia prawdopodobieństwo wypadku jest takie samo, to średnio na skutek zajścia wypadku śmiertelnego tracimy (70 – 0) / 2 = 35 lat życia. Tak więc ryzyko względne dla wypadków w Polsce wynosi 35 × 0,053 = 1,86 roku [*rok i dziewięć miesięcy, dokładniej rok i dziesięć – 2022*]. O tyle średnio skracało się życie każdego Polaka anno Domini 1981 z powodu nieszczęśliwych wypadków.

Wprowadzone powyżej pojęcia zastosujemy do oceny ryzyka wywołanego powszechną i dobrowolną działalnością ludzką, jaką jest palenie papierosów. Oprzemy analizę na danych opublikowanych w informatorze Amerykańskiego Towarzystwa do Walki z Nowotworami (American Cancer Society) z końca lat 70., natomiast dane dotyczące Polski zaczerpniemy z materiałów Polskiego Towarzystwa Przeciwtytoniowego.

Według danych amerykańskich, około 10 proc. populacji pali. W Polsce zwyczaj ten jest bardziej powszechny: według danych PTP, w roku 1980 paliło nałogowo około 9 milionów rodaków (palacz nałogowy to osoba wypalająca około jednej paczki papierosów dziennie). Zgodnie z rocznikiem statystycznym z 1981 zanotowano 13 093 przypadki nowotworu układu oddechowego. Korzystając z danych ACS, szacujemy, że 3/4 tych przypadków związane jest z paleniem. Stąd 9820 przypadków nowotworu płuc jest pochodną palenia papierosów. Ryzyko indywidualne nowotworu płuc wynosi 9820 / 9 000 000 = 0,0011 szans na rok. Jest więc porównywalne z ryzykiem dla wypadków nagłych!

Załóżmy bardzo ostrożnie, że palacz zaczyna palić w wieku 18 lat. Ryzyko czasu życia związane z paleniem wynosi: (70 – 18) × 0,0011 = 0,057 szans [*dokładniej 0,065 – 2022*] w życiu. Ryzyko względne nowotworów układu oddechowego dla palaczy wynosi więc półtora roku [*dokładniej rok i osiem miesięcy – 2022*].

Nowotwory układu oddechowego nie są jedynym zagrożeniem wywołanym paleniem. Korzystając z danych PTP, szacujemy ryzyko względne zawału serca i chorób wieńcowych na około dwóch lat. Według danych ACS pełne papierosowe ryzyko względne wynosi 9 lat. W ciągu 52 lat dorosłego życia palacz wypala około 380 000 papierosów. Stąd ryzyko względne na jeden papieros wynosi około 15 minut [*dokładniej 12,5 minuty – 2022*]. Sądzimy, że w istocie ryzyko jest i tak niedoszacowane! Mamy propozycję: może by zmienić slogan na pudełkach papierosów i zamiast niego umieszczać napis: „Uwaga! Zawartość tego opakowania skraca życie o 5 godzin" [*dokładniej o 4 godziny – 2022*].

Statystyka ryzyka nie jest tak łatwą zabawą jak to, co przytoczyliśmy powyżej. Ryzyko można oceniać w kategoriach naukowych, nie jest to bowiem pojęcie ulotne lub nieprecyzyjne. To bardzo skomplikowana praca. Jako przykład przytaczamy wzór wyprowadzony przez Lave'a i Seskina (badaczy z uniwersytetu pittsburskiego), dotyczący ryzyka wywołanego przez zanieczyszczenie powietrza (konwencjonalna energetyka, hutnictwo i przemysł szklarski). We wzorze tym DR oznacza liczbę zgonów na 10 000 osób na rok, C jest stężeniem zanieczyszczeń pyłowych (w mikrogramach na metr sześcien-

Każde z konwencjonalnych źródeł energii jest niebezpieczniejsze niż energetyka jądrowa

eprasa.pl 4fdfb41448

ny), S jest stężeniem tlenków siarki (również w mikrogramach na metr sześcienny), P jest liczbą ludzi na milę kwadratową, E jest procentem ludności korzystającej z Medicare (w naszej nomenklaturze: emeryci powyżej 65. roku życia), zaś NW to stosunek liczby ludności kolorowej do białej: DR = 20 + 0,04C + 0,7S + 0,001P + 700E + 40NW

Byłoby ciekawe sprawdzenie, jakie parametry socjologiczne (np. procent ludności napływowej zamiast NW) należy uwzględnić w podobnej analizie, badając np. zagrożenie pyłowe na Śląsku.

Wbrew pewnym opiniom działalność ludzka nie tylko jest związana z narażeniem nas na nieszczęścia, przynosi także pewne korzyści. Przeprowadzając ocenę ilościową ryzyka związanego z jakąś działalnością, trzeba też badać ilościowe korzyści z działalności tej płynące. Prawdziwym bowiem kryterium oceny naszej działalności powinien być stosunek ryzyka do korzyści.

Musimy zastrzec, że analiza ryzyko – korzyść nie musi od razu prowadzić do odpowiedzi na pytanie, ile jest warte ludzkie życie. Każde indywidualne życie nie ma określonej wartości albo raczej: każdy ma prawo do oceny wartości własnego życia. Uważamy jednak, że można oceniać korzyści wynikające z każdej działalności ludzkiej, nawet tej, która prowadzi do zagrożenia życia.

Co więcej, znajomość odpowiednich wskaźników (jak ryzyko – korzyść), jest niezbędna dla zrozumienia zachodzących zjawisk i do podjęcia odpowiednich decyzji osobistych. Ich wypadkową powinny być świadomie podjęte przez społeczeństwo decyzje makroekonomiczne i makrospołeczne. Niezależnie od poglądów i przekonań musimy przyjąć do wiadomości, że istnieje maksymalna cena, jaką każde społeczeństwo może zapłacić za ratowanie jednostkowego lub zbiorowego życia.

Podobnie oszacować można ryzyko wynikające z niekontrolowanego rozprzestrzeniania się pierwiastków promieniotwórczych. W wielu publikacjach mówi się, że pluton jest najgorszą trucizną znaną ludzkości. Jakie zagrożenie indywidualne niesie „konsumpcja" plutonu generowanego w ciągu roku w elektrowni o mocy 1 GW?

Paliwo jądrowe z takiej elektrowni zawiera ok. 60 000 mCi plutonu (uwaga: będziemy posługiwali się „nielegalnymi" jednostkami miar, ponieważ mają ludzki wymiar: jednostka układu SI bekerel, odpowiadająca 1 rozpadowi na sekundę, powoduje, że nawet drobne skażenia liczy się w potwornych liczbach – 1 milicurie (mCi) = 37 000 000 rozpadów / sekundę). Co się stanie, gdy zjemy 1 mCi plutonu? Dawka promieniowania, pochłonięta w wątrobie, wyniesie w ciągu 40 lat 89 rad. Dużo to czy mało?

Otóż nie musimy nikomu dawać plutonu do jedzenia, aby to sprawdzić! Od lat lekarze posługiwali się kontrastem, zawierającym ThO_2. Własności radioaktywnego toru są podobne do plutonu, stąd wiemy, że spożycie 1 mCi plutonu daje ryzyko 0,038 nowotworów. Gdyby cały pluton generowany w ciągu roku w elektrowni o mocy 1 GW został spożyty przez ludzi, to mielibyśmy 2300 dodatkowych nowotworów. Liczba ta wskazuje, że znacznie większym zagrożeniem jest opanowanie przez terrorystów paliwa jądrowego i dosypywanie go do wody niż skonstruowanie przez nich prymitywnej bomby atomowej!

Przy okazji trzeba zwrócić uwagę, że volens nolens konsumujemy pierwiastki promieniotwórcze, znajdujące się w sposób naturalny w naszym środowisku. Wyobraźmy sobie powierzchnię centrum m.st. Warszawy (ok. 100 km kw.). Zastanówmy się, ile radioaktywnego uranu znajduje się w warstwie o głębokości do 1 km? Otóż 100 km³ ziemi waży 300 mld ton [*pomyłka o jeden rząd wielkości, powinno być 3000 mld ton, zapewne spowodowana ograniczoną liczbą cyfr wyświetlanych przez kalkulator w 1986 r.*]. Jedna tona ziemi zawiera średnio 4 g uranu [*powinno być 0,18 g uranu na tonę ziemi, gdyż średnio jest 1,8 ppm*] – średnio, tzn., że są miejsca, gdzie jest dużo więcej radioaktywności, jak np. przepiękne plaże w stanie Kerala w Indiach, pokryte grubą warstwą piasku torowego, czy też winonośne skały Frankonii. Podajemy teraz efektowne hasło dla ekologów: pod Warszawą mamy 1,2 miliona ton uranu [*powinno być – 5,4 miliona ton uranu*].

Nawet w warstwie o grubości 1 m jest jeszcze ciągle 1200 ton uranu [*powinno być 5400 ton uranu*]. Ziemia eroduje z szybkością ok. 0,05 mm/rok – oznacza to, że w ciągu roku tylko z powodu erozji około 60 kg uranu [*powinno być 270 kg uranu*] pojawia się na powierzchni Warszawy... Jest to zasadnicza składowa tzw. naturalnego tła promieniotwórczego.

Drugą jest promieniowanie kosmiczne. Dysponujemy tylko danymi zachodnioniemieckimi – dawki całkowite, otrzymywane w okresie 30 lat (średni czas między generacjami), wynoszą w zależności od miejsca zamieszkania od 2850 do 6310 mRem. Natomiast średnia dawka „naturalna" wynosi prawie 4 Rem (czyli 4000 mRem) w ciągu 30 lat.

Podajemy efektowne hasło dla ekologów: pod samą Warszawą mamy 5,4 miliona ton uranu!

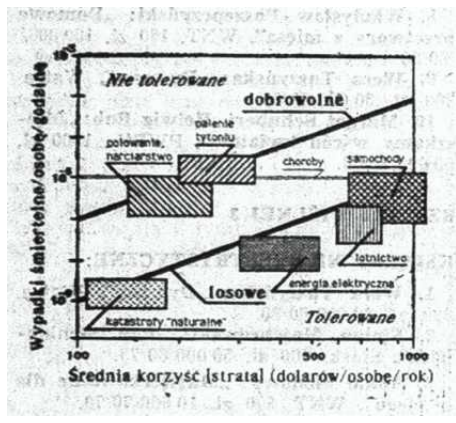

• **Przebieg krzywych Starra oceniających ryzyko względem korzyści (strat) dla różnych rodzajów działalności, szkic autorów, 1987**

Pozostawiamy Czytelnikom porównanie całkowitej dawki, którą może otrzymać człowiek mieszkający 3 km od elektrowni jądrowej w okresie 30 lat (niespełna 1,2 mRem), z rozrzutem dawek promieniowania „naturalnego" (2800-6300 mRem)! Można też inaczej spojrzeć na to porównanie. Przeniesienie się z okolic elektrowni atomowej gdzieś dalej zwiększy zwykle ryzyko utraty życia w wypadku drogowym (dojazdy do pracy i sklepów). Proste oszacowanie prowadzi do wniosku, że przeprowadzka o 600 metrów spowoduje większy wzrost ryzyka utraty życia w katastrofie drogowej niż spokojne mieszkanie w odległości 3 km od czynnej elektrowni.

Natomiast nie możemy nie skomentować faktu, iż dzięki dużej liczbie elektrowni jądrowych Republika Federalna Niemiec ma około 50-proc. nadwyżkę w produkcji energii elektrycznej – tej zimy nie notowano tam wyłączeń prądu z powodu braku zapasów węgla.

RYZYKO ŚMIERCI W ZAWODZIE (PROC. OGÓLNEJ LICZBY LUDZI W ZAWODZIE)

Zawód	Wielka Brytania	USA
Rybactwo pełnomorskie	5	-
Lotnictwo (cywilne)	7	-
Górnictwo węglowe	2	5
Budownictwo	5	-
Typowa produkcja przemysłowa	0,3	0,5
US Atomie Energy Commission	-	0,3
40 lat zawodowej dawki 1 Rem/rok (nowotwory)	0,6	0,6

Ocena wielu dziedzin działalności ludzkiej nie jest prosta. Jak ocenić korzyści wynikające z podróży samolotowych, a tym samym ryzyko korzystania z komunikacji lotniczej? C. Starr, jeden z pionierów takich analiz, posługuje się zyskiem czasu wynikającym z podróży samolotem w stosunku do konwencjonalnego, lądowego przejazdu.

Starr przyjmuje, że wszelką działalność można podzielić na tolerowaną społecznie oraz nietolerowaną, zależnie od tego, czy jej ryzyko indywidualne jest mniejsze czy większe od ryzyka indywidualnego z powodu chorób naturalnych, oznaczonego na rysunku przerywaną linią poziomą. Naszkicowaliśmy przebieg krzywych Starra oceniających ryzyko względem korzyści (strat) dla różnych rodzajów działalności.

Wg Starra można opisać te zależności wzorem $R = a \cdot B^3$, gdzie B oznacza korzyści, R to ryzyko, zaś a jest pewną stałą.

Inną metodą porównywania „korzyści" z różnych rodzajów działalności człowieka jest oszacowanie niebezpieczeństwa wynikające z uprawiania pożytecznych zawodów. W **tabeli 2.** podajemy typowe zagrożenia śmiercią w tzw. bezpiecznych i niebezpiecznych zawodach. Energetyka jądrowa oraz inne zawody powodujące napromieniowanie ludzi mieszczą się świetnie w „średnim" zakresie zagrożeń. Natomiast praca w górnictwie jest bardzo niebezpieczna [*w 2022 r. trzeba dodać równie bardzo niebezpieczny zawód kierowcy ciężarówek – w Polsce ginie średnio 5 razy więcej kierowców ciężarówek niż górników – biorąc pod uwagę, że górników jest ok. 5 razy mniej niż kierowców ciężarówek TIR, oznacza to podobne ryzyko śmierci w obu zawodach*].

W kontekście przytoczonych zagrożeń naturalnych i niebezpieczeństw czyhających na człowieka wskutek jego własnej działalności główna teza przedstawia się następująco: każde z czterech ogólnie dostępnych konwencjonalnych źródeł energii (węgiel, ropa naftowa, gaz ziemny i energia wodna) jest niebezpieczniejsze niż energetyka jądrowa. Zilustrujmy tę tezę, przytaczając **tabelę 3.**, szacującą liczbę zgonów przypadających na 1 GWrok produkowanej energii. Zwróćmy tylko uwagę, że 27 zgonów na GWrok oznacza trzy miliardowe [*3/1 000 000 000 = $3 \cdot 10^{-9}$ – 2022*] zgonów na godzinę używania przeciętnego piecyka elektrycznego.

Analizując poszczególne sposoby wytwarzania energii, pominęliśmy całkowicie, budzący rozliczne emocje, problem odpadów związanych z produkcją energii. Zrobiliśmy to rozmyślnie. Każdy może zrobić niedzielną wycieczkę na wysypisko popiołów z elektrowni. Dobrze byłoby, aby wcześniej przypomniał sobie, że węgiel kopalny jest naturalnie radioaktywny [*2022: ^{14}C podlega rozpadowi beta o średniej energii 156 keV i czasie półrozpadu 5730 lat – 1 na 10^{12} atomów węgla jest w postaci tego izotopu*] i że praktycznie cała radioaktywna część węgla pozostaje w pyłach zebranych na filtrach – reszta ulatuje przez komin. Hałdy stanowią poważne zagrożenie radiologiczne, że nie wspomnimy już o innych niebezpieczeństwach z nimi związanych (niedawno obchodziliśmy smutną rocznicę tragedii w Aberfan w Walii – w 1966 roku w katastrofie obsunięcia się hałdy zginęły tam 144 osoby).

Zagrożenie produktami radioaktywnymi w węglu kopalnym jest zapewne największym zagrożeniem radiologicznym, jakie znamy w tej chwili. Taki np. radioaktywny radon dostaje się do naszych mieszkań między innymi z elementów budowlanych wykonanych z pyłów zebranych w elektrowniach. Radioaktywne ściany są znane w wielu krajach świata, m.in. w Polsce.

Byłoby nieuczciwe pominięcie milczeniem problemu składowania i przeróbki odpadów z elektrowni. W istocie to trudny problem. Należy jednak zdawać sobie sprawę, że ilość tych odpadów (w m³) jest znikoma w porównaniu z ilością odpadów wytwarzanych w elektrowniach konwencjonalnych. Szacuje się, że gdyby całą energię elektryczną potrzebną w Wielkiej Brytanii aż do ro-

ZGONY ZWIĄZANE Z WYTWARZANIEM 1 GW ROKU ENERGII ELEKTRYCZNEJ

Paliwa kopalne:	**36**
skażenie atmosfery górnictwo węglowe	27
chroby płuc	9
wypadki	0,5
Ropa naftowa:	**36**
wydobycie ropy	0,06
refinerie etc.	22
transport	4
Gaz ziemny:	**0,44**
eksplozje w kopalniach	0,09
zatrucia	0,26
wybuchy i pożary u użytkowników	0,09
Energia wodna:	**5,3**
1 wypadek pęknięcia tamy (2000 ofiar) raz na 50 lat	2,63
inne wypadki	2,63
drobne pęknięcia tam	0,18
utonięcia	0,09
Energetyka jądrowa:	**0,44**
kopalnictwo uranu dla:	
reaktorów powielających	0,0006
reaktorów konwencjonalnych	0,13
przerób uranu i produkcja elementów paliwowych dla:	
reaktorów powielających	0,018
reaktorów konwencjonalnych	0,018
nowotwory wywołane przez normalne działanie 500 reaktorów i zaldady przerabiania paliwa jądrowego	0,0026
wypadki reaktorowe (stan sprzed Czarnobyla*):	
wypadki śmiertelne	0,09
przypadki nowotworów	0,009
inne niebezpośrednie	0,05

*Dane z raportu „Theoretical Possibilities and Consequences of Major Accidents in Large Nuclear Plants", US Atomic Energy Commission, 1957. Raport zakłada niekorzystne warunki meteorologiczne i jeden wypadek na 30 lat, prowadzący do 3000 zgonów. W br. [1987] podano, że awaria w Czarnobylu pociągnęła 31 bezpośrednich wypadków śmierci na skutek napromieniowania oraz oszacowano, że wywoła ona 3000 przypadków nowotworów w ciągu następnych 25 lat [w 2022 szacuje się, że ofiar było pomiędzy 4000 a 150 tys.]

1 RP

eprasa.pl 4fdfb41448

ku 2000 wytwarzać w reaktorach, to odpady z tychże elektrowni można by składować na jednym boisku do piłki nożnej. Istnieją metody składowania takich odpadów, m.in. w geologicznie stabilnych formacjach, np. soli. Sama natura dowiodła, że takie składowanie jest „bezpieczne": w Gabonie odkryto kilka lat temu (prawdopodobne) pozostałości po naturalnym reaktorze wytworzonym w bogatych złożach uranu. Reaktor ten „stopił" się, ale nie doprowadziło to do monstrualnych konsekwencji.

Każdy może sam odpowiedzieć na pytane, jakie rodzaje energetyki należy rozwijać, chcąc zapewnić społeczeństwu bezpieczeństwo. Oczywiście można wzruszyć ramionami: „Przecież ja nie pracuję w kopalni, nie przewożę ropy naftowej, ostrożnie obchodzę się z gazem i nie mieszkam pod zaporą". To prawda, ale ktoś musi fedrować, przewozić, wdychać, mieszkać. Kto zgodzi się być samobójcą w imię wygody innych?

„Ekolodzy" gorąco namawiają do korzystania z tzw. alternatywnych lub odnawialnych źródeł energii: wody, słońca, biogazu. Wyjaśniliśmy już, że energetyka wodna jest równie niebezpieczna jak jądrowa. Natomiast co do energetyki słonecznej, to obecnie przemysłowo produkowane baterie słoneczne z krzemu amorficznego – na świecie produkuje się rocznie takie baterie o łącznej mocy 10 MW [*w 2020 r. wyprodukowano baterie o mocy 179 000 MW*] – mają sprawność nie lepszą niż 8-9 proc. i trwałość do 10 lat, a cena 1 W mocy zainstalowanej w takich bateriach jest kilka razy wyższa niż cena tej samej mocy uzyskiwanej z innych źródeł energii i wynosi 5 dolarów [*w 2022 roku to 3-4 dolary*). Ocenia się, że 1 kW·h kosztowałby ok. 3 dolarów przy trwałości baterii 20 lat, lecz dodatkowe oprzyrządowanie (kable, akumulatory itp.) kosztowałoby około 50 dolarów/Wat. Szacuje się, że próg opłacalności mieści się w obszarze poniżej 1 dolara. Ale o tym tzw. ekolodzy nie wiedzą (lub nie chcą wiedzieć).

Znów posłużmy się przykładem RFN, kraju w podobnej strefie klimatycznej co Polska. Zaspokojenie całości zapotrzebowania energetycznego w roku 2000 wymagałoby pokrycia co najmniej 3 proc. powierzchni kraju bateriami słonecznymi, przy założeniu, że będziemy mieli wystarczająco dużo akumulatorów do wytworzonej w dzień energii. Nie wolno zapominać, że produkcja akumulatorów znanych rodzajów jest bardzo szkodliwa (ołów, kadm; produkcja kadmu na szeroką skalę doprowadzić musi do znacznego zwiększenia liczby zachorowań na nowotwór prostaty, co oczywiście jest mniej interesujące dla wojujących zielonych feministek). Budowa elektrowni szczytowo-pompowych pociągnęłaby za sobą podobne ryzyko jak przy energetyce wodnej.

Nie wspominaliśmy o energetyce wiatrowej, choć ma długą i ciekawą historię. Niestety, nawet stosowanie najnowszych technologii nie pozwala na pełną dyspozycyjność tego rodzaju elektrowni. W krajach takich jak Holandia można liczyć na stałe wiatry, ale już w Polsce elektrownie wiatrowe mogą być tylko uzupełnieniem innych rodzajów energii – może to być pompa wodna zasilająca zbiornik gospodarstwa rolnego w chwilach, gdy wieje wiatr. Trudno sobie jednak wyobrazić postawienie wiatraków w miastach. Koszt budowy linii przesyłowych praktycznie wyklucza stosowanie tego rodzaju energii daleko poza miejscem wytwarzania. Ze względów technicznych stawianie wiatraków na dachach wieżowców nie wydaje się praktyczne. Kolejna „alternatywa" okazuje się pozorem, w każdym razie w naszej rzeczywistości technicznej. Co innego w krajach, gdzie większość obywateli zamieszkuje domki jednorodzinne.

Fakt, że świat ciągle jeszcze 90 proc. energii uzyskuje z paliw kopalnych (ropa naftowa, gaz ziemny i węgiel), tylko 6 proc. z wody, 3 proc. z energii jądrowej, zaś 1 proc. z innych źródeł (to są właśnie te polecane źródła „alternatywne"!), najlepiej świadczy o tym, że tak naprawdę nie mamy żadnej alternatywy. [*W 2022 r. całkowite zużycie energii na świecie miało następujące proporcje: 33,1 proc. ropa naftowa, 27 – węgiel, 24,2 – gaz ziemny – czyli 84,3 proc. z paliw kopalnych – 6,4 proc. energia wodna, 4,3 – energia jądrowa, 2,2 – energia wiatru, 1,1 – energia słoneczna, 0,7 – biopaliwa, 0,9 – inne źródła odnawialne*].

Gdy skończą się źródła kopalne, pozostanie energia wodna i jądrowa. Palenie krowim łajnem lub biogazem będzie dostępne tylko dla najbardziej zacofanych krajów świata (no bo skąd w megamiastach wziąć odpowiednią biomasę i gdzie ją trzymać). Dlatego też we Francji już prawie 50 proc. energii elektrycznej jest produkowane w elektrowniach jądrowych [*2022 – ok. 70 proc.*]. Inne kraje rozwinięte szybkimi krokami zbliżają się do tego wyniku.

Kończąc rozważania o prawdziwych i urojonych zagrożeniach cywilizacyjnych, chcemy zauważyć, że nie zajmowaliśmy się analizą największego niebezpieczeństwa, jakim jest ludzka głupota, stopień jej jest bowiem trudny do oszacowania. Stąd katastrofy typu Czarnobyla zawsze będą się wydarzały. Nawet najlepsza technika nic nie pomoże. Natomiast pomóc może wychowanie społeczeństw w duchu rozumienia trudności wyborów oraz skutków, jakie wszelkie wybory niosą ze sobą.

Atomistyka nie jest niebezpieczniejsza niż inne rodzaje działalności ludzkiej prowadzące do wytworzenia energii elektrycznej. Tylko od obecnego pokolenia zależy, czy jako społeczeństwo dorośniemy do budowy elektrowni atomowych. Dotychczasowe doświadczenia z prac w Żarnowcu oraz dyskusje ekologiczne wskazywałyby raczej na kolejny słomiany ogień.

Wypowiadamy się tu jako zwolennicy energetyki jądrowej, ale nie jako zwolennicy bezkrytyczni. Zdajemy sobie sprawę z tego, że proponujemy zaangażowanie się naszego kraju w działalność wykraczającą poza wymiar jakichkolwiek operacji technologicznych przeprowadzanych kiedykolwiek w Polsce.

Technologie nuklearne wymagają bowiem innych metod zarządzania, kontroli i wreszcie zwyczajnej pracy niż cała nienuklearna sfera produkcyjna. W przemyśle jądrowym nie ma miejsca dla pana Józia [*2022 – Janusza biznesu*], który świetnie wie, że śruby nie można dociągnąć, bo trzaśnie uszczelka zrobiona z tektury, gdyż na pobliskiej budowie domków jednorodzinnych właśnie zabrakło uszczelek do kranów. Prosimy pamiętać, że elektrownia jądrowa to gigantyczna konstrukcja hydrauliczna.

Od dawna obserwujemy podejmowane przez kolejne ekipy administracji państwowej próby unowocześnienia naszej technologicznej rzeczywistości. Takim elementem unowocześniającym miał być przemysł samochodowy. Dobrze wiadomo, co z tego wynikło, chyba dlatego, że nie zadbano o wykształcenie twórczej kadry przemysłu samochodowego, a także o to, by w przemyśle tym działały normalne reguły i prawa.

Aby budowa przemysłu nuklearnego nie była powtórzeniem procesu motoryzowania Polski, powinniśmy już dziś zadbać o kształcenie kadry. Powinniśmy też zadbać o stworzenie sprawnego aparatu kontrolującego przemysł elektrowni jądrowych. Aparat taki, jak wykazała awaria w Czarnobylu, musi być na najwyższym poziomie naukowym, moralnym (aby mieć odwagę krytykować decydentów nie tylko najwyższych, gdy podejmować będą bezsensowne decyzje), no i być niezależnym od konstruktorów i użytkowników urządzeń jądrowych. Jest bowiem społecznie nie do przyjęcia, by ci sami ludzie budowali elektrownię w Żarnowcu, potem zaś podpisywali licencję na jej uruchamianie.

Jeżeli program budowy elektrowni jądrowych w Polsce ma być szansą na unowocześnienie naszej technologii, to już dziś powinniśmy zadbać o to, aby młodzi fizycy, inżynierowie, chemicy i biolodzy, a także lekarze wyjeżdżali do ośrodków jądrowych na całym świecie i kształcili się, kształcili i jeszcze raz kształcili! ●

***Dr Jan Jakub Tatarkiewicz** – adiunkt w Instytucie Fizyki PAN w Warszawie

****Prof. dr hab. Łukasz A. Turski** – pracuje w Zakładzie Fizyki Teoretycznej PAN w Warszawie, przewodniczący rady programowej Centrum Nauki Kopernik i jeden z jego pomysłodawców

Tekst ukazał się w 1987 r. w „Przeglądzie Tygodniowym" pod tytułem „Strachy na Lachy".

Czy dożyję polskiego atomu

Rok 1971: Budujemy elektrownię jądrową!
Rok 2022: Budujemy elektrownię jądrową!

Kilka tygodni temu przeglądałem album ze zdjęciami rodzinnymi. Jedna z fotografii podpisana była ręką mego nieżyjącego już ojca: „Ja z prof. Mauro Picone i rektorem Turskim, Pałac Staszyca, IX 1954, VIII Zjazd Matematyków Polskich". Tak się składa, że 33 lata później napisałem z Łukaszem Turskim, synem owego rektora, artykuł popularyzujący energetykę jądrową. Dzięki uprzejmości Jerzego Domańskiego, naczelnego „Przeglądu", który to tygodnik jest kontynuatorem „Przeglądu Tygodniowego", udało się pozyskać skany pożółkłych stron. Przepisałem tekst, którego wersja komputerowa dawno zaginęła w czasie licznych przeprowadzek i postanowiłem się nim podzielić, bo dziś nabrał nowej wymowy. Problem energii stał się obecnie dosłownie palący, nie tylko w Polsce, ale także w Niemczech.
Artykuł napisaliśmy w niecały rok po katastrofie w Czarnobylu w 1986 r., aby dać odpór pseudonaukowym głosom, które zdominowały dyskurs publiczny, i zachęcić społeczeństwo, a przede wszystkim władze, do budowania elektrowni jądrowych w Polsce. Prace nad pierwszą taką elektrownią zaczęły się już w sierpniu 1971 r. – czyli niemal zaraz po objęciu władzy przez Gierka – od rządowej decyzji ekipy. Dziesięć lat później kolejna ekipa (stanu wojennego) podjęła uchwałę o budowie elektrowni w Żarnowcu. Tempo zaiście imponujące! Po wyborach 1990 r., po licznych protestach i dyskusjach publicznych, także w TVP (żenujące spektakle, w których przedstawiciele górniczych związków zawodowych niszczyli zwolenników energetyki jądrowej – jeszcze nie palili opon i nie rzucali mutrami, ale już głośno krzyczeli), rząd Tadeusza Mazowieckiego 17 grudnia 1990 r. podjął decyzję o postawieniu Elektrowni Jądrowej Żarnowiec w budowie w stan likwidacji.
Przez następne kilkanaście lat tematu nie było, Polska węglem stała i stać miała na wieki. Katastrofa, bynajmniej nie jądrowa, w Fukushimie w marcu 2011 r. odnowiła zainteresowanie tematem. Choć opinia publiczna w głosowaniu telefonicznym uznała 2/3 głosów, że elektrownie jądrowe należy budować, dziś w Polsce ciągle nie ma ani jednej. Co prawda Zieloni nieco przycichli, bo wykończenie przemysłu energetyki jądrowej w Niemczech dziwnie pachnie sabotażem sponsorowanym wiadomo przez kogo.
Mam nadzieję, że lektura artykułu sprzed 35 lat sprowokuje dyskusję o tym, czego naprawdę Polacy boją się w roku 2022.

Jakub Tatarkiewicz

1 RP OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY 34174066

eprasa.pl 4fdfb41448

Zwierzęta idą na śmietnik

Czy można uratować cywilizację samobójców? Człowiek musiałby zmienić dietę

Pomianek*

PARTNER STRATEGICZNY:
POWERED BY SEBASTIAN KULCZYK
JUTRO NAUCI
SIĘGAJ ZA HORYZONT

Walka o uchronienie ludzkości od katastrofy klimatycznej skupia się przede wszystkim na ograniczeniu emisji gazów cieplarnianych w wytwarzaniu energii elektrycznej i cieplnej, ale wielu naukowców alarmuje, że szczególnie groźna jest dewastacja środowiska spowodowana przemysłową produkcją żywności. Szacuje się, że generuje to ok. 35 proc. emisji gazów cieplarnianych, głównie przez hodowców zwierząt. A jeśli zachowamy obecny model konsumpcji, to zapotrzebowanie na mięso może wzrosnąć aż o 80 proc. do 2030 roku, głównie w Chinach.

Świat konsumuje obecnie 267 mln ton mięsa rocznie, w tym 61 mln ton wołowiny, a jeszcze produkuje się 850 mln ton mleka. Liczba zwierząt hodowlanych sięga 60 mld sztuk, a ponieważ marnujemy 20 proc. mięsa, to rocznie 12 mld zwierząt wyrzucamy na śmietnik. W 2030 roku będziemy hodować ok. 108 mld zwierząt.

Szacuje się, że 70-75 proc. powierzchni gruntów rolnych na świecie jest wykorzystywanych do produkcji zwierzęcej i uprawy roślin na paszę. Warto tu dodać, że mięso dostarcza nam zaledwie 20 proc. zapotrzebowania na składniki odżywcze, a szczególnie dokuczliwa jest produkcja wołowiny i mleka.

Hodowla zwierząt powoduje także skażenie ziem i wód gruntowych, 20 proc. pastwisk to ziemie zdegradowane, a chów przemysłowy to także coraz większe zużycie antybiotyków, które przyspieszają przyrost masy mięsnej.

Rośliny zamiast zwierząt

Zatem, jeśli nie ograniczymy spożycia mięsa, to mamy katastrofę na horyzoncie, tym bardziej że pewne czynniki się nawzajem wzmacniają. Wycinka lasów tropikalnych pod pasze, oleje itp. silnie ogranicza absorpcję dwutlenku węgla przez drzewa. Przemysłowa produkcja żywności zabija różnorodność biologiczną.

Zdaniem ekspertów utrata bioróżnorodności to wymierne straty dla globalnej gospodarki. Do 2030 roku gospodarka może tracić nawet 2,7 bln dol. rocznie, jeśli nadal będziemy niszczyć bioróżnorodność. Być może przyroda sobie poradzi i znajdzie nowy stan równowagi, ale tam może już nie być miejsca dla człowieka.

Przejdźmy jednak do konstruktywnych propozycji. Sprawą pilną jest ograniczenie spożycia białka zwierzęcego na rzecz roślinnego. Owszem, przyswajalność roślinnego jest nieco niższa, ponadto nie zawiera pewnych składników ważnych dla ludzkich organizmów, ale mówię o ograniczeniu spożycia, nie likwidacji. Przecież na produkcję mięsa zużywamy 75 proc. powierzchni upraw rolnych, a w zamian mamy 20 proc. potrzebnych składników odżywczych. Ważne, że przy produkcji białka roślinnego zużywamy 10 razy mniej wody i wydzielamy zdecydowanie mniej gazów cieplarnianych. Co więcej, rośliny w różnym stopniu absorbują dwutlenek węgla. Wreszcie, żeby otrzymać kilogram białka zwierzęcego, to zwierzę musi skonsumować sześć kilogramów roślinnego. Przećwiczmy proponowane rozwiązanie na przykładzie Polski.

Redukujmy spożycie

Produkuje się u nas ok. 5,3 mln ton mięsa oraz importuje ok. 0,7 mln ton. Aktualnie konsumpcja na osobę rocznie wynosi 79 kg. Produkujemy prawie 15 mln ton mleka, z czego na eksport przeznaczamy ok. 2 mln ton.

Z kolei emisja gazów cieplarnianych wynosi ponad 400 mln ton na rok. Udział gazów cieplarnianych z tytułu całego cyklu produkcji żywności wynosi 35 proc., czyli w Polsce 140 mln ton. W rzeczywistości jest znacznie więcej, bowiem produkcja mięsa w naszym kraju jest siedem razy większa w stosunku do powierzchni pól uprawnych niż średnia światowa, a mleka sześć razy większa.

Na czym polega mój pomysł?

Jeśli WHO zaleca nam obniżenie konsumpcji mięsa do 25 kg na osobę w ciągu roku, a produkcja mięsa i mleka dewastuje środowisko, to należy ich produkcję ograniczyć do naszych potrzeb. Z przyczyn etycznych konieczne jest wyzerowanie także importu. Powyższe oznacza redukcję produkcji mięsa z 5,3 mln ton do 0,95 mln ton, a mleka o mniej więcej 15 proc. Jaki będzie bilans zmiany procesu gospodarczego na tak dużą skalę? Dodatnie saldo handlu zagranicznego mięsa i nabiału przekracza 5 mld euro rocznie, utrata miejsc pracy w stopniowo likwidowanych firmach produkujących żywność metodą przemysłową – ale skoro mamy deficyt rąk do pracy, to nie powinno być z tym problemu. Kolejne to utrata dochodów wielu przedsiębiorstw, ale będą dostępne fundusze unijne na restrukturyzację firm i zmiany profilu produkcji na mniej kontrowersyjny.

Za to zyski to spadek emisji gazów cieplarnianych o co najmniej 100 mln ton, a na prawach do emisji zarobimy 8,5 mld euro. Skoro do produkcji zwierzęcej wykorzystuje się 75 proc. powierzchni upraw rolnych, to odzyskujemy nie mniej niż 60 proc. pól uprawnych, czyli ponad 8 mln hektarów, jedną czwartą powierzchni kraju. Tak olbrzymi areał możemy przeznaczyć na produkcję białka roślinnego.

Więcej wody

Powyższe oznacza, że możemy mniej intensywnie eksploatować pola uprawne i stosować mniej nawozów i pestycydów. To z kolei pozwoli odzyskać rentowność małym i średnim gospodarstwom rolnym. Warto tu dodać, że produkcja wołowiny pochodzącej z organicznej hodowli (trawa zamiast skoncentrowanej karmy, wolność zamiast klatki) powoduje spadek o 40 proc. emisji gazów cieplarnianych i o 85 proc. mniejsze zużycie energii. Oznacza to także szansę na zdecydowaną poprawę jakości mięsa, nie tylko wołowego.

Przy produkcji kilograma wołowiny zużywamy 40 ton wody, a w przypadku pozostałych zwierząt hodowlanych średnio 20 ton. Dzięki temu zaoszczędzimy rocznie prawie 100 mld ton wody. Jeśli pokryjemy cały kraj tak zaoszczędzoną wodą, to grubość jej warstwy wyniesie 31 cm. To bardzo dużo, jeśli zważyć, że nasze zasoby słodkiej wody są 3 razy niższe na mieszkańca niż średnia w UE. Dodajmy, że przy produkcji białka roślinnego zużycie wody jest co najmniej 10 razy mniejsze.

Rozpoczyna się realizacja programu strategicznego UE Zielony Ład. Będzie on wspierał rozwój produkcji białka roślinnego kosztem zwierzęcego. Zakłada także ograniczenie do 2030 roku zużycia środków chemicznych o 50 proc., nawozów sztucznych o 20 proc., a antybiotyków u zwierząt o 50 proc. Tam też będą środki na realizację tego, co proponuję. Jest to szansa dla małych i średnich gospodarstw rolnych, a także wsi i małych miast. Mamy możliwość radykalnej zmiany tego, co wieszczą poirytowani naukowcy, że z pól i obór przemysłowych nadchodzi katastrofa.

Przyspieszyć Zielony Ład

W tym kontekście zdumiewa list byłych ministrów rolnictwa RP do przewodniczącej Komisji Europejskiej Ursuli von der Leyen, że światu grozi głód, a wojna w Ukrainie to ryzyko zwiększa i dlatego należy zamrozić na pewien czas europejski Zielony Ład. Przecież jeśli do wyprodukowania kilograma białka zwierzęcego potrzeba sześciu białka roślinnego, to należy przyśpieszyć realizację Ładu. A relacja 1 do 6 pokazuje drogę ochrony przed głodem i przy okazji ratuje klimat i środowisko.

Ale skoro świat zwiększa produkcję mięsa, pozostaje argument ekonomiczny.

Potraktowałem krowę jak elektrownię węglową. W obu przypadkach mamy do czynienia z emisją gazów cieplarnianych na dużą skalę. Wykup prawa do emisji dwutlenku węgla do produkcji kilograma wołowiny będzie kosztował 14 zł, czyli tylko z tego tytułu jej cena powinna wzrosnąć dwukrotnie. Wprowadzając proponowane rozwiązanie tylko dla produkcji wołowiny, pozyskujemy z praw do emisji dwutlenku węgla 1,75 mld euro rocznie. To spore źródło finansowania koniecznych zmian. Pozostałe koszty, które trzeba uwzględnić, są znacznie większe. Zmusza to do poważnej refleksji polityków i konsumentów.

Zdaję sobie sprawę, że tak daleko idące zmiany w procesie produkcji żywności i w modelu konsumpcji wymagają rekonstrukcji systemu gospodarczego i akcji edukacyjnej na wielką skalę. Naukowcy coraz głośnej alarmują, że mamy bardzo mało czasu. Zróbmy to zatem najszybciej, jak tylko się da, bo przecież wszyscy na tym wygrywają, zarówno konsumenci i producenci zdrowej żywności, jak i przyroda ożywiona. Stracą oczywiście producenci żywności przemysłowej, ale oni też mają sumienia. ●

FOT. SHUTTERSTOCK

Co roku wyrzucamy 12 mld zwierząt, bo nie potrafimy ich zjeść

***Tadeusz Pomianek**, ur. 1950 prezydent Wyższej Szkoły Informatyki i Zarządzania w Rzeszowie, absolwent Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie i Francuskiego Instytutu Zarządzania

eprasa.pl 4fdfb41448

SAŁATA ZE SMARTFONA

I ty zostaniesz odkrywcą – idź z telefonem do lasu, zrób zdjęcie

Stanisław Łubieński

FOT. SHUTTERSTOCK

1 RP

Od dobrych kilkunastu lat nie rozstajemy się ze smartfonem. Stał się naszą drugą prawą ręką, dołączył do kluczy i portfela, zestawu, bez którego nie ruszamy się z domu. Branżowy raport firmy data.ai mówi, że w 2021 roku ludzie spędzali w komórkowych aplikacjach już blisko pięć godzin dziennie, od 2019 ten czas wzrósł o jedną trzecią. Nie wdając się w oceny, skupmy się na kwestiach praktycznych. Telefon zamienił się w szwajcarski scyzoryk z tysiącem funkcji – pełni funkcję zegarka, gazety, komputera, karty płatniczej, mapy, konsoli do gier, kompasu i dziesiątki innych. Dla mnie najważniejsza funkcja smartfona to aparat fotograficzny.

Możliwość robienia zdjęć pozwala na korzystanie z masy pożytecznych aplikacji przyrodniczych. No cóż – mam braki, ostatecznie jestem tylko miłośnikiem natury, a nie prawdziwym biologiem. Zdarza mi się prowadzić wycieczki przyrodnicze i często nie mam pojęcia, na co właśnie patrzymy. Na przykład drobne żółte kwiaty na wysokiej roślinie o skórzastych, głęboko wciętych liściach z kolczastymi ząbkami gdzieś przy chodniku pod Pałacem Kultury. Wtedy ktoś wyciąga telefon – jedno, dwa zdjęcia i dostajemy odpowiedź. Aplikacja podpowiada, że może to być sałata kompasowa.

Większość aplikacji opiera się na porównaniu obrazu ze zdjęciami zgromadzonymi w jej bazie danych. Moi spacerowicze korzystają często z bezpłatnych Google Lens albo ze specjalistycznego PlantNetu, który współtworzyli botanicy i który zawiera obecnie blisko 15 milionów zdjęć. Aplikacja doskonali umiejętność rozpoznawania wraz z każdym kolejnym – obecnie pozwala na oznaczenie 37,5 tysiąca gatunków roślin. Do najczęściej rozpoznawanych nie należą oczywiście rzadkie storczyki, tylko to, co znajdziemy obok nas, w ogródkach – śliwa pospolita, róża żółta i papryka ozdobna.

Im więcej danych, tym lepiej. W trudniejszych przypadkach, kiedy kwiat jest mało charakterystyczny, mile widziane są dodatkowe szczegóły – zdjęcie liści, kory, owoców, całej rośliny. Aplikacja radzi sobie najlepiej, kiedy robimy zdjęcie z bliska, w dobrym świetle, bez zbędnych szczegółów, które utrudnią pracę algorytmom – fotografując kwiat na łące, musimy kadrować tak, by w kadrze nie znalazły się inne rośliny. PlantNet określa stopień prawdopodobieństwa swojego oznaczenia, nasza sałata kompasowa dostała 55 proc., a kolejna podpowiedź – sałata solna – już tylko 3 proc. Aplikacja lokalizuje obserwację i na oznaczenie wpływa również to, czy gatunek był tu wcześniej obserwowany. Sałatę kompasową spotkamy w wielu nasłonecznionych miejscach Warszawy.

Najczęściej używam Inaturalist (również darmowej), która podpowiada nie tylko rośliny, ale też grzyby, zwierzęta, a nawet organizmy widoczne pod mikroskopem. Oczywiście nie ze wszystkim idzie jej równie świetnie – ma problem z trawami, zdjęcie kłoska raczej nie wskaże jednoznacznie gatunku. Warto też pamiętać, że aplikacja czasem się myli. Nawet jej najwięksi entuzjaści odradzają poleganie na Inaturaliście przy rozpoznawaniu grzybów jadalnych. W bazie aplikacji zgromadzono tu już przeszło 113,8 miliona obserwacji z całego świata, na podstawie których rozpoznano 393 tysiące gatunków. Danych dostarcza aż 2,4 miliona ludzi, którzy mogą się komunikować, oglądać swoje obserwacje i sugerować zmiany albo potwierdzać oznaczenia. To, co odróżnia Inaturalist od innych aplikacji, to właśnie udział społeczności.

Na początku sierpnia drogę przecięła mi zaskakująco żwawa, tłusta, bezwłosa gąsienica z różowawym wierzchem, zakończona dziwacznym turkusowym rogiem. Aplikacja Inaturalist oznaczyła ostrożnie – „jesteśmy prawie pewni", że to ćma z rodzaju Mimas. Jaki więc to gatunek ćmy? Aplikacja na pierwszym miejscu sugerowała nastrosza lipowca. Przejrzałem zgromadzone w bazie zdjęcia jego gąsienic i faktycznie wyglądała podobnie. 20 minut później użytkownik mający na swoim koncie aż 335 tysięcy oznaczeń, specjalista od motyli i ciem ze Stanów Zjednoczonych, potwierdził, że to nastrosz.

Z Inaturalista korzystają również naukowcy. Kolega opowiadał mi, że znajomy profesor codziennie po kolacji, w ramach godzinki relaksu, oznacza gatunki, w których się specjalizuje – morskie skorupiaki. Nie chodzi wyłącznie o podpowiadanie amatorom takim jak ja. Inaturalist dzieli obserwacje na dwa szczeble – podstawowy (wymaga potwierdzenia) i badawczy, potwierdzony przez innych użytkowników, mający już wartość naukową. Taki status osiągnął sfotografowany przeze mnie w Lesie Kabackim pyszałek orion, piękna ćma, którą zielono-czarny wzór upodabnia do nadrzewnych porostów. Obserwacje z poziomu badawczego trafiają do bazy GBIF (Global Biodiversity Information Facility), międzynarodowej sieci zbierającej dane na temat bioróżnorodności. Sieć ułatwia przepływ informacji, które mogą zostać wykorzystane w pracach naukowych. GBIF traktowany jest również jako miejsce, gdzie można zdeponować wartościowe dane. W kwietniu do sieci przystąpiła Ukraina, która od tego czasu wprowadziła do niej tysiące rekordów.

W Polsce od 2003 roku przekazywaniem danych do GBIF zajmuje się Krajowa Sieć Informacji o Bioróżnorodności. Każdy rekord wymaga weryfikacji przez pracowników naukowych i jest to praca bardzo żmudna. Wiele danych na całe lata, czasem dekady, grzęźnie w szufladach instytutów badawczych. Niektóre z nich nigdy nie ujrzą światła dziennego. Dlatego wielką zmianę przyniosło połączenie sił z Inaturalistem w 2019 roku. Dr Julia Pawłowska z Uniwersytetu Warszawskiego wspomina, że 10 proc. informacji o występowaniu grzybów w Polsce pojawiło się właśnie po 2019 roku, kiedy aplikację zaczęto promować wśród amatorów mykologii. Napłynęła masa świeżych informacji, często pochodzących z miejsc, które niekoniecznie są obszarem zainteresowania fachowców. Taki zastrzyk informacji pozwala na przykład na bieżąco śledzić ekspansję nowych gatunków – dzięki temu możemy prognozować, jak będzie się rozprzestrzeniał złotak wysmukły, amerykański borowik, który zaczął wyrastać w naszych lasach sosnowych.

Dane z Inaturalista mogą również pomóc w ocenie, które organizmy stają się rzadsze, a które pospolitsze, między innymi na ich podstawie układa się listy Międzynarodowej Unii Ochrony przyrody, które oceniają stopień zagrożenia dla gatunku. Myślę, że stare atlasy są niezagrożone (ciągle warto je czytać, by pogłębiać wiedzę), ale przyszłość należy do rozwiązań takich jak Inaturalist. Żeby chronić przyrodę w czasach katastrofy klimatycznej, potrzeba nowych, precyzyjnych narzędzi, szybkiego przepływu informacji, ale też i szerokiego udziału społeczeństwa. Im więcej jest poszukiwaczy przyrody, którzy podzielą się obserwacjami, tym większa szansa, że nie przegapimy ważnych zmian i będziemy mogli na nie zareagować.

eprasa.pl 4fdfb41448

Adam Michnik poleca

NIEPOTRZEBNA WOJNA

PRZECIW INNYM BIAŁYM LUDZIOM

„Gdy twoja babka zostanie zgwałcona, wrzuć to na pierwszą stronę”. Skąd się wzięły prawicowe tabloidy.

Katarzyna Wężyk

Magnetyczny przywódca, który „dał Niemcom nową duszę”. Zapewnił narodowi, do niedawna lekceważonemu, miejsce w pierwszym szeregu mocarstw. „Uratował swój kraj przed nieudolnym przywództwem wahających się, umiarkowanych polityków”, a teraz jego „silny, zdroworozsądkowy rząd” broni Europy przed bolszewizmem. Jego wizja jest odważna, a metody męskie, nawet jeśli sam ma delikatną duszę, która kocha dzieci i psy. Jest nie tylko dotrzymującym słowa dżentelmenem, ale wręcz „niemieckim Jerzym Waszyngtonem”. Faszyzm zaś to „triumf młodości”.

Prześladowania Żydów? Plotki i pomówienia. Poza tym Żydzi sami sobie winni, w końcu „brak taktu zawsze był jedną z głównych wad dzieci Izraela”. Noc kryształowa? Spontaniczne zamieszki. Anszlus Austrii? Cały kraj witał nazistów okrzykami „Heil Hitler!”. Monachium? „Śpijcie spokojnie, to jest pokój dla naszych czasów”.

Tak w latach 30. o Hitlerze i III Rzeszy pisały media nie np. faszystowskich Włoch, ale dwóch ostoi demokracji w międzywojniu: Wielkiej Brytanii i USA. Ich właściciele – lord Beaverbrook i jego „Daily Express”, lord Rothermere i „Daily Mail”, Robert McCormick i „Chicago Tribune”, Joseph Medill Patterson i „New York Daily News”, „Cissy”, Patterson i „Washington Times-Herald”, wreszcie William Randolph Hearst i jego 28 gazet – przez prawie dekadę przekonywali czytelników, że faszyzm jest niegroźny.

Wybielające III Rzeszę artykuły docierały do 16 mln Brytyjczyków i 50 mln Amerykanów. „Ich ksenofobiczne, nacjonalistyczne, imperialistyczne i antysemickie poglądy – pisze Kathryn S. Olmsted w książce „The Newspaper Axis. Six Press Barons Who Enabled Hitler” („Oś gazet. Sześcioro prasowych baronów, którzy wspierali Hitlera”) – utrudniły antyfaszystom wcześniejsze przeciwstawienie się nazistom”.

Czwórka amerykańskich prasowych magnatów nie przestała krytykować zaangażowania kraju w wojnę nawet po japońskim ataku na Pearl Harbor. Oczywiście w imię patriotyzmu – Hearst używał hasła „America First” długo przed Reaganem czy Trumpem – i obrony kraju przed dyktaturą.

• **Magnat prasowy William Hearst widział Hitlera i Mussoliniego jako ludzi własnego pokroju: silnych, męskich i charyzmatycznych populistów** FOT. DOMENA PUBLICZNA

Wszyscy prasowi baronowie ideę dziennikarskiego obiektywizmu uważali za mocno przereklamowaną. Swoje gazety traktowali jako środek do celu: uzyskania wpływów, przeforsowania własnych pomysłów i niedopuszczenia do realizacji tych, z którymi się nie zgadzali. Beaverbrook mówił wprost: Wydaję moje gazety tylko po to, by robić propagandę.

Oś gazet tworzyło dwóch brytyjskich self-made manów i czworo amerykańskich dziedziców. Pięciu mężczyzn i jedna kobieta. Nie wszyscy byli zakochani w Hitlerze, choć zdarzało im się pisać bałwochwalcze listy do „drogiego Führera”. W polityce III Rzeszy podobał im się porządek, antykomunizm i tzw. rasowa czystość, ale przede wszystkim uważali, że ich kraje powinny trzymać się z dala od „europejskich awantur”. A konflikt z Niemcami zagrażał imperialnej potędze ich ojczyzn.

Najstarszy, William Randolph Hearst (1863-1951), w początkach kariery raczej wysyłał ojczyznę na wojny, niż promował izolacjonizm. Według legendy jego posłany na Kubę reporter w 1897 r. donosił, że na wyspie panuje spokój i nie ma o czym pisać. „Zostań. Ty dostarczysz zdjęcia, ja dostarczę wojnę” – odpisał szef. No i wojna hiszpańsko-amerykańska, do której gazety Hearsta wzywały, wybuchła niedługo później.

Swoją wydawniczą filozofię pierwowzór „Obywatela Kane'a” referował krótko: „Patrzysz na pierwszą stronę i mówisz: O RANY, na drugą i dodajesz: NO PROSZĘ, na trzecią i mówisz: SŁODKI JEZU”. Dzięki tej prostej zasadzie w latach 30. syn senatora zarządzał medialnym imperium docierającym do 30 mln czytelników. I, jak pisze Ol-

eprasa.pl 4fdfb41448

msted, użył swojej kontroli nad informacją do dostarczenia im „skrzywionej wersji rzeczywistości – alternatywnego świata, w którym zwolennicy Nowego Ładu byli komunistami", o prezydencie mówił per Stalin Delano Roosevelt, a „włoscy faszyści byli godni podziwu, naziści zaś byli tylko trochę antysemiccy".

Hearst – skutecznie – lobbował za ustawą o neutralności, która zabraniała sprzedaży broni stronom konfliktu. Stany, uważał, powinny zwrócić się na południe i na zachód, czyli podporządkować Amerykę Południową i walczyć z „żółtym niebezpieczeństwem" z Azji. Jako że Azjaci są „rasowymi wrogami białych ludzi", biała rasa musi przestać ze sobą walczyć i zjednoczyć się dla dobra cywilizacji.

Hitlera i Mussoliniego postrzegał jako ludzi własnego pokroju: silnych, męskich i charyzmatycznych populistów, którzy ogniem i żelazem wypalają bolszewizm. I udostępnił łamy niemieckiej propagandzie, w tym tekstom Hitlera czy Göringa. Z Führerem spotkał się osobiście, a potem rozpływał się nad jego „charakterem i odwagą" oraz „nadzieją i pewnością siebie". Profaszystowską retorykę gazet Hearsta ostudził nie tyle wybuch wojny, ile finansowe kłopoty właściciela, który pod koniec lat 30. musiał sprzedać sporą część imperium.

Lord Rothermere (1868-1940) urodził się jako Harold Harmsworth w rodzinie z klasy średniej. Starszy brat, Alfred, rzucił szkołę, zatrudnił się w gazecie, a dekadę później założył własną. Harold nie był tak utalentowanym dziennikarzem, ale dużo lepszym menedżerem, i razem zrobili z „Daily Mail" najpopularniejszy brytyjski dziennik, pierwszy tylko dla mas.

Zmienili cały model biznesowy: obniżyli cenę, tak by na egzemplarz stać było robotnika. Pozbyli się długich, przeintelektualizowanych artykułów – i ich autorów – postawili na proste zdania, sensacyjne tytuły i patriotyzm rozumiany jako czarno-biały podział na dobre imperium i jego złych oponentów.

Rothermere odziedziczył „Daily Mail" i „Daily Mirror" po śmierci brata w 1922 r., i jeszcze bardziej przesunął je w prawo. Gazet używał do prywatnych krucjat, zarówno ekonomicznych – wspierały, oczywiście w interesie prostego człowieka, cięcia podatków i wydatków – jak i politycznych. A także do promowania faszystów, tych z Europy kontynentalnej i tych rodzimych, bo tylko oni, uważał, są w stanie obronić Europę przed komunizmem.

Bolszewizmu – rozumianego jako każda opcja na lewo od ultrakonserwatyzmu – nienawidził jak zarazy. To lewicowe idee, uważał, niszczą zdrowe brytyjskie społeczeństwo, sprawiają, że mężczyźni stają się zniewieściali – przeciwników nazywał „starymi babami" – a imperium chyli się ku upadkowi. Tylko powrót do militaryzmu, ścisłej hierarchii i tradycyjnych wartości może Brytanię uczynić znów Wielką. No i przyjaźń z III Rzeszą. „W ich interesie, naszym, całego cywilizowanego świata jest bliska i przyjazna współpraca między nami".

Rothermere i jego gazety otwarcie – tak otwarcie, że co tydzień płaciły autorowi najlepszego listu pt. „Dlaczego lubię czarne koszule" – wspierały brytyjskich faszystów Oswalda Mosleya. Dopiero reakcja reklamodawców zmusiła lorda do przykręcenia propagandowego kurka.

W 1938 r. Rothermere oddał kontrolę nad gazetą synowi, a ostatnie dwa lata życia spędził w strachu, że jego obfita i czołobitna korespondencja z Hitlerem zostanie ujawniona.

Droga lorda Beaverbrooka (1879-1964) do tytułu była jeszcze dłuższa. Urodził się jako Max Aitken w Kanadzie. Już jako młody chłopak obiecał sobie, że nigdy nie będzie tak biedny jak jego ojciec. Do Londynu przyjechał po trzydziestce, już z majątkiem zbitym w przemyśle cementowym i z zarzutami o defraudację na koncie.

Pieniędzy i uroku wystarczyło mu do zdobycia miejsca w Izbie Gmin. Szybko jednak uznał, że politykę woli prowadzić z tylnego siedzenia, i kupił podupadający „Daily Express". Po kilku latach dziennik przebił w sprzedaży „Daily Mail", tyleż dzięki wykorzystaniu jego populistycznej formuły, co większemu rozdawnictwu gratisów, od ubezpieczeń po otwieracze do puszek. W „Daily Express" podczas politycznie chudych lat 30. dorabiał Churchill, ale w 1938 r. wydawca wyrzucił go za bezpodstawne sianie paniki i podżeganie do wojny.

Beaverbrook był gorącym zwolennikiem imperium – biały człowiek, uważał, ma naturalne prawo do dominowania nad „niższymi" rasami – oraz wspaniałej izolacji.

To przekonanie, że Londyn nie powinien się angażować w kontynentalne awantury, a nie romans z faszyzmem, stało za nawoływaniem jego gazety, by ustępować dyktatorom.

Kiedy w 1935 r. Mussolini zaatakował Etiopię, Beaverbrook przekonywał, że nie należy interweniować, tylko bronić własnych kolonii, bo inaczej ich niebiali mieszkańcy „wpadną w ręce złych ludzi". Kiedy rok później Hitler zajął Zagłębie Ruhry, nagłówek w „Daily Express" krzyczał: „Pytanie brzmi: CZY WIELKA BRYTANIA ZAANGAŻUJE SIĘ W WOJNĘ? Odpowiedź brzmi: NIE". Po anszlusie Austrii gazeta dalej młotkowała, że najlepszym kursem dla kraju jest „pilnowanie własnego nosa". Po Monachium, gdzie Wielka Brytania zgodziła się na aneksję części Czechosłowacji, a premier Chamberlain deklarował, że przywozi „pokój z honorem", zapewniała, że szef rządu ma rację. Jeszcze w sierpniu 1939 r. „DE" pisał, że żadnej wojny nie będzie.

Gdy Herr Hitler obrócił te przewidywania w perzynę, Beaverbrook został zmuszony do radykalnej zmiany frontu. Przyjął propozycję swojego dawnego felietonisty Churchilla, został ministrem w jego rządzie i zaprzągł swoją niespożytą energię do zwiększenia produkcji samolotów bojowych.

Za oceanem izolacjonizm i kult „zdrowej" męskości – agresji, siły, dominacji – wyznawał Robert McCormick (1880-1955). Politycznych przeciwników wyzywał od „histerycznych kastratów" i rozpływał się nad tym, jak to wojny – właściwe wojny – dają żołnierzom szansę „gloryfikowania własnej męskości".

Jego dziadek, Joseph Medill, podłożył podwaliny pod prasowe imperium, kupując „Chicago Tribune" i robiąc z niej nieoficjalny organ partii republikańskiej. Jego majątek – i zawód – odziedziczyła trójka wnucząt: Robert, Joe i „Cissy" Patterson.

Robert był zapiekłym wrogiem Nowego Ładu, polował na komunistów, zanim to było modne, używał słowa „internacjonalista", gdy pisał o Żydach, i zwalczał związki zawodowe. No i nikt nie mógł mu zarzucić przesadnego przywiązania do faktów. „Zastanawiam się, czy ta szmata kiedykolwiek drukuje słowo prawdy, może poza wynikami baseballa" – tak jeden z krytyków podsumował przekaz „Chicago Tribune".

McCormick, w przeciwieństwie do Hearsta i Rothermere'a, nie był jednak fanem Hitlera, tylko, jak sam mówił, amerykańskim nacjonalistą (czytaj: białym antysemickim supremacjonistą). Wierzył w hierarchię – rasową, klasową i płciową – i nie życzył sobie, żeby jacyś amerykańscy internacjonaliści w obronie gnębionych niemieckich internacjonalistów wciągali jego kraj w niepotrzebne wojny. Dlatego ci, którzy nawoływali do przeciwstawienia się III Rzeszy, uważał, byli dla Ameryki większym zagrożeniem niż faszyści.

Na tle swojego kuzyna Joe Medill Patterson (1879-1946) był wręcz lewakiem. Jeździł metrem, ubierał się jak zwykły Joe – a raczej tak, jak zbuntowani synowie wielkich pieniędzy wyobrażają sobie przedstawicieli klasy niższej – i całym sercem popierał Nowy Ład. Jego „New York Daily News" (gazeta o największym nakładzie w historii amerykańskiej prasy) miały być dziennikiem dla ciężko pracujących i lubiących proste rozrywki białych Amerykanów.

Jak to ujął jeden z jego redaktorów, czytelników najbardziej interesuje, w tej kolejności: miłość lub seks, pieniądze i morderstwo, a najlepiej wszystkie trzy razem wzięte, i „Daily News" im to dostarczał. Jak mawiała „Cissy", mottem rodziny Medillów było: „Gdy twoja babka zostanie zgwałcona, wrzuć to na jedynkę".

Nad wejściem do budynku gazety wisiał cytat z Abrahama Lincolna: „Bóg musiał kochać zwykłych ludzi, tylu ich zrobił". Patterson, owszem, wierzył w demokrację, a nawet socjaldemokrację, ale wśród narodów cywilizowanych – czytaj: mówiących po angielsku – reszta niech się wyrzyna wzajemnie, jeśli ma taką fantazję. „Jeśli ci głupcy na kontynencie chcą się zniszczyć", nie jest to powód, by Brytyjczycy czy Amerykanie podążali ich śladem.

Jako jeden z nielicznych wydawców Patterson wspierał propracownicze reformy Roosevelta, nawet jeśli uderzały w jego interesy. „Daily News" zaczął zaciekle krytykować prezydenta dopiero w latach 40., gdy właściciel uznał, że FDR wciąga kraj w niepotrzebną wojnę.

Eleonor „Cissy" Medill Patterson (1881-1948) nie miała sprecyzowanych poglądów politycznych. Zasadniczo interesowała ją głównie ona sama. W młodości była waszyngtońską celebrytką, znaną tyleż z urody, co bulwersujących prasę wyskoków. Wyszła za mąż za polskiego hrabiego Józefa Giżyckiego, głównie po to, by małżeństwem z arystokratą przyćmić przyjaciółkę-rywalkę Alice Roosevelt, córkę prezydenta Theodore'a Roosevelta. Hrabia wywiózł „Cissy" na zapadłą ukraińską wieś, pił, bił i zdradzał, a gdy po paru latach uciekła, porwał ich córkę i oddał dopiero po wypłaceniu królewskiego okupu. „Cissy" wróciła do Waszyngtonu, gdzie zasłynęła z przyjęć, powieści z kluczem o życiu własnym i znajomych oraz garderoby.

Drugi raz wyszła za bogatego prawnika Elmera Schlesingera, głównie po to, by wkurzyć swoją antysemicką rodzinę; żarli się tak często, że po czterech latach zmarł na atak serca. „Problem ze mną jest taki, że jestem starą, mściwą, irlandzką suką", mawiała.

Po śmierci męża spróbowała kupić od Hearsta niezbyt zyskowny „Washington Herald", ale ten zaproponował jej funkcję naczelnej. „Cissy", która wcześniej nie przepracowała ani dnia na dowolnym szczeblu służbowej hierarchii, propozycję przyjęła i w wieku 48 lat została, jak się przedstawiała, dziennikarzem (newspaperman).

Redakcji – samym mężczyznom – na wejście powiedziała: „Pewnie myślicie, że to jakiś żart. Nawet jeśli, spróbujmy się dogadać. A, i nie musicie przy mnie nosić marynarek". Dziennikarstwo było wtedy raczej męskim zawodem i szefowa też musiała udowodnić, że jest „jednym z chłopaków". Nie miała z tym problemu: klęła jak szewc, w barku przy biurku zawsze miała napoczętą szkocką i nie bała się zwalniać. „Nie da rady być jednocześnie dobrym reporterem i damą. Ja tam wolę być reporterem".

Nieoczekiwanie „Cissy" odniosła sukces. Połączenie sensacyjnych artykułów z kobiecymi tematami – zatrudniała dziennikarki, o ile nie były damami – oraz załatwianiem na łamach prywatnych waśni okazało się magnesem dla stołecznych czytelników i czytelniczek. Podobały im się też wezwania do pilnowania własnego nosa i ignorowania europejskich awantur.

Gdy niemieckie czołgi przekraczały polską granicę, a Londyn i Paryż wypowiedziały wojnę III Rzeszy, Hearst i kuzynostwo nie zmieniło zdania co do zaangażowania USA w europejskie konflikty. Jak lwy – i lwica – walczyli o neutralność kraju, krytykując w swoich gazetach wszelkie inicjatywy zmierzające do dozbrojenia Wielkiej Brytanii. Nawet Pearl Harbor nie skłoniło ich do zawieszenia broni z administracją Roosevelta.

Nad wejściem do budynku „New York Daily News" wisiał cytat z Abrahama Lincolna: „Bóg musiał kochać zwykłych ludzi, tylu ich zrobił"

Prezydent, pisali, wykorzystuje wojnę, by zostać dyktatorem, a potem przekazać władzę synowi. „Pan Roosevelt jest zniewieściałym Hitlerem", ogłosiła „Chicago Tribune". Gazety Hearsta przewidywały śmierć demokracji w Ameryce, „a na dymiących ruinach naszego systemu politycznego i społecznego wyrośnie ladacznica Komunizmu". „Daily News" – koniec dominacji białej rasy i triumf żółtej. Według izolacjonistów FDR wiedział też wcześniej o planowanym japońskim ataku i nic nie zrobił, żeby mieć pretekst do wysłania amerykańskich chłopców na front.

Przez całą wojnę ich czytelnicy dowiadywali się, że „Ameryka toczy niepotrzebną wojnę przeciw innym białym ludziom i że ich prezydent jest niekompetentnym wojennym przywódcą. Gazety Hearsta, McCormicka i Pattersonów tak usilnie starały się osłabić rząd, że niektórzy z ich krytyków zastanawiali się, po czyjej są stronie", pisze Olmsted. Oni oczywiście uważali, że po stronie ojczyzny.

To samo mówili ich angielscy odpowiednicy niemal do momentu, gdy bomby spadły na Londyn. I to samo deklarują dziś brytyjskie tabloidy i amerykańskie ultraprawicowe media, których repertuar od lat 30. wiele się nie zmienił. Wciąż promują izolacjonizm – czy to w postaci „America First", czy brexitu – nacjonalizm, nieco bardziej zaowalowaną obronę „białej rasy", niechęć do imigrantów i teorie spiskowe.

W mediach lewicowych z kolei rośnie liczba osób podpisujących się jako „dziennikarze aktywiści".

Obiektywizm w mediach, uważają, to hipokryzja, bo nie da się całkowicie usunąć swoich poglądów z własnych artykułów. A nawet nie powinno, zwłaszcza w kwestiach praw człowieka. Zaangażowane dziennikarstwo to dla nich chęć doprowadzenia do zmiany społecznej.

Książka Olmsted to dobry argument na rzecz dziennikarskiej neutralności. Bo przedwojenni prasowi baronowie, którzy swoje gazety uznawali za broń w walce o zmianę społeczną – a jeśli na jej ołtarzu należało poświęcić fakty, to tym gorzej dla faktów – też przecież uważali, że realizują słuszne cele. ●

eprasa.pl 4fdfb41448

CO MNIE URZEKŁO

Tam, gdzie stał Canaletto

W podstawówce zachwyciłem się „malarzem Warszawy”. Do dziś mi nie przeszło

MIROSŁAW MACIOROWSKI

Był rok 2013. Od jakiegoś czasu ja, wrocławianin, pomieszkiwałem w Warszawie. Czasem zostawałem na weekend i trzeba było coś zrobić z wolnym czasem.

– Chyba oszalałeś?! – pamiętam minę kolegi, gdy powiedziałem mu, co będę robił w sobotę: poszukam nad Wisłą miejsca, w którym stał Canaletto, malując słynną panoramę „Widok Warszawy od strony Pragi”. – Muszę porównać współczesność z przeszłością – wyjaśniłem. A on patrzył dziwnie.

Obrazy Bernarda Bellotta zwanego Canalettem (1721-80) to moje dziecięce urzeczenie. Dzięki nim zainteresowałem się malarstwem wedutowym, przedstawiającym krajobraz miejski. Pierwszy raz „Widok...” zobaczyłem w jakimś podręczniku i natychmiast pognałem do biblioteki oglądać albumy, w których reprodukcje obrazów Canaletta będą większe. Studiowałem je kilka godzin.

Weduty Canaletta to źródła historyczne, nieomal fotografie z XVIII wieku, kopalnia wiedzy dla historyka sztuki, architektury, urbanistyki, ogrodnictwa, gospodarki czy kostiumologa. Canaletto wiernie utrwalał ulice i mieszkańców. Jego obrazy posłużyły po wojnie do odbudowy miasta. Dzisiejsza Warszawa (a ściślej – jej historyczne centrum), jak twierdzą historycy, to w dużej mierze Warszawa Canaletta.

Przyjechał do Warszawy w 1767 r. i nie planował zostać. Chciał jedynie, by król Stanisław August wystawił mu listy polecające do cesarzowej Rosji Katarzyny II. Zmierzał do Petersburga, który stał się przystanią dla wielu zachodnich artystów.

Canaletto był już znany, miał na koncie dziesiątki obrazów. We Włoszech malował rodzinną Wenecję, potem Florencję, Lukkę i Rzym. Od 1747 r. pracował w Dreźnie na dworze elektora saskiego i króla Polski Augusta III. W 1758 r. z powodu wojny siedmioletniej przeniósł się do Wiednia. Potem krótko pracował w Monachium, by w 1762 r. wrócić do Drezna. Ale gdy zmarł August III, malarz postanowił jechać do Petersburga.

Król Polski nakłonił go jednak do pozostania w Warszawie. Canaletto malował ją przez 13 lat. Do Rosji nigdy nie dotarł.

Widok...” powstał w 1770 r. Na dole płótna (260 x 167 cm) widać pracującego artystę, którego odwiedził król. Nieopodal stoi karoca i straż przyboczna – kilku konnych i oddział pieszych. Rozmawiają. Ramę obrazu jakby podtrzymuje dwóch młodzieńców. Historycy domyślali się, że to syn i zięć artysty.

Gdy w 2013 r. z reprodukcją „Widoku...” pojechałem rowerem na praski brzeg Wisły, inspirowałem się tym, co widać na płótnie, ale nie tylko. Historycy już dawno ustalili, że Canaletto, malując obraz, był około 500 metrów na północ od mostu Śląsko-Dąbrowskiego. Czyli mniej więcej tam, gdzie dziś jest Praska Plaża Miejska. Chodząc po niej wte i wewte, próbowałem uchwycić perspektywę z obrazu. Nie do końca to możliwe, ponieważ Canaletto na pewno nie pracował nad samym brzegiem, lecz w pewnym oddaleniu. Trzeba więc odejść od Wisły i stanąć na ulicy, przy ogrodzeniu warszawskiego zoo. Tyle że drugiego brzegu stamtąd nie widać, bo zasłaniają go drzewa.

Wracając nad brzeg, można jednak łatwo porównać przeszłość z teraźniejszością, a przecież o to chodziło.

Z lewej strony obrazu, na praskim brzegu, widać drewnianą zabudowę wsi Golędzinów, a nad nią kościół bernardynów. Nie przetrwał, dziś stoi tam kaplica Matki Boskiej Loretańskiej. Natomiast w miejscu chat Golędzinowa jest zoo.

Na środku rzeki wyspa – to Kępa Polkowska, która zanikła w XIX w. Stojące na niej budynki służyły jako izolatorium dla zakażonych „morowym powietrzem”.

Na wysokiej skarpie po drugiej stronie rzeki widać w zasadzie całą ówczesną Warszawę. Patrząc od lewej, widzimy w oddali wilanowskie łąki. Potem, w sporym oddaleniu od zwartej zabudowy miasta, stoi Zamek Ujazdowski. Następnie zaczyna się Krakowskie Przedmieście. Widać pałac na Dynasach (spłonął w 1777 r.) i Zamek Ostrogskich, dziś Instytut Chopina, dalej Pałac Kazimierzowski (dziś Uniwersytet Warszawski) i kościoły: Karmelitów, Wizytek oraz św. Krzyża. Potem pałac Radziwiłłów (dziś prezydencki) i Kazanowskich (nieodbudowany), w końcu kościół św. Anny.

Poniżej, blisko Wisły, widnieje fasada pałacu Pod Blachą, który przylega do Zamku Królewskiego, wyglądającego dziś inaczej. Wprawdzie też ma wieżę zegarową, ale również wieżyczki na rogach, których w zrekonstruowanym w latach 70. zabytku nie ma. Nie ma też nad brzegiem Wisły tzw. Oficyny Tarasowej. Tę długaśną budowlę podmywała rzeka, więc została rozebrana. W XIX w. jej miejsce zajęły istniejące do dziś Arkady Kubickiego, znacznie oddalone od Wisły.

Na prawo od zamku widać dach kolegiaty, która dziś jest katedrą św. Jana. Potem kościoły jezuitów, a już na Nowym Mieście – paulinów, dominikanów i sakramentek. Nowe Miasto opada tu ku rzece do dzielnicy Rybaki, gdzie dziś cieszą oczy kolorowe fontanny.

Obraz po prawej stronie zamyka fasada pałacu Sapiehów. Nie przetrwał wojny, ale został zrekonstruowany w latach 50.

Różnica między „Widokiem...” a współczesną panoramą tkwi oczywiście również w tym, że my musimy patrzeć na wieżowce „warszawskiego Manhattanu” i Pałac Kultury i Nauki.

1 RP

eprasa.pl 4fdfb41448

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Porównując panoramę Canaletta z dzisiejszą, dojdziemy do wniosku, że ani w XVIII w., ani współcześnie nie dałoby się z domniemanego miejsca, w którym stał artysta, zobaczyć tyle obiektów, ile jest na obrazie. Przestrzeń od kościoła bernardynów na Pradze (lewy skraj płótna) do pałacu Sapiehów na Nowym Mieście (prawy) tworzy kąt mocno rozwarty, nieomal 180 stopni. Ludzki wzrok tyle nie obejmie. Jak więc malarz to osiągnął?

Dowiedziałem się tego dzięki prof. Rainerowi Grohowi, informatykowi z Uniwersytetu Technicznego w Dreźnie, który badał weduty Canaletta i opisał jego technikę. Artysta wykorzystywał camerę obscurę, czyli przodka aparatu fotograficznego.

Sześcienne pudło poczernione wewnątrz ma na jednej ściance niewielki otwór (obiektyw), a na drugiej matową szybkę lub kalkę (ekran). Wpadające przez otwór światło odwzorowuje na ekranie odwrócony obraz obiektu. Canaletto ustawiał camerę np. w kierunku kościoła bernardynów, łapał fragmencik na ekranie i robił szkic. Następnie minimalnie obracał camerę i szkicował kolejne ujęcie. I dopiero z tego mnóstwa rysunków składał panoramę.

Jeśli więc król rzeczywiście odwiedził artystę podczas pracy, to nie zastał go przed płótnem i z pędzlem, ale raczej z pudłem i ołówkiem.

Gdy po weekendzie kolega zapytał, czy poszukiwania uwieńczyłem sukcesem, potwierdziłem z kamienną twarzą. A kiedy zapowiedziałem, że planuję również znaleźć miejsca, gdzie stał Canaletto, malując inne weduty (stworzył ich w sumie w Warszawie 25), w jego spojrzeniu dostrzegłem troskę.

Do dziś nie wiem, o co mu chodziło. ●

1 RP

Czy patrioci polubią czarnego ordynansa?

„Nie musisz się kajać. Twój rodak, generał Kościuszko, zawsze był przeciwko niewolnictwu" – chciałbym, by tak wyglądała prawda o Polakach

Paweł Smoleński

Uprzedzono nas, że spotkanie z takim człowiekiem to zaszczyt. Był profesorem kilku amerykańskich uczelni, jako młody człowiek działał w ruchu praw człowieka u boku Martina Luthera Kinga, doradzał Jessemu Jacksonowi, czarnoskóremu senatorowi i kandydatowi na prezydenta USA. Charyzmatyczny mówca, jego wykład był znakomitą analizą skutków politycznych i psychosocjologicznych reperkusji niewolnictwa. Kiedy więc poprosił, by wyznać dyskryminacyjne grzechy własnych narodów, nikt na sali nie chciał być bez grzechu.

O wyznaniach młodych Niemców z Zachodu nawet nie ma co mówić. Gdy mówiła Węgierka, czuło się krzywdę Romów. Katalończycy sądzili, że nie mają za co przepraszać, ale profesor wyciągnął im grzechy republikańskiej Hiszpanii wobec tych, których uznała za wrogów.

Kiedy przyszła moja kolej, zacząłem mówić o kolonizacji Kresów i macoszej roli II RP wobec mniejszości narodowych. Lecz nie dane mi było skończyć, bo profesor przerwał.

– Nie musisz się za nic kajać. Twój rodak, generał Tadeusz Kościuszko (bardzo starał się poprawnie wymówić nazwisko), zawsze był przeciwko niewolnictwu – powiedział.

Pomyślałem, że amerykańskie profesorskie dyplomy niekoniecznie są przepustką do wiedzy o Europie Wschodniej, ale zrobiło mi się przyjemnie.

Kilka lat później wjeżdżałem do USA przez lotnisko w Detroit. Afroamerykanin kontrolujący paszporty był w paskudnym humorze. Kogoś rugnął, do nikogo się nie uśmiechał. Podałem mu paszport i rozjaśnił się: – Tam u was czcicie Czarną Madonnę. No i generał Kościuszko był zawsze razem z czarnymi.

Jakbym chciał, by tak wyglądała prawda o Polakach.

ORDYNANS I GENERAŁ

Na amerykańskiej ziemi podczas wojny o niepodległość Stanów Zjednoczonych spotkało się dwóch niezwykłych ludzi. Każdy z nich był outsiderem. Pierwszy to Agrippa Hull, syn – jak pisze Cezary Harasimowicz w powieści „Testament" – afrykańskiego księcia, „wolny czarnuch". Mimo wojennych zasług dla USA oraz znajomości, które poczynił na frontach, to kolor skóry był wyznacznikiem jego pozycji.

Drugi to kapitan Tadeusz Kościuszko, który dosłuży się kilku pomników, Polak, choć raczej spolszczony szlachetka białoruski, sponiewierany nieszczęśliwą miłością do bogatej panny. Obaj, choć w podległości służbowej – ordynans i generał – się zaprzyjaźnili. Podstawą sympatii były wspólne marzenia i jak najbardziej serio wyrażany podziw dla idei wolności, równości i braterstwa.

Kościuszko zostanie być może napiętnowany przez czarnkowy resort edukacji jako ruski kolaborant (po przegranym powstaniu podpisał cyrograf, że wyrzeka się buntów w zamian za zwolnienie z więzień wszystkich Polaków; car Paweł dotrzymał słowa), mason i bezbożnik, jego nazwiskiem podpierali się komuniści tworzący armię generała Berlinga.

O Agrippie Hullu w Polsce nikt nie słyszał.

CIEŃ ZDRADY

Harasimowicz nie pisze historii. Przyznaje, że kilka powieściowych przypadków Kościuszki i Hulla musiał udramatyzować, niektóre wymyślił. A jednak Agrippa istniał naprawdę, choć nie mamy pewności, czy był przywieziony w kajdanach do Ameryki przez handlarzy niewolników. Możemy zgodzić się, że kiedy wstępował do wojska, nie miał pieniędzy na lichą strzelbę i chodził w łapciach.

Lecz, podobno dzięki Kościuszce, nauczył się czytać i pisać. Mimo że posługiwał się – jak chce Harasimowicz – gwarą wiejskiego plebsu, był człowiekiem wybitnie inteligentnym. Parzył Kościuszce hektolitry kawy. Podziwiał jego umiejętności plastyczne. Dowodem szacunku niech będzie to, że – jako jeden z niewielu Amerykanów – nauczył się poprawnie wymawiać nazwisko generała. A kiedy spotkali się podczas drugiego pobytu Kościuszki w Ameryce, rozumiał jego ból: generał cierpiał z powodu podpisanej z carem popowstaniowej ugody, która starczyła, by rodacy nazwali go sprzedawczykiem. Agrippa też nosił w sobie cierń zdrady. Gdy po zwycięskiej wojnie o niepodległość władcy Stanów Zjednoczonych nałożyli wysokie podatki i ani myśleli wypełnić obietnice złożone czarnoskórym ochotnikom, stanął przeciwko buntownikom domagającym się sprawiedliwości, bo wyżej cenił prawo.

Hull miał 18 lat, gdy wstąpił do wojska. Początkowo był ordynansem gen. Johna Patersona i poznał Kościuszkę, który z nieznanego i lekceważonego wojskowego inżyniera rychło stał się amerykańskim bohaterem narodowym, autorem i budowniczym najważniejszych twierdz wojny o niepodległość. Fortyfikował Filadelfię, ówczesną stolicę zbuntowanej kolonii, walnie przyłożył się do zwycięstwa pod Saratogą, co dostrzegł sam Jerzy Waszyngton, budował West Point (wykorzystał naturalne ukształtowanie terenu, zastawił zmyślne pułapki na brytyjską flotę) nad rzeką Huston, gdzie dzisiaj mieści się akademia wojskowa USA.

„ZA SZLACHTĘ BIĆ SIĘ NIE BĘDĘ"

Wojna sprawiła, że Kościuszko z Agrippą dotarli do południowych stanów USA, oglądali zagłębie niewolnictwa, plantacji i targi, gdzie handlowało się ludźmi. Zapewne pod wpływem Agrippy generał związał się z abolicjonistami, ruchem odrzucającym niewolnictwo.

Za wybitne zasługi Kongres nagrodził Kościuszkę nie tylko patentem generalskim, ale też majątkiem o powierzchni 250 ha oraz znacznej wysokości żołdem, którego nie chciał przyjąć. Pieniądze składowano więc na specjalnym koncie, a wypłacono, mimo dramatycznego stanu finansów Stanów Zjednoczonych, dopiero kilkanaście lat po wojnie. Kościuszko przeznaczył je na wykup i kształcenie czarnoskórych niewolników. Wykonawcą testamentu generała został Thomas Jefferson, trzeci prezydent i abolicjonista. W pierwotnej wersji Deklaracji Niepodległości był fragment autorstwa Jeffersona potępiający niewolnictwo. Został wykreślony przez innych ojców założycieli USA.

Agrippa Hull stał się człowiekiem majętnym, właścicielem wielkiego gospodarstwa rolnego.

Harasimowicz chce – łatwo mu uwierzyć – by Agrippa był wdzięcznym słuchaczem Kościuszki opowiadającego o Polsce. Zwłaszcza gdy rzecz dotyczyła pańszczyzny, a tej Kościuszko szczerze nienawidził i zrównywał z niewolnictwem. Był wszak generał wiecznym rewolucjonistą.

Kiedy Kościuszko proklamował antycarskie powstanie, powiedział: „Za samą szlachtę bić się nie będę, chcę wolności całego narodu i dla niej wystawię tylko me życie". Ogłosił Uniwersał połaniecki, czyli dokument „urządzający powinności gruntowe włościan i zapewniający dla nich skuteczną opiekę rządową, bezpieczeństwo własności i sprawiedliwość w komisjach porządkowych", ograniczający poddaństwa. Chłop z bitwy pod Racławicami Wojciech Bartosz, który odznaczył się nadzwyczajną odwagą, został uszlachcony, mianowany na chorążego i przyjął nazwisko Głowacki. W krakowskiej synagodze generał przemówił do Żydów, prosząc, by wsparli wojnę o Polskę. Z wielu przyczyn, ale też zainspirowany Kościuszką, pułkownik Berek Joselewicz stworzył Lekkokonny Pułk Starozakonny, a potem zginął. I choć porównanie pańszczyzny z niewolnictwem nie ma większego sensu, wolno silić się na takie analogie.

Doszła kiedyś Agrippę nieprawdziwa wieść, że jego generał nie żyje. Zamówił mszę, kazanie wygłosił pastor półkrwi, biały i czarny w jednym.

Po nabożeństwie podszedł do Agrippy pewien biały i zapytał, jak mu się widzi kazanie. Agrippa odrzekł, że biała część pastora mówiła dla białasa, a czarna dla niego. I ta czarna bardzo mu się podoba.

Mamy więc w polsko-amerykańskiej historii dwie postacie, których biografie warto znać na pamięć. Ich przyjaźń tylko dopełnia ten krzepiący obrazek ludzi różnych a równych, marzących o wolności. Ale co z takim Agrippą zrobią patrioci najświeższej daty, zakochani w Polsce jak ONR w faszyzmie? Nie uwierzą, że Polak może być przyjacielem czarnego? ●

Cezary Harasimowicz,
„Testament, czyli opowieść o Tadeuszu Kościuszce słowami jego ordynansa, syna afrykańskiego księcia Agrippy Hulla".
Wydawnictwo Agora

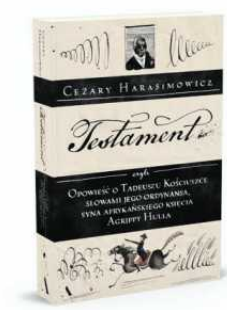

eprasa.pl 4fdfb41448

weekendówka 19

Autorem wielu haseł jest **Michał Rusinek**

WSIĄŚĆ DO POCIĄGU

FOT. AGATA JAKUBOWSKA

Przed tygodniem „Weekendówka” traktowała o humorze, śmiechu i kabaretach, a to z okazji rocznicy pierwszego występu legendarnego kabaretu TEY. Dziś temat równie bliski każdemu z nas, a może bliższy jeszcze nawet, bowiem z tą instytucją do czynienia miał chyba każdy.

Otóż, 24 września 1926 roku rozporządzeniem Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Ignacego Mościckiego utworzono Polskie Koleje Państwowe, przedsiębiorstwo „prowadzone wedle zasad handlowych, z uwzględnieniem potrzeb państwa i interesów gospodarstwa społecznego”. Właścicielem PKP był skarb państwa, przedsiębiorstwo było zwolnione od podatków

W 1926 roku sieć połączeń kolejowych w Polsce liczyła 19 271 km, tj. 0,7 km na 10 tys. mieszkańców i 5 km na 100 km kw. powierzchni kraju – jak podawał Stefan Starzyński, dyrektor Departamentu Ogólnego Ministerstwa Skarbu i wiceminister skarbu w „Rok 1926 w życiu gospodarczem Polski”.

Ulubiony chyba wagon podróżnych, WARS, to sprawa znacznie późniejsza. WARS, czyli Oddział Eksploatacji Wagonów Sypialnych i Restauracyjnych, działający w strukturach Orbisu, powołano do życia 1 kwietnia 1948 roku.

Mimo obecności w składach pociągów wagonów restauracyjnych na kolej lubimy narzekać. Skądinąd słusznie, bo punktualność cnotą PKP nie jest, co pokazują dane Urzędu Transportu Kolejowego za 2021 rok. Serwis rynek-kolejowy.pl zauważył, że są najgorsze w historii zbierania tego rodzaju statystyk. W III kwartale 2021 roku od lipca do września punktualnie przyjechało zaledwie 88,7 proc. pociągów pasażerskich i 41 proc. pociągów towarowych. Swego czasu pociąg Karkonosze relacji Warszawa Wschodnia –Jelenia Góra zanotował 1588 minut opóźnienia, ale najważniejsze, że dotarł do celu.

Dlatego z okazji powołania do życia PKP proponujemy Państwu krzyżówkę kolejową. A do „pociągu weekendówkowego” wsiada z nami Michał Rusinek, pisarz, literaturoznawca, tłumacz, członek Rady Języka Polskiego. Pan Michał sprawdzi Państwa wiedzę nie tylko z dziedziny kolejnictwa, ale i polskich klasyków rockowych. Zapraszamy!

Andrzej Kulasek,
andrzej.kulasek@agora.pl

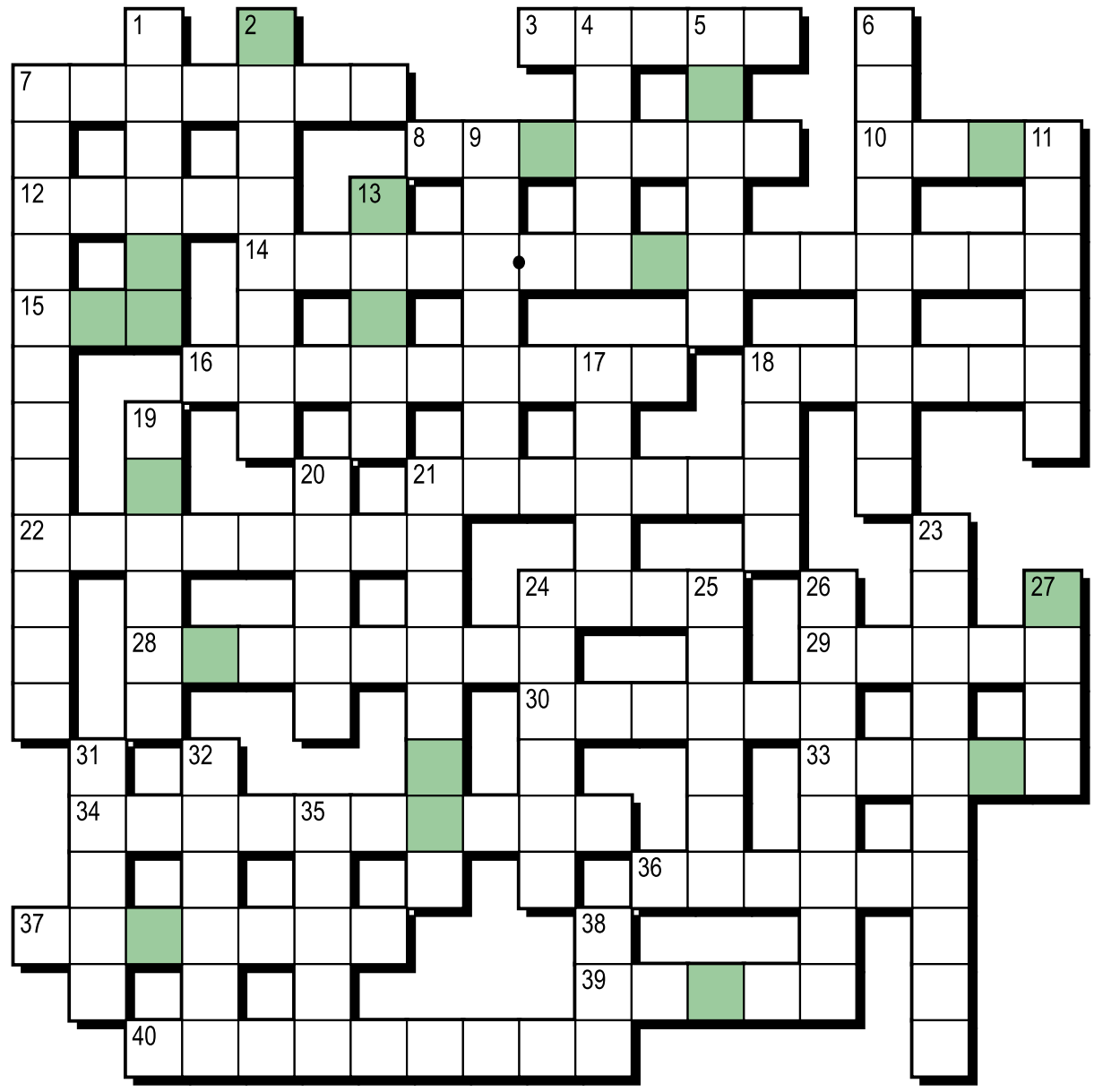

Rozwiązanie „Weekendówki” nr 18 z 17.09: **ZENON LASKOWIK**

KOLEJOWA

Hasła Michała Rusinka oznaczono inicjałami (MR). Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:
3) pierwsza (droższa) lub druga
7) odjazdowy budynek
8) Paryż – ..., trasa Orient Expressu
10) ... pociągów na stacji, zarządza nim dyżurny
12) Bogusław, aktor, który w filmie Kieślowskiego „Przypadek” zdążał lub nie zdążał na pociąg
14) wiersz Edwarda Stachury („Sunęła poprzez czarne łąki, sunęła przez spalony las...”)
15) jaki jest, każdy widzi, bywa też żelazny (MR)
16) IC
18) opóźnienie pociągu może jej ulec
21) komfortowy wagon kolejowy w stylu retro
22) pociągi... do kawy?
24) „Uciekający pociąg” z Jonem Voightem
28) za lokomotywą w zabawkowej kolejce (MR)
29) pomost przeładunkowy na stacji kolejowej
30) ... Stephenson, wynalazca nazywany ojcem kolei parowych
33) ... Rea, wykonawca piosenki „Last Train”
34) ... Baricco, autor powieści „Zamki z piasku”, w której główny bohater kupuje lokomotywę
36) Bohdan z wajchą na warszawskim torowisku („Nie lubię poniedziałku”)
37) migają na zamkniętym przejeździe kolejowym
39) tłusta – w wierszu Juliana Tuwima „Lokomotywa”
40) poprosi o bilety do kontroli

Pionowo:
1) kibicuje Kolejarzowi
2) zapory na przejeździe kolejowym
4) imię czworonoga z opowiadania Romana Pisarskiego „O psie, który jeździł koleją”
5) gadu-gadu podkładów i składu
6) wykorzystywana, aby składy się nie spotkały
7) nazwa pociągu do ułożenia z liter wizytówki „Bożena Dykiel”
9) napęd pojazdu szynowego (... elektryczna)
11) autor opowiadania „Pociągi pod specjalnym nadzorem”
13) imię wykonawcy piosenki „Poczekalnia” („– To nie wasz pociąg – ogłosiły megafony...”)
17) „A ... kołami ruszają z dwóch boków i gnają, i pchają, i pociąg się toczy”
18) ... drogowy A-10: przejazd kolejowy bez zapór
19) „Paryż-..., 17:15” (MR)
20) podwyższenie na stacji kolejowej
21) wagon w pociągu „Morfeusz”
23) pociąg IC relacji Wrocław–Gdynia Główna
24) Katarzyna, zagrała bufetową w filmie „Pociąg do Hollywood”
25) imię artystki śpiewającej: „Wsiąść do pociągu byle jakiego...”
26) Marek, nagrał album „Szalona lokomotywa”
27) „wita was” (MR)
31) „Chrobry”, „Sobieski” lub „Fredro”
32) surowiec na szyny
35) lokomotywa plus wagony
38) nazwa studia filmowego, wirtualnej sieci komputerowej implementującej trasowanie cebulowe lub droga kolei (MR)

Byle do weekendówki

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ

Pobierz z App Store
POBIERZ Z Google Play

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY 34182177

1 RP

eprasa.pl 4fdfb41448